

Czy zbrodnia
może zostać usprawiedliwiona?

SZÓSTKA



GOŚCŁAW

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

FILIA

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

SZÓSTKA

FILIA

W epoce mroku i ciemnoty religia jest najlepszym przewodnikiem ludzi, tak jak w noc ciemną choć oko wykol najlepszym przewodnikiem będzie ślepiec. On zna wszystkie drogi i ścieżki lepiej niżeli człek, który widzi. Kiedy jednak nastaje dzień, głupotą jest posługiwać się starymi ślepcami w roli tego, który idzie na przdzie.

Heinrich Heine, *Gedanken und Einfalle*

W książce wykorzystano archiwalne materiały związane z katastrofą tramwaju numer sześć, do której doszło 7 grudnia 1967 roku w Szczecinie. Autor udostępnił również autentyczne, publiczne wypowiedzi Krystyny Pressei-sen, motorniczej, która kierowała „szóstką” w tym feralnym dniu. W tle występują postaci historyczne, stanowią element kreacji tła fabuły utworu. W innych opisanych sytuacjach i postaciach wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń i osób jest przypadkowe i niezamierzone.

Prolog

Stare Miasto, Szczecin, wczesny ranek, 7 grudnia 1967 roku

Ostatnie płatki śniegu delikatnie opadły na przednią szybę warszawy, by po chwili zniknąć brutalnie zerwane przez wycieraczki. Karol lubił siedzieć w rozgrzanym wozie, gdy na zewnątrz było tak zimno jak teraz. Wiedział, że ta odrobina śniegu nic nie zmieni. Zniknie. Śnieg zamieni się w deszcz, a później w błotnistą breję. Szczecińska zima, pomyślał. Jechał powoli. Nie śpieszyło mu się. Dyżur zaczynał o siódmej. Spojrzał na zegarek. Mała kreska minęła szóstą, a duża zatrzymała się dokładnie na dwudziestej piątej minucie. Miał jeszcze ponad pół godziny, by dostać się do bazy. Minął budynek redakcji „Kuriera Szczecińskiego” i zatrzymał się tuż przy Bramie Królewskiej. Przed nim przetoczył się tramwaj. „Szóstka”. Czerwony wagon ciągnął za sobą jeszcze dwa przedwojenne „pulmany”[1] w kolorze kości słoniowej. W podświetlonej kabinie motorniczego zauważył, że za sterami trójskładu siedzi dziewczyna. Na oko trzydziestoparoletnia. Na głowie miała charakterystyczny beret. Nie rozglądała się. Jej wielkie czarne oczy wpatrywały się w jeden punkt przed sobą. Zazwyczaj motorniczy kiwają do taksówkarzy stojących na skrzyżowaniu Hołdu Pruskiego i placu Żołnierza. Tym razem było inaczej. Ranna zmiana, pomyślał. Trzy wagony nabite stoczniovcami z Warskiego i Gryfii. Niektórzy wisieli jak kiście winogron na poręczach w otwartych drzwiach, stojąc tylko na stopniach. Młodzi junacy, pomyślał. Pewnie uczniowie szkoły morskiej. Spojrzał w lusterko wsteczne. Nie stał za nim żaden samochód. Tramwaj przetoczył się przed jego maską i zniknął za Bramą Królewską. Karol włączył lewy migacz i ruszył w kierunku ulicy Wyszaka. Jechał tuż za tramwajem. Zwolnił. Wiedział, że za chwilę będzie stromy zjazd i trzy ostre zakręty. W taką pogodę jak ta musiał uważać. Padający śnieg zastąpił siąpiący deszcz, przez co widoczność spadła do zera. Karol był odpowiedzialnym kierowcą. Nieraz powodowało to irytację u pasażerów taksówki, którzy spieszyli się do pracy.

– Panie szofer, no dociśnij mu tam gazu – słyszał niejednokrotnie. Uśmiechał się i rzucał do tyłu *festina lente*[2] – przeczytał gdzieś tę łacińską sentencję i ją zapamiętał. Jak klient przebierał za bardzo nogami, rzucał obco brzmiącym tekstem, co powodowało widoczną konsternację i zakłopotanie u podróżnego, który rezygnował z dalszego komentowania. Ważne, że działało. Dzięki temu, jako jeden z nielicznych zawodowych kierowców w przedsiębiorstwie, mógł się pochwalić ponaddziesięcioletnią jazdą bez stłuczki czy kolizji drogowej.

Warszawa sunęła teraz równolegle do tramwaju. Minęli po prawej stronie kościół Świętych Piotra i Pawła i zbliżyli się niemal równocześnie do stromego zjazdu. Karol spojrział w lewo. W tej samej chwili kabina motorniczego rozświetliła się jak pochodnia w ciemności. Kierowca dostrzegł czerwone i pomarańczowe iskry wydobywające się z metalowego urządzenia przypominającego przekładnię, nad którym próbowała zapanować motornicza. Spojrzał w jej błądą i przerażoną twarz. Skład nabierał coraz większej prędkości i z ogromną szybkością zbliżał się do ostrego zakrętu. Z dwóch tylnych wagonów usłyszał przeraźliwy zgrzyt hamulców. Jednak tramwaj nie tylko nie zwolnił, ale zaczął chwiać się w obie strony. Smród spalenizny wypełnił kabinę. Pasażerowie zorientowali się, że z tramwajem dzieje się coś niedobrego. Stojący na stopniach zaczęli w panice zeskakiwać na ulicę. W wagonie zapanował chaos. Podniesione głosy pasażerów zaczęły się mieszać z krzykiem upadających na ulicę, którzy łamali sobie nogi i ręce. Niektórzy w szoku zeskakiwali bądź byli wypychani przez ściśnięty tłum i spadali prosto pod koła jadącego z tyłu wagonu. Karol wcisnął hamulec. Zarzuciło warszawę. W tej samej chwili tramwaj z hukiem wypadł z szyn. Pierwszy wagon wyrzuciło z taką siłą, że przez chwilę unosił się w powietrzu, po czym uderzył prawą burtą o ziemię i poszorował bokiem po kostce brukowej. Z przeraźliwym dźwiękiem przetoczył się przez szeroki chodnik i zatrzymał na skwerze. Towarzyszył mu przy tym zgrzyt metalu połączony z przeraźliwym krzykiem zgniatanych pasażerów. Część z nich, wypadając z toczącego się wagonu, zostawiała krwawy ślad na szarym bruku. W tym samym czasie drugi wagon uderzył z potężną siłą w słup trakcyjny, łamiąc się na pół i staczając w dół ulicy. Karol zobaczył, jak trzeci wagon zachwiał się i przechylił. Krzyk przerażonych ucichł, gdy wagon szczęśliwie zatrzymał się pośrodku ulicy. Zapanowała cisza. Jakby jakaś siła wyższa, która przygotowała i zrealizowała to precyzyjne przedstawienie, czekała teraz

na reakcję widowni, na aplauz. Wokół było jednak pusto i cicho. Nawet wrony i mewy, które o tej porze ściskają się, siedząc jedna obok drugiej na przewodach trakcyjnych, w milczeniu przyglądały się przedstawieniu. Po chwili z pierwszego wagonu, który najbardziej ucierpiał w katastrofie, zaczęły dochodzić jęki ofiar. Karol otworzył drżącą dłonią drzwi warszawy. Stał i przez chwilę wpatrywał się przed siebie. W bezruchu. Dopiero ciche wołanie o pomoc dobywające się spod wagonu leżącego na trawie podziałało jak lodowaty prysznic. Podbiegł do bagażnika i chwycił apteczkę. Już miał biec w kierunku rzeki, ale cofnął się do kabiny i wyciągnął spod kanapy długi, metalowy klucz do opon. Nie wiedział, dlaczego to robi, ale intuicja mu podpowiadała, że może się przydać. Odruchowo podniósł kołnierz kurtki. Śnieg zamienił się w zacinający lodowaty deszcz. Ruszył w stronę skweru, na którym leżał wagon. Kątem oka zauważył, że z drugiego i trzeciego wagonu wychodzą ludzie. Niektórzy o własnych siłach, innym pomagali pasażerowie, którym nic się nie stało. Rozbity skład leżał wzdłuż chodnika. W ciemności trudno było dostrzec, ilu ludzi wciąż przebywa w przewróconym wagonie i w jakim są stanie. Nagle ze środka zaczęli wyczołgiwać się pierwsi pasażerowie. Płakali, zakrywając twarze dłońmi. Między palcami ciekła im krew. Karol podbiegł do kobiety w szarym płaszczu i chuście na głowie. Jej twarz była umazana błotem i krwią. Ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia. Patrzyła w jeden punkt przed sobą i powoli przesuwała się w stronę Odry. Karol objął ją.

– Co panią boli? – Kobieta spojrzała na niego i osunęła się na ziemię. Od strony Baszty Panieńskiej zaczęli biec ludzie. Karol położył kobietę na ziemi. – Pomocy! Tutaj! – krzyknął w stronę nadbiegających. W kabinie rozległ się cichy jęk. Karol podniósł się i skierował do wraku. Chwycił oburącz próg i podciągnął się. Po chwili był już na prawym boku wagonu. W kabinie motorniczego leżały dwie kobiety. Jedna na drugiej. Pierwsza miała poprzecinane nogi na wysokości kolan. Otwarte rany obficie krwawiły. Karol położył się na burcie wagonu i chwycił jedną z kobiet za rękę. Silnym pociągnięciem poderwał ją do góry i z trudem przekazał stojącym na dole z wyciągniętymi rękoma chłopcom. Przyjrzał im się. Mieli po kilkanaście lat. Pewnie ze szkoły morskiej, przeszło mu przez myśl. Chłopcy z trudem chwycili kobietę i położyli ją na ziemi.

– Tam są opatrunki! – Karol wskazał na trawnik, gdzie leżała apteczka. Odwrócił się i podczołgał do otworu, w którym wcześniej znajdowały się drzwi do wagonu. Deszcz zmieszany z płatkami śniegu padał coraz obficie, pokrywając burtę tramwaju cienką warstwą zmarzliny. Spojrzał w dół. Było ciemno, dostrzegł jednak, że w miejscu, gdzie znajdował się kokpit, leżała kobieta. Właściwie wisiała bezwładnie na nastawnicy. Rozpoznał ją po berecie, który teraz zsunął się jej na twarz. Ta sama dziewczyna jeszcze kilka minut wcześniej robiła wszystko, co było w jej mocy, by zatrzymać pędzący skład. Teraz nie dawała znaku życia. Karol zeskoczył na dół. Delikatnie uniosł jej берет. Miała zamknięte oczy. Przyłożył jej dłoń do szyi. Poczul tętno.

– Halo! Proszę pani! – Karol pochylił się nad motorniczą. – Proszę się ocknąć!

Dziewczyna powoli uniosła powieki. Ujrzała przed sobą pulchną twarz taksówkarza, który coś do niej szeptał.

– Gdzie ja jestem? Co się stało? – Obróciła głowę. – Co się stało z pasażerami?

Karol podniósł ją i pomógł jej wstać.

– Spokojnie. Nic pani nie jest? Nie jest pani ranna? Jak ma pani na imię?

– Ja? Krysia. – Motornicza spojrzała do tyłu. Próbowwała wzrokiem przebić ciemność, z której dochodziły jęki rannych i wołanie o pomoc. – Jezu, co ja zrobiłam? – Złapała za uchwyt drewnianej ławki przed sobą i się podciągnęła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że gdzieś nad nią krzyczą ludzie. Podniosła głowę. Z mroku wyłoniły się silne, męskie ręce.

– Niech pani nas złapie, wyciągniemy panią! – Krysia uniosła rękę. Karol lekko ją podniósł, a mężczyźni znajdujący się na burcie wagonu podciągnęli do góry, po czym delikatnie położyli na trawniku. Ona jednak wstała, zrobiła kilka kroków i stanęła przed rozbitym przodem wagonu. Spojrzała przed siebie. Potłuczone szkło, powykręcane metalowe elementy kabiny oraz stalowe koło z częściami podwozia leżały w nieładzie. Na chodniku w kałuży krwi dostrzegła but. Męski trzewik, z którego wystawała przecięta ludzka goleń. Dziewczyna odwróciła się. Spojrzała na rozbity wagon. Powoli ściągnęła z głowy берет i podeszła do wraku. Pojazd był pokiereszowany. Czerwony lakier zamienił się w brunatnokrwisty. Na bocznym numerze dwieście czterdzieści jeden dwójka była oblepiona błotem, a przez czwórkę przechodziła brunatna, krwawa wstęga. Krystyna ścisnęła берет i z całej siły zaczęła nim wycierać wagon.

Na miejsce zaczęło schodzić się coraz więcej ludzi. Najwięcej było uczniów, którzy zbiegali teraz z górki od strony szkoły. Ulicą Wyszaka podjeżdżały wozy z emblematem TAXI na drzwiach, z których wyskakiwali mężczyźni ze środkami opatrunkowymi w dłoniach. Ciężko rannych układano na skwerze tuż obok pierwszego wagonu. Obok nich leżały ciała. Niektóre bez rąk i nóg. Z pociętymi twarzami. Uczniowie biegali wokół, próbując wydostać części ciał spod wagonu i dopasować je do martwych korpusów.

Karol kierował akcją. Ciężko rannych, których można było transportować, przenoszono do taksówek.

– Franek! – krzyknął do podbiegającego barczystego mężczyzny w szarym berecie. – Dzwoniliście na pogotowie?

– Tak, już jadą – odpowiedział mu głębokim, lekko zdyszczonym głosem mężczyzna.

– Dobra, pomóż mi z tym żelastwem w kabinie.

Podeszli od strony chodnika do leżącego wagonu. W kabinie motorniczej nie było już szyb, jednak metalowe elementy wyposażenia wagonu, drewniane ławki i różne żelastwo stanowiły przeszkodę nie do pokonania. Karol podniósł klucz do opon, który wziął ze sobą z taksówki, i z całej siły podważył stalową belkę leżącą na wysokości kokpitu.

– Teraz! Ciągnij, Franek! – Barczysty mężczyzna chwycił belkę i z całej siły pociągnął do siebie, lecz dłonie ślizgały się po mokrym metalu. – Dawaj, Franek! – Karol wyteżył ramiona, zaparł się nogami o koło tramwaju. Belka uniosła się i z hukiem spadła na szeroki chodnik. Teraz było łatwiej. Mężczyźni nie zważali na to, że ich dłonie krwawią. Adrenalina wyciszyła ból i wpuściła w ich żyły solidną dawkę energii. Już po kilku minutach wejście do wagonu od strony kabiny motorniczego było oczyszczone. Teraz mogli dostać się do środka i pomóc tym, którzy nie mogli wyjść o własnych siłach. Z ciemności dochodziły coraz cichsze jęki ofiar. Karol szedł po omacku, próbując łapać się zwisających z sufitu ławek. W pewnym momencie poczuł, że jego dłoń dotknęła ciepłej gęstej mazi. Zbliżył ją do twarzy. Krew. Wytarł ją w spodnie i szedł dalej. Uważnie stawiał małe kroki, by nie nadepnąć na kogoś leżącego na podłodze. Wytężał wzrok, próbując przyzwyczaić się do ciemności. Szybciej, szybciej.

– Odezwijcie się! Ktoś potrzebuje pomocy? – Przed sobą miał tylko zbitą w całość masę, stworzoną z połamanych siedzeń, rur, lamp i metalowych konstrukcji sufitu. W pewnym momencie, jakieś czterdzieści centymetrów przed sobą, usłyszał cichy szept.

– Tu, tu jestem. – Karol schylił się. To był chłopiec. Przygniotła go drewniana podłoga i metalowe stopnie wejściowe. Z oddali dochodził odgłos syren.

– Spokojnie, zaraz cię stąd wyciągniemy, synu. – Karol się odwrócił. Gdzieś na wysokości Bramy Królewskiej ciemność przebijały pulsujące niebieskie światła.

– Franek, musimy podnieść to cholerstwo! – Wskazał na powykrecaną, metalową poręcz, która wbita w boczną ścianę tramwaju przygniatła drewniane siedzenia. Teraz, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zauważył bladą, pokaleczoną twarz chłopca. Sprawiał wrażenie nieobecnego, ale był spokojny. Wpatrywał się wielkimi oczami w mężczyzn, którzy siłowali się z nieustępliwą konstrukcją.

Po kilku minutach z otworu kabiny motorniczego wyłonił się barczysty mężczyzna w szarym berecie na głowie i kraciastej koszuli. W jego szerokich i silnych ramionach leżał w bezruchu chłopiec w granatowym mundurku. Krople deszczu spływały po jego twarzy i ramionach, zabierając za sobą błoto i krew. Chłopiec odwrócił głowę w stronę światła karetki pogotowia i delikatnie uśmiechnął się do nadbiegającej w jego stronę dziewczyny w białym kitlu.

Od strony Wałów Chrobrego nadjeżdżało coraz więcej taksówek i wozów milicyjnych. Komandorską wjechały dwie sekcje straży pożarnej na sygnale. Z ciemności tuż u podnóża wzniesienia, na którym górował Zamek Książąt Pomorskich, wypełził ogromny dźwig. Po nieznanym terenie poruszał się powoli i ostrożnie. Zbliżył się do skweru, na którym nieruchomo spoczywał wrak pierwszego wagonu. Reflektory z wozów strażackich macały teraz każdy metr wokół miejsca, gdzie znajdowały się zniszczone pojazdy. Spod wraku wciąż wystawały ludzkie nogi i ręce. Niektóre jeszcze się poruszały. Wokół panował chaos. Samochody mijały się w gwałtownym pędzie. Ci lżej ranni trafiali do taksówek, które z rykiem silnika ruszały w kierunku szpitali. Część była kierowana do szpitala garnizonowego na Piotra Skargi, inne do szpitala na Arkońskiej. Na Wyszaka zatrzymała się jedna z karetek. Wyskoczył z niej wysoki mężczyzna w białym czepku na głowie. Gestykulował energicznie, próbując zatrzymać jedną z nadjeżdżających taksówek. Krzyczał, żeby zawracały, żeby nie jechały już na Arkońską, bo brakuje miejsc. Na próżno. Auta mijały go szerokim łukiem i pędziły w kierunku szpitala.

Dźwig minął stojącego na poboczu „pulmana” i zaparkował na szerokim chodniku tuż obok wraku konstala[3]. Wokół zbierał się coraz większy tłum gapiów. Pomimo zimna i siąpiącego lodowatego deszczu ludzi wciąż przybywało. Po chwili tuż za dźwigiem zaparkował autobus pogotowia technicznego. Wyskoczyło z niego dwóch mężczyzn i wyrzucając z siebie stek przekleństw, próbowało zamontować hak wiszący na kilkunastometrowej stalowej linie. Karol z Frankiem usiedli na bruku, tuż obok młodej pielęgniarki. Uśmiechnęli się do siebie. Byli cholernie zmęczeni. Wbijali wzrok w jedno miejsce. Lewą burtę wagonu. Co zobaczą, kiedy dźwig podniesie wrak? Czy ktoś przeżył? W pewnym momencie wzrok Karola przykuł widok zniszczonych elementów podwozia. Niewielki osmalony otwór, z którego wystawały pogięte rury i metalowe płyty. Ten fragment wagonu wyglądał inaczej niż pozostała część.

– Franek, spójrz! – Wskazał mu dziurę w podwoziu. Kolega powędrował wzrokiem do miejsca, które pokazywał Karol. Za taksówkarzami stało trzech mężczyzn. Byli podobnie ubrani. Czarne skórzane płaszcze z wysokim futrzanym kołnierzem. Różnili się nakryciem głowy. Jeden miał kapelusz, dwóch pozostałych berety.

– To nie mógł być wypadek. – Najniższy mówił na tyle głośno, że było go dobrze słyszeć. – Tramwaje tak po prostu nie wypadają z szyn.

– No. – Wyższy kiwał głową. – Nie wypadają.

Najwyższy zapalił papierosa. Dym objął siedzących na bruku taksówkarzy i pielęgniarkę. Karol odwrócił się.

– Nie zdziwię się, jak się okaże, że jakieś żydowskie parchy maczały w tym swoje brudne łapska – komentował coraz głośniejszym głosem.

– No... – Najwyższy ponownie pokiwał głową. Karol z trudem podniósł się i podszedł do mężczyzn.

– Możecie się łaskawie przesunąć? – Objął swoimi ramionami całą trójkę i pchnął w kierunku baszty.

– Tu się ratuje ludzi. – Odwrócił się i splunął na trawę.

Stalowa lina się naprężyła. Wagon drgnął. Do leżących na skwerze rannych podbiegła dziewczyna w białym kitlu, niosąc ze sobą koce.

– Jeszcze kilkanaście minut i was stąd zabierzemy. – Uśmiechnęła się i przykryła kocem mężczyznę, któremu poniżej pasa wystawały zabandażowane kikuty nóg. Były nasiąknięte krwią. W pewnym momencie przez jazgot podnoszonego żelastwa przebił się ryk syren. Karol spojrzął na leżących obok wraku rannych i na stalową linę. Przesunął wzrok na ramię dźwigu, które znajdowało się kilkanaście metrów nad nimi. Chwiało się, próbując podnieść kilkutonowy ciężar. Wrak lekko się uniosł, zrzucając z siebie na skwer i chodnik metalowe elementy i drewniane części ławek. Od rannych leżących na bruku dzielił go teraz zaledwie metr.

– Stój! – Karol z wyciągniętą ręką zaczął biec w kierunku kabiny dźwigowego. – Tu są ranni!

Wskoczył na chodnik i potracając gapiów, biegł w kierunku dźwigu. Operator zaczął zwijać linę, która trzeszcząc, uniosła wagon jakieś pół metra nad ziemię. Pod wagonem poruszyły się ręce, tam wciąż byli żywi ludzie. Wzbudziło to entuzjazm wśród gapiów. Zaczęli klaskać i wiwatować. W tym samym momencie wagon, przyczepiony do stalowej liny tylko z jednej strony, zaczął się chwiać. Ciężar był zbyt duży, by lina mogła go unieść. Karola przeszedł dreszcz, gdy usłyszał dźwięk, który mógł oznaczać tylko jedno. Zatrzymał się i wyteżył słuch. Był to świst zrywającej się liny i następujący po nim huk przewracającego się wagonu. Ludzie odskoczyli i zaczęli biec w kierunku rzeki. Karol odwrócił się powoli. Wiedział, co zobaczy. W miejscu, gdzie leżeli i czekali na pomoc ranni, teraz spoczywał wagon. Spojrzął w ciemne, puste oczy mężczyzny, który wystawał spod wraku. Rozpoznał go. To on wcześniej stracił nogi w wypadku. Teraz spod resztek pojazdu wystawały tylko jego głowa i korpus z wyciągniętymi rękoma. Krzyk zgniatanych łączył się z odgłosem turlających się po bruku metalowych kół z podwozia uszkodzonego konstala. Przypominały sztangi z salki gimnastycznej. Koła podskakiwały na nierównym bruku ulicy Komandorskiej jak toczące się kapsle od piwa. Turlały się w kierunku Odry, by po chwili z pluskiem zniknąć w smolistej brei.

[1] Tramwaj typu Wismar. Były to wagony doczepne bierne, które przyjechały do Szczecina w 1930 roku wraz z wagonami silnikowymi LHB – źródło: https://forum.gazeta.pl/forum/w,70,5467797,5467797,Zabytkowy_tramwaj.html

[2] *Festina lente* (łac.) – Śpiesz się powoli.

[3] wagon typu Konstal 4N z 1957 roku

Góra decyduje

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ul. Rakowiecka 2, Warszawa, 13 grudnia 1967 roku

Do sekretariatu wszedł chudy, łysiejący mężczyzna w ciemnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. Poprawił okulary i położył na biurku szarą teczkę. Drżącą dłonią wyciągnął z tylnej kieszeni spodni bawełnianą chusteczkę i przetarł nerwowo czoło.

– Spokojnie, panie Janie – zwróciła się do niego kobieta siedząca za biurkiem. – Będzie dobrze.

– Dobrze? W jakim humorze jest dzisiaj stary?

– Skoro pana wezwał, to chyba w nie najlepszym. – Była grubo po pięćdziesiątce, jednak krótka fryzura i jednorzędowy żakiet w kolorze kawy z mlekiem skutecznie kamuflowały jej wiek. – Ale to wszystko zależy od tego, z czym pan do niego z rana przychodzi.

– Pani Tereso, przecież pani wie, że u mnie to tylko złe wiadomości. – Mężczyzna sięgnął ponownie po chusteczkę i przetarł okulary. Nie zdążył jej schować do kieszeni, gdy otworzyły się drzwi gabinetu. Stał w nich lekko przygarbiony mężczyzna. Spojrzeli po sobie.

– Dzień dobry, panie Janie.

– Dzień dobry.

– A może jeszcze wam tam herbatkę przynieść, co? – dobiegł dudniący męski głos z głębi gabinetu. – Dawaj, Janek, co tam masz!

Mężczyzna rzucił sekretarce błagalne spojrzenie, sięgnął po teczkę i niepewnym krokiem wszedł do gabinetu.

W środku panował półmrok. Ciężkie zielone zasłony skutecznie chroniły pomieszczenie przed porannymi promieniami słońca. Minął długi dębowy stół, do którego dosunięto wysokie krzesła. Za szerokim, rzeźbionym biurkiem siedział niski mężczyzna. Miał na sobie elegancki grafitowy garnitur. Z lewej kieszonki wystawała biała poszetka. Pod zapiętą na ostatni guzik kamizelką widniała biała koszula i gustowny granatowy krawat z delikatnym wzorkiem. Mężczyzna podniósł głowę znad dokumentów. Miał pięćdziesiąt kilka lat. Dbał o swój wygląd. Włosy zaczesane do góry, ułożone na brylantynę, lekko ukrywały wysokie zakola. Żuchwa była mocno zarysowana, a podbródek lekko zaokrąglony.

– Siadajcie, Borak.

Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął teczkę w dłoni i przycupnął na skraju krzesła.

– Janie, powiedzcie mi, jak długo jesteście dyrektorem departamentu trzeciego w tym wzbudzającym grozę wśród naszych rodaków urządzie, co?

– No, w przyszłym roku będzie jedenaście lat. Przyszedłem tu razem z towarzyszem...

– Jedenaście lat. Kawał czasu, można rzec. – Minister wstał zza biurka, odwrócił się i zaczął przyglądać wiszącemu na ścianie zdjęciu w ramkach. To była typowo urzędnicza fotografia przedstawiająca pierwszego sekretarza partii Władysława Gomułkę. – To powiedzcie mi, do kurwy nędzy, czemu za każdym razem, gdy tu wchodzić, trzęsą wam się portki, jakbyście mieli samotnie szturmować Reichstag, co?!

– No bo... towarzyszu ministrze...

– Dobra. Jebał to pies. Co tam macie?

Minister odwrócił się, podszedł do siedzącego na krześle i wyciągnął rękę po teczkę.

– To jest ta sprawa w Szczecinie.

– W twoim Szczecinie. – Minister uśmiechnął się znacząco. – A, ten wypadek tramwajowy?

– Tak. Tylko że wszystko wskazuje na to, że to nie był wypadek...

Minister zatrzymał się.

– Mów!

– Z naszej, oczywiście wstępnej, analizy wynika, że mogło dojść do dywersji. – Kiedy wypowiedział te słowa, głowa podskoczyła mu do góry jak odbita piłeczka, by po chwili powrócić na swoje miejsce.

Minister udał, że tego nie zauważył. Wiedział, że Borak ma jakiś uraz psychiczny i nie panuje nad tymi tikami.

– Dywersji? Jakiej, kurwa, dywersji? – Sięgnął po papierośnicę i nie przerywając lektury dokumentów, próbował wyciągnąć papierosa.

– By uderzyć w towarzyszy.

Minister podniósł wzrok i spojrzał na tego chudego mężczyznę siedzącego przed nim. Sprawiał wrażenie przestraszonego i zahukanego urzędnika, ale wiedział, że to pozory. W rzeczywistości był bezwzględny służbista, oddanym komunistą i doskonałym analitykiem. Wiedzącym wszystko o wszystkich. Zdającym sobie sprawę z sytuacji panującej w partii. Był nieoceniony.

– Mów!

– Tak jak powiedziałem, mamy za mało danych, ale nietrudno się domyślić, o co chodzi. – Mężczyzna odchrząknął. – Od początku uważnie przyglądaliśmy się sprawie. Wyciszaliśmy ją. Wisieliśmy na telefonie od samego rana z towarzyszami z Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Szczecinie. Zatrzymaliśmy trzy teksty. Jeden w „Głosie Szczecińskim” i dwa w „Wiadomościach Zachodnich”. Pozwoliliśmy na dwa krótkie komunikaty. W Polsce zatrzymaliśmy wszystko, poza Krakowem. Jedna gazeta się wyrwała, cenzor był pijany i przepuścił. Zmieniliśmy go. Artykuł nie był groźny, ale...

– Ale?

– Nie było to przypadkowe. Raczej inspirowane odgórnie. Nie wiem jak wysoko, ale bez służb nie można było tego przeprowadzić.

– Przecież, kurwa, służby to my! – Minister rzucił teczkę na stół i zapalił papierosa. – Co jeszcze?

– Teksty, które zatrzymaliśmy, sugerowały, że odpowiedzialnymi za katastrofę są władze Szczecina, przy okazji oskarżały również Żydów o sabotaż...

– No i co z tego? Żydy do wszystkiego są zdolne w tym kraju...

– ...i że partia nic z tym nie robi. Nasz ekspert do spraw syjonizmu, towarzysz Tadeusz Walichnowski, twierdzi, że to może być akcja jakiejś organizacji żydowskiej, która chce sprowokować zmianę władzy. A w Szczecinie jest Walaszek[4], a to przecież nasz... znaczy towarzysza ministra człowiek.

– Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał wymownie na siedzącego przed nim. Ten wstał i zaciągnął się mocno papierosem. Czerwony żar rozświetlił pomieszczenie. Przez chwilę trzymał dym głęboko w płucach, po czym gwałtownie go wypuścił.

– To kurwiszony! – Mężczyzna chwycił za słuchawkę telefonu. – Połącz mnie z Walaszkiem ze Szczecina.

– Ja bym uważał. – Siedzący na krześle czuł się coraz pewniej. – Nie wiemy, co się tam dzieje. Nie mamy pojęcia, co tam się stało ani komu możemy zaufać.

– Dobra. To co wiemy?

Mężczyzna otworzył teczkę i zaczął czytać.

– Oficjalnie śledztwo idzie w kierunku przepalenia połączeń elektromagnetycznych między silnikami, co spowodowało awarię hamulców, ale w każdym momencie może to pójść w inną stronę...Wagony przyholowano do warsztatów na ulicy Klonowica, zamknięto w specjalnych kabinach i zaplombowano. Pilnują ich milicjanci. SB przesłuchuje motorniczą, pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego i świadków. Ze wstępnych raportów wynika, że sprawdzają, czy ludzie czegoś dziwnego nie zauważyli. Z wagonami mogą zrobić wszystko. Kilku świadków wciąż szukają. – Głowa Boraka raz na jakiś czas mimowolnie podskakiwała.

– Kogo?

– Taksówkarzy i pielęgniarki oraz ludzi, którzy pomagali w akcji ratowniczej.

– Musimy znaleźć ich pierwi... – Minister usiadł. – Co proponujesz? – Zgasił niedopalonego papierosa w kryształowej popielnicy.

– Ministerstwo Gospodarki Komunalnej powołało jakąś komisję. Do Szczecina pojechał minister Majewski. Wiedzą, że nie mogą formalnie oświadczyć, że doszło do dywersji. To mogłoby zmieść nie tylko nas, ale i cały Komitet Centralny. Na razie pada niewielki deszcz, ale te czarne chmury mogą przynieść burzę. Polują na nas. Jeżeli się okaże, że to była dywersja, dojdą do wniosku, że mogą się posunąć do wszystkiego. Musimy się dowiedzieć, jaka jest prawda.

– Jak mamy się dowiedzieć, skoro nie możemy tam nikomu ufać? – Minister schował twarz w dłoniach.

– Pamięta towarzyszu sprawę sekty ze Wzgórza Kupały?

– Jakże mógłbym zapomnieć. To był najlepszy tajny raport, który przeczytałem od czasu sprawy Kalksteina[5]. Kiedy to było? Siedem lat temu?

– Niemal dokładnie przed dziesięciu laty. Śledztwo dotyczyło wielu ważnych towarzyszy ze Szczecina. Delikatna sprawa. Ostatecznie rozwiązał ją specjalny zespół działający w konspiracji.

– A tak, tak, jakiś Litwin z pochodzenia i ta Romanowska z Gdańska, dobra komunistka... – Minister podniósł się i zaczął chodzić wokół biurka.

– Tak. Galant. Ugne Galant i Barbara Romanowska, towarzyszu ministrze.

– Myślisz, że można temu Galantowi zaufać? Słyszałem, że chleje.

– Zawsze chlał, co nie zmienia faktu, że śledztwo poprowadzi uczciwie. Jest najlepszy, analityczny umysł, odwaga, nieszablonowe myślenie, decyzyjność i jeszcze coś... – Mężczyzna chwilę się zastanawiał nad doborem słów. – Mówią, że ma jakiś dar...

– Nie pierdolicie mi tu o darach. Czy można mu zaufać?

– Nie. Dlatego powinniśmy wzmocnić zespół naszym człowiekiem. Mam już nawet kogoś na myśli.

Minister odwrócił się i spojrzał na Jana.

– Chyba nie myślisz o...

– Tak, jestem przekonany, że to będzie właściwy wybór.

– Tylko że to jest Żydówka...

– No właśnie. – W oczach Boraka pojawił się błysk.

– Dobrze, ty decydujesz. Reszta zespołu ta sama?

– Tak. No, poza jednym...

– No tak. Przygotuj wszystko. Sprawa z klauzulą ściśle tajne. Wiemy o niej tylko my.

Na biurku zadzwonił telefon.

– Działaj! Codziennie chcę widzieć raport. A, i jeszcze jedno. Nie mów jej wszystkiego.

Urzędnik uśmiechnął się znacząco. Minister kiwnął dłonią. Jan wstał. Przez chwilę rozprostowywał kręgosłup, po czym sięgnął po teczkę z dokumentami i bez pośpiechu zaczął iść w kierunku drzwi. Gruby dywan tłumiał jego kroki. Drzwi do sekretariatu się uchyliły i ciemne pomieszczenie się rozświetliło, eksponując mężczyznę. Nie był to już ten sam człowiek, który kilkanaście minut temu czekał na audiencję u ministra. Szedł teraz wyprostowany, pewny siebie, a w kąciку ust igrał mu uśmiech.

Minister podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Serwus, Antoni! Mietek Moczar z tej strony. Jest sprawa...

[4] Antoni Walaszek – podczas II wojny światowej walczył w Batalionach Chłopskich. Od 1946 członek Polskiej Partii Robotniczej. W latach 1960–1971 był I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie.

[5] Ludwik Kalkstein – polski literat, żołnierz konspiracji, agent gestapo w Armii Krajowej, członek SS, dziennikarz „Kurierza Szczecińskiego”, współpracownik SB.

Spotkanie po latach

Cmentarz Centralny, Szczecin, 20 grudnia 1967 roku

Przetarł medalion rękawem kurtki. Padający śnieg z deszczem rozlał się na jego błyszczącej powierzchni, tworząc zacieki. Przystojny mężczyzna ze zdjęcia uśmiechał się łagodnie. Jego kruczoczarne włosy z obfitą grzywą falowały nad wysokim czołem, a granatowe tęczówki nawet teraz – pośmiertnie – wciąż błyszczały wyjątkowym blaskiem.

– No dobra, stary, czas zdmuchnąć świeczkę. – Wysoki mężczyzna o jasnej czuprynie położył na nagrobku wyciągnięty z wojskowej kurtki kawałek ciasta i wbił w niego małą świeczkę, sprawiając, że ciasto rozleciało się na trzy części. – Nie będę ci śpiewał sto lat, no bo już, że tak powiem, pozamiatane. – Uśmiechnął się półgębkiem i wyciągnął z wytartych džinsów zapalniczkę Zippo. Przesunął kciukiem po metalowym krzesiwie. Zazgrzytało i nic. Podpalić knot przy takiej pogodzie, gdy lodowaty deszcz zacina z boku, to była sztuka. Po kilku próbach się udało. – Zdmuchnę za ciebie. – Pochylił się nad świeczką, ale zrobił to tak niezgrabnie, że jego niemal dwumetrowe ciało gruchnęło na marmurową płytę, zrzucając leżące wokół znicze. Pozbieranie się zabrało mu dłuższą chwilę. Usiadł na nagrobku i wyciągnął z kieszeni niemalże pustą butelkę wódki. Jego błędny wzrok ponownie powędrował na nagrobek. *Św. P. Szymon Ferenc urodzony 20 grudnia 1927 r., zmarły tragicznie 16 października 1957 r.*

Wyrwał korek z butelki i ją przechylił. Dwa łyki wystarczyły, by ją opróżnić do dna. Miał wprawę. Wyrzucił pustą butelkę za siebie i przesunął dłonią po medalionie. – A wiesz, że oni po tej całej historii dali mi awans? No. Dali. – Mężczyzna sięgnął do przedniej kieszeni mocno zdezelowanej emki[6] i wyciągnął z niej paczkę giewontów. – Kapitana dali, ale medalu już nie. – Zaśmiał się sam do siebie, próbując przypalić papierosa, ale ten błyskawicznie zamienił się w mokrą papkę. Zgniół go i odrzucił. – Pytasz, co u mnie? – Wstał i podszedł do żywopłotu, który otaczał grób. Rozpiął rozporek i zaczął sikać. – Po tym wszystkim Baśka wróciła do Gdańska, a lwowiak... Jemu też dali awans i przenieśli go do wojewódzkiej. Szycha teraz. – Zachwiał się, próbował złapać się gałęzi bukszpanu, poślizgnął się i z impetem wpadł w krzewy.

Musiał tak leżeć przez kilka godzin, bo zrobiło się już ciemno. Gdy się obudził, poczuł, że po twarzy coś mu łązi. Dlaczego zawsze musiał tak kończyć? Dlaczego wystawia śmierci wszystkich, którzy się do niego zbliżą? W obozie wystarczyła jedna noc, jedno gorące uczucie, by mu ją zabrała. Julię. Nic lepszego w tym cholernym życiu mu się nie przytrafiło. Dała mu tylko chwilę. Powiesili ją na tym pierdolonym kawałku drewna. A on stał i patrzył, jak uchodzi z niej życie. Od tego czasu obiecał tej parszywej śmierci, że już nikogo nie pokocha, że do nikogo się już więcej nie zbliży. Skąd, u licha, miał wiedzieć, że ta umowa dotyczy też przyjaciół? Jakiś, kurwa, aneks był? Nie da się ukryć, że Szymona odebrała mu z jego winy. Dobrego kumpla. *Doktore*. Po co właściwe zaciągnął go do tych tuneli? Przecież nie był psem, tylko zwyczajnym, dobrym lekarzem. Bez niego nie rozwiązaliby tamtej sprawy, ale czy to było aż takie ważne? Ważniejsze od życia? Czuł się przeklęty. Naznaczony piętnem przez kostuchę. Wiedział, że śmierć czai się w każdej ciemnej uliczce i tylko czyha, aż on kogoś pokocha. Aż do kogoś się zbliży. Tak było z tatą, którego zostawił na Litwie. Tak było z mamą, którą mu odebrali za to, że pomagał tej polskiej rodzinie. A ona nawet o tym nie wiedziała. Pamięta do dziś jej wzrok, gdy przyszli po nią i po tę polską rodzinę. Mówili, że to Żydzi, ale dla niego to byli Polacy, rodzice jego kumpla, z którym przed wojną boksował w klubie Preußen Stettin. Zabrali ich wszystkich, a jego wsadzili do tego obozu pracy z Czerwonym Pałacem i fiołkami. Gdyby wiedział, co się wydarzy, nigdy nie pomógłby tym Polakom. Choć kto wie...

Otrzeźwił go kobiecy głos. Dochodził z za jego pleców. Próbował się podnieść, ale nie przychodziło mu to łatwo. Odwrócił się i ujrzał wyciągniętą w jego kierunku dłoń. Chwycił ją i się podciągnął. Zachwiał się, ale utrzymał w pionie. Przetarł zarośniętą twarz. Na policzku poczuł lepką maź. Przeszło mu przez głowę, że to kolce bukszpanu wbiły mu się w policzki i rozdrapały twarz. Nieważne. Spojrzał przed siebie. Stała przed nim wysoka blondynka w długim płaszczu, trzymająca w ręku parasolkę.

– Serwus, Ugne, nie przeszkadzam? – Nie wiedział, czy się uśmiechała. – Widzę, że się dobrze bawisz. Proponuję zapiąć rozporek. – Podeszła do pomnika i przetarła rękawiczką medalion. – Czytałam, że nie cierpiał. – Schyliła się i podniosła jeden ze zniczy. Postawiła go na nagrobku, wyciągnęła zapalki i bezskutecznie próbowała zapalić. Kolejne wypalone zapalki spadały z sykiem na ziemię. Ugne podszedł do niej i podał jej metalową zapalniczkę. Podpaliła knot i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie na nagrobku. – Nie potrafił zrozumieć, że muszę go zostawić, dla jego własnego dobra. Ja byłam na służbie, a on... się głupio zakochał. Nie rozumiał, że był tylko świadkiem... – Kobieta wstała, podeszła do Galanta i wyciągnęła rękę. – Joanna jestem.

Ugne odwrócił się. Spojrzał na wyciągniętą w jego kierunku dłoń. Oboje wyglądali jak z dwóch różnych światów. On, podchodzący pod czterdziestkę dryblas. Cały w błocie. Kurtka z amerykańskiego demobilu, pod nią biały podkoszulek pokryty zaschniętym błotem i krwią. Do tego wytarte džinsy, wiszące na ciężkim, skórzanym pasie oficerskim. Na nogach znoszone buty wojskowe, pamiętające zapewne drugą wojnę światową. Jego pociągłą twarz pokrywała gęsta szczecina, która częściowo tylko zakrywała stare blizny. Najdłuższa biegła od skroni przez czoło, przerywała się nad okiem, by powrócić na policzek. Nad ustami znikwała w rzadkim zaroście. Inna była krótsza, za to głębsza i najwyraźniej niedbale zszyta, bo pozostawiła szerszą bruzdę na drugim policzku. Przypominała błyskawicę. Nad wąskimi ustami rysowała się kolejna blizna, mniejsza, jakby miała być naturalnym elementem rozdzielającym zarost. Na co dzień jasna grzywa, teraz poczerniała od błota, opadała na czoło, a spojrzenie niebieskich oczu przeszywało kobietę na wskroś. Niesymetryczny nos, przesunięty lekko w lewą stronę, zapewne trwała pozostałość po jakiejś bójce, dopełniał obrazu człowieka zdewastowanego. Galant był wysoki i dobrze zbudowany. Ona nie dorównywała mu wzrostem, ale też była wysoka. Miała na sobie kremowy płaszcz z kołnierzem pokrytym futerkiem, pod nim plisowaną sukienkę w kolorze jasnego brązu. Duże jasne oczy komponowały się z tak modną obecnie krótką fryzurą na chłopczycę. Była szczupła, mimo to potrafiła podkreślić krągłe biodra i kształtne piersi.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że jesteś Joanną. – Galant splunął w kierunku połamanego bukszpanu. – Tą tajemniczą dziewczyną z „13 Muz”, na której punkcie zwariował *doktore* i z powodu której tak cierpiał.

– To był krótki romans. Zresztą nieważne. Nie miałam innego wyjścia. – Deszcz przestał padać, ale czarne chmury nadal wisiały nad cmentarzem. Złożyła parasolkę. – Musiałam wyjechać, także dla jego dobra.

– Troskliwa z ciebie kobieta. – Ugne wyciągnął paczkę papierosów. – Powiedz, czemu tyle dobra na niego sprowadziłaś.

– Bawi cię to? – Wyciągnęła z torebki metalową papierośnicę i sięgnęła po papierosa. Przez chwilę czekała, licząc, że Galant się zreflektuje i przypali jej papierosa. Gdy zrozumiała, że nic z tego, wyciągnęła paczkę zapalek i przypaliła go sobie sama. Zaciągnęła się i wypuściła dym w kierunku milicjanta. Zapachniało miętą.

– Było minęło. Nie przyszedł tu na wspominki. – Galant usiadł na płycie i oparł się o nagrobek. Jedną nogę podciągnął pod siebie, drugą wyprostował w taki sposób, że but niemal dotykał kolana Joanny. Zaciągnął się papierosem i podniósł głowę. Znowu zaczynało padać.

– Słyszałeś o katastrofie „szóstki” na Wyszaka? – Świdrowała go wzrokiem. Chciała zobaczyć, jaka będzie jego pierwsza reakcja. Słyszała, że oprócz wódki uzależniony jest od kolejnych spraw. Im bardziej skomplikowane, tym bardziej się w nich zatapiał.

– Nie wiem, jaka trąba powietrzna cię tu przywiała, Dorotko, ale to jest moje miasto i staram się być na bieżąco. – Zaciągnął się tak mocno, że poczuł piekący ból w piersi. Czekał na to, co odpowie. Instynktownie podejrzewał, że może to być coś ważnego, co zmieni jego nędzne życie. – Oczywiście, że słyszałem.

– Kompletuję zespół, który ma wyjaśnić sprawę. Chcę, żebyś w nim był. – Wiedziała, że chwycił przynętę.

Ugne wypuścił dym i pstryknął niedogaszonym kiepem przed siebie.

– Nie ma czego wyjaśniać. To był wypadek. A poza tym, Dorotko, w tym świecie, do którego wpadłaś na chwilę, nie ma czarów ani dobrych czarnoksiężników. Są tylko rozkazy, przełożeni, tony dokumentów i złe wilki. – Ugne wstał i zaczął rozprostowywać nogi. – A kim ty jesteś?

Kobieta zgasiła obcasem papierosa i sięgnęła do torebki. Wyciągnęła z niej legitymację służbową.

Otworzyła. Ze zdjęcia spoglądała na niego kobieta w mundurze Służby Bezpieczeństwa. Była młodsza. Dużo młodsza. Uśmiechnięta. Popatrzył na drugą część legitymacji. *Joanna Krauze Kapitan Służby Bezpieczeństwa – Inspektor w Departamencie III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.* Ugne przez chwilę przyglądał się dokumentowi. Poczł, że zaczyna mu się robić niedobrze. Wiedział, że za chwilę może nastąpić najgorsze. Zgiął się wpół. Przymknął oczy i ujrzał przed sobą Szymona Ferenca. Tego samego, którego zostawił tam, w bunkrze, z odciętą głową. Widział, jak Szymon sięga po zdjęcie w ramce, na którym przytula Joannę. Oboje są uśmiechnięci, szczęśliwi. Ukłął, poczuł uderzenie ciepła i pulsowanie w skroniach. Zacisnął mocniej powieki. Ujrzał teraz wielką salę, w której gromadzili się ludzie, bili brawo. Dziewczyna podniosła się z krzesła i podeszła do jakiegoś grubasa, chwilę z nim rozmawiała. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę. Rozpoznał go. To był Stefan Kisielewski. Dlaczego on? Poczł, że zbiera mu się na wymioty. Kolejny obraz. Kobieta wbiega do gmachu Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej na Małopolskiej. Ogląda się za siebie. To była Joanna. Nienawidził tego. Nienawidził siebie. Zgiął się wpół i zwymiotował.

– Ktoś tu chyba musi odpocząć. – Joanna pochyliła się nad nim. – Wszystko dobrze?

Ugne czuł, że wcale nie jest dobrze. Miał świadomość, że jej nie odmówi. Wiedział też, że zrobiłby wszystko, by pracować przy tej sprawie. To jest silniejsze od wody. To jest silniejsze od wszystkich zasad moralnych i wartości, którym chciał być wierny.

Wytarł twarz podkoszulkiem. Splunął i się wyprostował.

– Nieważne – wyszeptał. – Dlaczego myślicie, że to nie był wypadek?

Joanna się uśmiechnęła.

– Tego nie wiemy, ale chcemy zyskać pewność. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła kopertę. – Tu masz niezbędne informacje. Miejsce, gdzie będziemy się spotykać. Wszystko już jest gotowe. Twój szef został poinformowany, że zostajesz oddelegowany do innych zadań.

– Jak to? – Ugne otworzył kopertę. – To nie jest oficjalne śledztwo?

Joanna postawiła nogę na nagrobku i podciągnęła sukienkę, odsłaniając nogę. Wyjątkowo zgrabną. Czarna pończocha zakończona podwiązką z koronkami zsunęła się na kolano. Delikatnie podciągnęła ją i zapięła. Nie podnosiła głowy. Wiedziała, że na nią patrzy.

– Wszystko masz w kopercie. Znajduje się tam również list Ministra Spraw Wewnętrznych. Jak będzie problem, wykorzystaj go.

Wyprostowała się i przejechała delikatnie dłonią po sukience, która teraz podkreśliła kształt jej bioder. Ugne chrząknął.

– Kto będzie w zespole?

Joanna otworzyła parasolkę. Nie widział teraz jej twarzy.

– Twój dobry znajomi.

Odwróciła się i już miała odchodzić, gdy przystanęła, jakby o czymś zapomniała.

– Jeszcze jedno, kapitanie... odstawiasz wódkę.

[6] amerykańska kurtka wojskowa M43

Zespół

Wojewódzkie Laboratorium Kryminalistyczne w Komendzie Wojewódzkiej MO, Gdańsk, 24 grudnia 1967 roku

Basia była sama. Czerwona żarówka nadawała całemu pomieszczeniu nienaturalny wygląd. Rozproszony ciepły blask delikatnie zarysowywał kontury powiększalnika i stojących obok niego pojemników z odczynnikami. Wyciągnęła papier z szuflady i uruchomiła urządzenie. Przyglądała się, jak na białej kartce powoli pojawia się postać mężczyzny. Obraz był niewyraźny. Musiała zastosować duże zbliżenie, bo był ziarnisty. Na pierwszym planie wysoki mężczyzna w szarym prochowcu prowadził pod rękę kobietę. Nie, to była dziewczynka, pewnie uczennica, bo z ramienia zwisał worek na kaptcie. Mężczyzna na zdjęciu zerkał w bok, jakby się czegoś obawiał. Tuż za nimi na ulicy stał zaparkowany samochód ciężarowy. Typowy dostawczak z pieczywem. Mężczyzna w białym fartuchu wnosił skrzynkę do sklepu spółdzielczego znajdującego się w starej kamienicy, która jakimś cudem uniknęła bombardowania. Wyjęła papier z wywoływacza i delikatnie zanurzyła w wodzie. Po kilku sekundach wyciągnęła i przełożyła do kuwety z utrwalaczem. Chwilę przyglądała się zdjęciu, po czym delikatnie chwyciła za dwa rogi i wyciągnęła z płynu. Podeszła do rozpiętego między dwiema ściankami sznurka, na którym wisiało już kilka zdjęć. Przypięła mokrą fotografię klamerkami i jeszcze raz z bliska się jej przyjrzała. Znała to miejsce. To była ulica Mokra, a sklep znajdował się w kamienicy na rogu Mariackiej i Świętego Ducha. Spojrzała jeszcze raz na dziewczynkę. Miała może trzynaście lat. Dokładnie tyle, ile ona w tamtej pamiętnej chwili. Obraz na zdjęciu zaczął się rozpląwać. Wróciła myślami do Domu Małych Dzieci w Gdańsku. To było dziewiętnaście lat temu. Od trzech lat mieszkała razem z innymi sierotami w wielkim domu na ulicy Hibnera[7] w Gdańsku. Jej rodzice zginęli podczas rzezi w lesie piaśnickim[8], gdy miała pięć lat. Trafiała do babki, ale ta trzy dni po wyzwoleniu umarła. Zabrali ją do domu dziecka. Była niepokorna. Nie chciała spać w jednym pokoju z dziewięciorgiem innych dzieci. Tęskniła za domem rodzinnym. Odmawiała posiłków. Wychowawcy przeczekali. Po trzech tygodniach wszystko się zmieniło. Zaczęła rozmawiać z koleżankami, schodzić na śniadanie i uczyć się na rytmikę. Zaprzyjaźniła się z koleżankami i wychowawcami. Pokochały ją panie intendentki, a miłość została odwzajemniona. Podobało jej się, że wszystko było tu takie czyste, jasne i że zawsze podawano podwieczorek. Nie musiała chodzić co niedziela do kościoła i pomagać w polu. Po raz pierwszy uczestniczyła też w choince noworocznej. Wstąpiła do harcerstwa. Dostała granatową sukienkę, białą koszulę i czerwoną chustę. Nigdy wcześniej nie miała tylu nowych rzeczy. Zawsze to były ubrania po kimś. Pocerowane, śmierdzące naftaliną. Teraz miała piękne, nowe spódniczki i sukienki oraz koszulki. A co najważniejsze, własne. Nie musiała się z nikim dzielić. Jej nowym bohaterem został Pawlik Morozow. Powiesiła sobie nawet jego zdjęcie nad łóżkiem. W miejscu, gdzie wcześniej była pamiętka z chrztu świętego. Wspólne zdjęcie z rodzicami i księdzem schowała do szuflady. Dowiedziała się, że to wszystko, o czym jej mówili w domu, jest kłamstwem. Nie ma aniołków ani Bozi. Mówili jej o tym, bo chcieli, żeby się bała. Tak mówiła pani wychowawczyni, którą uwielbiała. Chciała w przyszłości być jak ona. Postanowiła zapomnieć. O wszystkim. O Piaśnicy, rodzicach i bracie. Zamknęła ten rozdział. Nabrała głęboko powietrza i zdecydowała, że teraz będzie inaczej. Będzie przeciw do przodu z całych sił. Nigdy w swoim krótkim życiu tak wiele nie podróżowała. Wizyta w szpitalu powiatowym w Pucku po tym, jak złamała rękę, skacząc z drzewa do rzeki, była dotychczas wycieczką jej życia. Teraz wszystko się zmieniło. Ze swoją drużyną odwiedzała place budów, POM-y, PGR-y. Jeździli na obozy na Mazury. Z pasją brała udział w każdej aktywności w domu dziecka. Grabienie trawy, wykonanie stracha na wróble, odświeżanie zabawek czy ozdabianie pudełek do loteryjek to tylko niektóre z jej zajęć. Wszędzie było jej pełno. W wieku dwunastu lat dostała odznakę wzorowego dziecka przodownika. Wychowawczyni oznajmiła jej wtedy, że ma szansę otrzymać główną nagrodę, którą jest wyjazd w kolejnym roku do Związku Radzieckiego na obóz pionierski Artek[9] Młodej Gwardii w pobliżu Odessy. Szczęśliwcy będą mieli szansę zobaczyć samego Józefa Stalina.

Basię ogarnęła obsesja. Postawiła sobie za cel przekonać specjalną komisję, która miała ocenić kandydatów do wyjazdu, że zasługuje na to bardziej niż ktokolwiek inny. W ramach czynu pierwszomajowego sama przygotowała i zorganizowała przedstawienie *Ochocza drużyna*, na którego premierę przyjechali nawet przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Władze były pod wrażeniem poziomu indoktrynacji i edukacji wychowanków. Basia wiedziała, że nikt już jej nie odbierze biletu na Krym. Komisja składała się z dwóch przedstawicielek Związku Młodzieży Polskiej i redaktora gazety „Mołodaja Gwardia”, który przyjechał specjalnie do Gdańska z ZSRR. Było ciepło i słonecznie. Dyrekcja wyczekiwała gości na chodniku tuż przed metalową furtką prowadzącą przez ogród do wielkiego domu z tarasem. Gdy się pojawili, dzieci siedzące na specjalnie przygotowanych na tę okoliczność krzeselkach w ogrodzie zaczęły śpiewać *Międzynarodówkę*. Basia wraz z jeszcze jedną koleżanką wręczyły gościom kwiaty i odprowadziły ich do gabinetu dyrektorki. Zgodnie z instrukcją miały poczekać do końca spotkania, by pokazać gościom ośrodek. Dziewczynki wyglądały odświętnie. Basia była ubrana jak prawdziwa radziecka pionierka, w białą spódniczkę i białą koszulę zapiętą na ostatni guzik. Pod kołnierzykiem miała elegancko zawiązaną czerwoną chustę. Usiadły na ławce przed gabinetem dyrektorki. Ich nogi bujały się rytmicznie w takt melodii *Międzynarodówki*, którą teraz sobie po cichu nuciły. Po kilkunastu minutach członkowie komisji wyszli. Dyrektorka, zamykając za sobą drzwi, powiedziała:

– A teraz zostawiam towarzyszy z naszymi przodownikami. – Wskazała dłonią siedzące na ławce dziewczęta. – Oprowadzą towarzyszy po swoich pokojach, kuchni i jadalni oraz pokażą naszą pracownię w piwnicy.

Kobiety uśmiechnęły się do dziewczynek. Były ubrane podobnie do nich. Koszule w kolorze khaki, do tego czerwone krawaty i czarne spódnice. Różniły się wzrostem i tuszą. Ta niższa była tęższa i milcząca. Druga, wyższa i szczupła, od razu zagadała do Basi.

– To ty jesteś tą słynną Basią, o której mówi pół Gdańska?

Dziewczynka odwróciła się, a na jej policzkach pojawił się czerwony rumieniec.

– To jest towarzysz Dugin. – Wyższa wskazała na niskiego, pulchnego mężczyznę, ubranego niemalże tak samo jak Basia, z tą różnicą, że zamiast spódniczki miał na sobie krótkie spodnie w kolorze kawy z mlekiem.

– Aleksandr. – Wyciągnął rękę w kierunku Basi. Był stary. Miał duże zakola i czerwone policzki. Ciągłe się uśmiechał. Chwycił ją za rękę i powiedział do niej coś po rosyjsku. Jednak Basi w tym dniu nic by nie zbiło z pantałyku. Wiedziała, że to jest jej dzień. I nawet to, że ten dziwny człowiek w stroju pioniera trzyma ją teraz za rękę, nie zmieni jej planu. Zaprowadzi go wszędzie, gdzie będzie chciał. Pokaże mu wszystko, co będzie chciał. Odpowie na każde pytanie. Wiedziała, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

Szli w kierunku dziecięcych pokoi. Mężczyzna miał ciepłą dłoń. W powietrzu unosił się zapach rosółu. Basia uśmiechała się na samą myśl, co powie koleżankom podczas obiadu. Aleksandr zwrócił się do kobiet w niezrozumiałym języku.

– Basiu, rozdzielmy się. Szybciej pójdzie. My z twoją koleżanką pójdziemy do pokoi i kuchni, a ty z naszym radzieckim gościem pójdziesz pokazać mu pracownię w piwnicy.

– Dobrze – odparła Basia. Choć wcale nie było dobrze. Nie lubiła pracowni. Znajdowała się w starej piwnicy, z której pan Karol po remoncie zrobił pracownię techniczną. Wołałaby się zamienić z Gabrysią. Zagryzła wargi.

– Zapraszam. Pokażę towarzyszowi naszą pracownię. – Skierowała się do przedpokoju, który prowadził do piwnicy. – Są tam różne narzędzia, dzięki którym możemy budować karmniki dla ptaków – powiedziała Basia, nie zastanawiając się, czy mężczyzna ją rozumie, chciała mieć to jak najszybciej za sobą. Mężczyzna się nie odzywał, tylko uśmiechał. Basia otworzyła drzwi i zapaliła światło. Drewniane schody prowadziły w dół wąskiego korytarza. Czuć było wilgoć i chłód. – Proszę za mną. – Puściła dłoń mężczyzny i zaczęła schodzić przodem. Zeszli do dużego i niskiego pomieszczenia. Basia zapaliła kolejne światło. Żarówka rozświetliła przestrzeń ciepłym światłem. W pracowni stało sześć stołów. Na jednej z bocznych ścian wisiały uporządkowane narzędzia: młotki, śrubokręty, piły do drzewa i metalu. Pod sufitem wisiały grabie i łopaty. Na przeciwległej ścianie znajdowały się duże plakaty informujące, jak udzielać pierwszej pomocy podczas skaleczeń czy przy poważniejszych ranach. Mężczyzna zagwizdał.

– Bardzo dobrze, Basiu – powiedział po rosyjsku i zbliżył się do jednego z metalowych stołów. –

Gdzie ty siedzisz? – Basia nie rozumiała. Mężczyzna wskazał na nią i pokazał, jak siada, po czym znowu wskazał na nią.

– Gdzie jest moje miejsce? – Basia ucieszyła się, że rozumiała, co mówi do niej pionier.

Podeszła do pierwszego stołu i pokazała metalowy obracany stółek.

– O, tu jest moje miejsce. – Uśmiechnęła się do mężczyzny, który nie przestawał na nią patrzeć. Podeszedł, chwycił ją pod biodra i delikatnie posadził na stołku. Cofnął się o krok.

– Teraz wyglądasz jak prawdziwa uczennica. – Basia poprawiła spódniczkę, która źle się ułożyła podczas siadania.

– O nie, poczekaj, to moja wina. – Mężczyzna szybko się przysunął i złapał ją za rękę. Podniosła wzrok i spojrzała w jego małe oczka. Dopiero teraz zauważyła, że lekko poruszają się to w jedną, to w drugą stronę. Jak piłeczki. Rosjanin przysunął sobie drugi stółek i obrócił ją plecami, przyciągając do siebie. Basia poczuła zapach tytoniu na swojej szyi. Szeptał coś w niezrozumiałym języku. Zimny pot zaczął jej spływać po plecach.

– Czy pokazać coś jeszcze towarzyszowi? – Odniosła wrażenie, jakby jakaś klucha stanęła jej w gardle. – Bo... chyba zaraz będzie obiad, a pani Leokadia nie lubi, jak się spóźniamy.

Czuła, jak zaczynają jej drzeć uda. Mężczyzna objął ją wpeł. Chciała coś powiedzieć, ale żadne słowo nie przechodziło jej przez gardło. Poczuła mokrą dłoń mężczyzny pod swoją koszulą. Zaczęła się wiercić. Drugą ręką chwycił ją za szyję. Chciała krzyknąć, ale uścisk stał się jeszcze silniejszy. Próbowwała, ale organizm odmówił jej posłuszeństwa. Oddech mężczyzny stawał się coraz szybszy. Jego dłoń wdarła się pod spódniczkę, a grube paluchy zaczął wciskać pod majtki. Drugą dłonią rozpiął rozporek w spodenkach i zaczął rytmicznie nią poruszać, wydając dziwne odgłosy. W pewnym momencie poczuła ostry ból. Jęknęła. Rosjanin na chwilę zastygł w bezruchu. Żelazny uścisk osłabł. Basia poczuła, że jakaś ciepła ciecz spływa jej po udach. Zerwała się. Rosjanin siedział z zamkniętymi oczami oparty o stół. Dziewczynka spuściła wzrok, na jej śnieżnobiałej spódniczce pojawiły się czerwone plamy.

Basia wróciła do teraźniejszości, zerwała zdjęcie. Spojrzała na zegarek. Sięgnęła po marynarkę i wybiegła z ciemni. Światło trzeszczących świetlówek przez chwilę ją oślepiło. Pobiegła w stronę łazienki. Wbiegła do pierwszej z brzegu kabiny prysznicowej i puściła wodę. Była lodowata. Usiadła i schowała twarz w dłoniach. Strumień wody spływała po jej regulaminowym koku, regulaminowej białej koszuli i regulaminowym granatowym krawacie.

– Towarzyszko porucznik, jesteście tam?! – Męski zniecierpliwiony głos dobiegał zza drzwi łazienki. Basia wstała i zakręciła kurek. Wylała ręką mokrą twarz i podeszła do umywalki. Spojrzała w lustro. Pod oczami miała ciemne smugi rozmazanego tuszu, a wokół ust ślady czerwonej szminki.

– Zaraz! – Sięgnęła po papier toaletowy i zaczęła wycierać twarz.

– Telefon z Warszawy do towarzyszki! – Mężczyzna za drzwiami nie dawał za wygraną.

Basia wrzuciła mokrą kulkę papieru do kosza na śmieci i skierowała się w stronę drzwi. Energicznie je otworzyła. Mężczyzna stanął jak wryty. Mokra koszula przykleiła jej się do ciała, podkreślając kształtne piersi. Woda spływała na posadzkę.

– No i co się tak gapisz! Prowadź! – Funkcjonariusz w niebieskoszarym mundurze odwrócił się i szybkim krokiem skierował w stronę dyżurki. Basia ruszyła za nim. W pomieszczeniu siedział jeszcze jeden milicjant, który na jej widok wstał i zsalutował. Podał jej słuchawkę.

– Porucznik Barbara Romanowska, słucham.

Przez chwilę stała w milczeniu, wpatrując się w cherubinową twarz milicjanta, który nie wiedząc, gdzie ma patrzeć, gapił się w czarny telefon.

– Ale towarzyszu majorze, ja prowadzę śledztwo w sprawie tej porwanej dzie... – Nie zdążyła dokończyć, gdy w słuchawce ponownie zadudnił męski głos. Stała tak przez kolejną chwilę, po czym w słuchawce nastąpiła cisza. – Tak jest, towarzyszu majorze.

Powoli odłożyła słuchawkę i z rezygnacją usiadła na krześle. Po chwili uniosła głowę. Przed nią stał milicjant, ten sam, który chwilę wcześniej walił w drzwi łazienki. Trzymał w dłoniach ręcznik. Basia uśmiechnęła się, wstała, sięgnęła po ręcznik i powolnym krokiem skierowała się w stronę drzwi.

– Przekażcie Młynarskiemu, że akta sprawy „Porywacza z Zasy” są w drugiej szufladzie mojego biurka. Powiedźcie mu, że gdyby miał pytania, niech dzwoni do Szczecina. – Na chwilę przystanęła. – Nie, lepiej ja zadzwonię.

* * *

W kuchni unosił się zapach duszonej kapusty, mięsa i grzybów, a w tle rozbrzmiewał dźwięk kolęd.

– Kaziuk, przynieś ty mi tu ten kibelek[10] z bańkami[11]! – krzyknęła Jewgienija w stronę kuchni.

– A gdzie łon? – dobiegł z kuchni śpiewny głos mężczyzny.

– No ponykaj,[12] gdzieś pod tarapetem[13].

Kobieta trzymała się pod boki i przyglądała dorodnej choince, która stała w narożniku salonu. Jewgienija była młoda. Za dwa miesiące skończy dwadzieścia osiem lat. Korpulentna, z obfitym biustem, długimi jasnymi włosami, które swobodnie opadały na plecy. Była ładna, choć niektórzy w pracy twierdzili, że powinna odstawić swój ulubiony sernik po lwowsku, bo pojawia jej się drugi podbródek. Do salonu wszedł mężczyzna. Równie zaokrąglony jak ona. W sweterku w serek wyglądał elegancko. Miał pulchną, rumianą, gładko ogoloną twarz, a na kulfoniastym nosie spoczywały okrągłe binokle. W dłoniach trzymał garnek wypełniony bombkami. Szedł uważnie. Starał się żadnej nie zrzucić. Zbliżył się do Żeni i pocałował w policzek. Kobieta się uśmiechnęła.

– Kaziuk, co ty kolendujesz[14]?

Sięgnęła po pojemnik i postawiła tuż obok choinki. Kazik podszedł do gramofonu. Wyciągnął kolejną płytę leżącą obok czarnej pokrywy z kremowym napisem „Bambino”. Podniósł ją. 966 – 1966 – *Polskie pieśni religijne; Różni wykonawcy*. O, to, to. Położył płytę na talerzu i delikatnie opuścił igłę. Zatrzeszczało. Po chwili chóralny śpiew rozniósł się po salonie. Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Wtedy, dziesięć lat temu, patrzył na nią inaczej. Poznał ją w Wydziale Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. To ona udostępniła mu akta Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami. Bez niej, bez jej pomocy sprawa utknęłaby w miejscu. Po zamknięciu sprawy sekty ze Wzgórza Kupały pojechał do urzędu z kwiatami. Nie miał daleko, bo po wszystkim awansował i został przeniesiony do komendy wojewódzkiej na Małopolską. W związku z tym bywał częstym gościem na Wałach Chrobrego.

Po dwóch miesiącach spacerowali już po parku Żeromskiego, trzymając się za ręce. A dziś? Dziś jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Po miesiącach starań Bóg zesłał im dar. Małego człowieka, który jest jeszcze w brzuszku Żeni, ale już za pięć miesięcy będzie tu z nimi. Kazik uśmiechnął się w myślach i tanecznym krokiem ruszył w stronę kuchni. Gdy ostatnia bombka zawisała na choince, Jewgienija wyprostowała się i podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz. Cały plac Lenina[15] był w śniegu. Przez środek skweru właśnie przejeżdżał tramwaj. Dwuskładowy. W środku nie było wielu pasażerów. Pewnie wszyscy przygotowują się do Wigilii, przeszło jej przez myśl. W blasku miejskich latarni prószący śnieg wyglądał jeszcze bardziej niezwykle. Dziewczyna uśmiechnęła się. Po tygodniach nieustannego deszczu w końcu pojawił się śnieg. To był dobry znak. Będą piękne święta, pomyślała. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Jewgienija podeszła do szafki stojącej przy kanapie i podniosła słuchawkę.

– Alio? – Przez chwilę wsłuchiwała się w głos mężczyzny, a jej twarz coraz bardziej pochmurniała. Zakryła dłonią słuchawkę. – Kaziuk, z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do ciebie dzwonią!

[7] obecnie ul. Do Studzienki

[8] Zbrodnia w Piaśnicy – szereg zbiorowych egzekucji przeprowadzonych przez okupantów niemieckich w lasach piaśnickich w pobliżu Wejherowa. Historycy oceniają, że ofiarą ludobójstwa dokonanego w lasach piaśnickich padło od 12 tys. do 14 tys. ludzi. W gronie ofiar znaleźli się liczni przedstawiciele polskiej inteligencji z Pomorza Gdańskiego, głównie Kaszubi. Nazywana jest czasem „pomorskim Katyniem” lub „Kaszubską Golgotą”.

[9] Artek – obóz pionierski na Krymie otwarty 16 czerwca 1925. Z czasem stał się obozem międzynarodowym, przyjmującym grupy młodzieży z organizacji skautowskich, harcerskich i pionierskich z całego świata.

[10] kibelek (gw. lwowska) – garnek

[11] bańka (gw. lwowska) – bombka choinkowa

[12] nykać (gw. lwowska) – szukać

[13] tarapet (gw. lwowska) – parapet

[14] kolędować (gw. lwowska) – wydziwiać

[15] obecnie plac Szarych Szeregów

Taksówkarz Franek

Szczecin, 26 grudnia 1967 roku

Nie śpieszył się. Jak zwykle pilnował, by nie przekraczać pięćdziesiątki. Tym bardziej że pogoda była paskudna, a deszcz i śnieg, padając na przemian, zamieniły ulice w jedną wielką breję. To mu jednak w gruncie rzeczy nie przeszkadzało. Najważniejsze, że udało mu się wyrwać z domu. Nie mógł już patrzeć na sałatkę warzywną. Nie chciał się uśmiechać, śpiewać kolęd. Męczyło go to udawanie, że wszystko jest w porządku. Nie było. Na lewy pas z Roosevelta[16] wtoczył się tramwaj. Spojrzał w kierunku kabiny motorniczego. Kobieta kiwnęła głową. Franek podniósł rękę i się uśmiechnął. Zimny, przesywający dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie. Wciąż miał przed oczami odcięte nogi mężczyzny, którego wspólnie z Karolem wyciągnęli spod wagonu. Zostały tam i tak leżały, aż przyszła ta miła pielęgniarka, podniosła je i wrzuciła do kosza z innymi częściami ciała. Dostrzegł łzy w jej oczach. Miała ze dwadzieścia kilka lat.

Moskwicz minął wielki pusty plac, na którym jeszcze parę lat temu stało kilka rozlatujących się poniemieckich kamienic. Rozebrali je i zostawili pusty plac. Nie można było ich wyremontować? Franek starał się sprowadzić myśli na cokolwiek innego, byle tylko nie wracać do leżącego na skwerze wagonu. Spojrzał w prawo. Sklepy w nowej kamienicy na Wyzwolenia były pozamykane. Tuż przed zakrętem w Buczka[17] stał mężczyzna w ciemnym płaszczu i z parasolem w ręku. Machał, by się zatrzymać. Pierwszy klient, pomyślał. Zatrzymał się tuż przed pasami na wysokości sklepu Rubin. Mężczyzna wsiadł i od razu skierował się na skraj kanapy. Franek spojrział w lusterko. Twarz klienta przysłaniał szary kapelusz.

– Pogoda pod psem, co? – zagał taksówkarz.

– Parszywa – odpowiedział ochryple nieznajomy.

– Dokąd jedziemy, kierowniku?

Pasażer chwilę się zastanawiał, jakby nie miał do końca sprecyzowanego planu.

– Na Warszawo.

Na twarzy Franka pojawił się grymas niezadowolenia. Pierwszy kurs i od razu jazda po tych wertepach.

– W porządku, ale od razu mówię, że nie jadę przez te dziury na Duńskiej. – Franek jeszcze raz spojrział w lusterko.

– Dobrze, jedź pan.

Moskwicz skręcił w Buczka i skierował się w stronę ronda na placu Grunwaldzkim. Na przystanku zatrzymał się tramwaj. „Czwórka”. W tle majaczył wielki transparent, który głosił: *1000 lat Polski nad Odrą i Bałtykiem*. Jedno z zer przechyliło się w bok, zmieniając nieco sens przekazu. Franek spojrział do góry. Na dachu wysokiego budynku mężczyźni kończyli instalować wielki niebieski neon. Litery składały się w wyraz „Eldom”. Skręcił w Jedności Narodowej.

– Co za czasy, strach wsiadać do tramwaju, nie? – Głos mężczyzny wydawał się jeszcze bardziej ochryply. Franek próbował dopasować ten głos do twarzy. Ponownie zerknął w lusterko wsteczne. Mężczyzna siedział nisko pochylony do przodu, tak że jego twarz pozostawała niewidoczna.

– Mówi pan o wypadku? – Franek poczuł, jakby jakaś klucha utkwiła mu w gardle.

– No słyszałem, że taksówkarze pomagali rannym. Gdzie były służby? Gdzie milicja? Żeby zwykli ludzie musieli brać sprawy w swoje ręce. Chory kraj...

Franek nie chciał o tym rozmawiać.

– Byłem tam z kolegą. Robiliśmy, co mogliśmy. Nie rozglądałem się za milicją. – Odchrząknął.

Auto minęło plac Dzierżyńskiego[18] i wjechało w jego ulubioną, otoczoną platanami, Moniuszki.

– Łatwo nie było, co?

Franek włączył światła pozycyjne. Latarnie wzdłuż całych Jasnych Błoni jak na zawołanie również rozświetliły się ciepłym blaskiem. Zwolnił. Otworzył okno. Wiedział, że temperatura na zewnątrz spada i za

chwilę zamieni ulice w szklankę. Do tego ten paskudny deszcz ze śniegiem. Wycieraczki zbierały coraz więcej śnieżnej brei z okna samochodu.

– Było cholernie ciężko, ale nie ma co gadać o smutnych sprawach. Ładny kapelusz, to prawdziwa skóra? – spróbował w mało wyszukany sposób zmienić temat.

– Prawdziwa. A wie pan, tak wracając do tego wypadku, ludzie gadają, że to nie był wypadek, tylko że ktoś tam grzebał przy tych hamulcach. – Pasażer najwyraźniej dopiero się rozkręcał. – Pięćset osób. Przecież tam mogło być dużo więcej ofiar. A słyszałem, że ta konduktorka to ma jakieś takie żydowskie nazwisko. Ja tam nie wierzę w przypadki, panie.

Franek włączył kierunkowskaz i skręcił w Ofiar Oświęcimia. Docisnął gaz, wjeżdżając pod górkę. Spojrzał w lewo. Po pustym polu, które przez kilka lat służyło jako plac składowy materiałów budowlanych, biegły dwa beżowe psy.

– Piękne te bloki nam wybudowali.

Franek wskazał na wysokie budynki wznoszące się na sztucznie usypanej skarpie po prawej stronie.

– Szarpali się z tym przez kilka lat, ale w końcu zbudowali. Jestem zapisany, ale nie mam szans na mieszkanie. Pewnie jacyś partyjniacy dostaną, nie?

Mężczyzna spojrzął w lusterko.

– Pewnie tak. A co, chciałby pan dostać szybciej? Nie mówię, że mogę coś załatwić, ale jakieś znajomości mam.

Franek się uśmiechnął.

– Pewnie, że chciałbym dostać szybciej. Kobieta znowu w ciąży. Dwie córki na jednym łóżku, w jednym pokoju. My z matką i żoną w drugim. Kto by nie chciał.

Auto skręciło w 1-go Maja.

– Myślę, że towarzyszowi, który wykazał się troską o innych obywateli i z zaangażowaniem pomagał w akcji ratowniczej, należy się jakaś nagroda.

Franek wbił oczy w jadącą przed nimi syrenkę, która kaszląc, wyrzuciła z siebie kłęby białego dymu. Nowe mieszkanie, przecież to byłby cud. Na książeczkę mieszkaniową wpłaca już od siedmiu lat i perspektywy są mizerne. Już widział minę Zośki, jakby się o tym dowiedziała. Skręcił w Sczanieckiej.

– A co miałbym zrobić?

Ponownie spojrzął w lusterko wsteczne. Pasażer założył ręce na piersi i wyprostował nogi. Nie był specjalnie wysoki, a z tyłu było sporo miejsca.

– Mogę zapalić? – Mężczyzna sięgnął do kieszeni płaszcza.

– Śmiało.

Ten dzień może zmienić moje życie, pomyślał Franek. Po wnętrzu samochodu rozszedł się zapach palonego tytoniu.

– Czy poza widokiem rannych i trupów, co mogło być szokujące, coś pana zdziwiło albo zaskoczyło?

Franek uchylił okno. Sam nie palił i nie lubił dymu papierosowego. Dziwny facet, pomyślał. Kim on właściwie jest? Dziennikarzem? Milicjantem? A może jakimś zbrojnym, którego podnieca gadanie o trupach? Ale jeżeli faktycznie ma jakieś układy w spółdzielni, a może nawet w Radzie Narodowej...

– Trupy były wszędzie, rannych układaliśmy na trawie na skwerze...

– Ktoś panu pomagał? – przerwał mu mężczyzna.

– Tak, mój kolega Karol. On był pierwszy na miejscu.

– Karol? A nazwisko?

Franek jeszcze szerzej otworzył okno. Chyba jednak dziennikarz. Milicja by wezwała na komisariat.

– Waligóra. Karol Waligóra. To jego powinno się nazywać bohaterem. Zanim przyjechałem, on już wyciągnął kilku rannych z wagonu.

Samochód w tym czasie minął po prawej wielki plac budowy, przejechał Wilczą i skręcił w Bandurskiego.

– A widzieliście wagon? Coś was zdziwiło, zaniepokoiło?

Wycieraczki chodziły jak oszalałe. Deszcz ze śniegiem zamienił się w ulewę. Do tego zaczęło wiać. Silne poddmuchy łamały gałęzie i rzucały na ulicę.

– Wagon był przewalony. Koła leżały obok, jakby je ktoś wyrwał z podwozia. A, jeszcze coś...

Mężczyzna położył dłonie na kanapie kierowcy i wychylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

– Karol zauważył tuż pod kabiną jakąś wypaloną dziurę. – Franek odchrząknął i zamknął okno. Minęli boisko „Skry” i popędzili w górę Rostocką.

– Wypaloną dziurę?

Franek poczuł nieprzyjemny zapach z ust faceta. Przekreślił głowę. Po obu stronach mijali ogródki działkowe.

– Myślisz pan, że to były hamulce?

Pasażer zaczął szybciej oddychać.

– Nie wiem, ja się na tym nie znam, ale Karol, który z zawodu jest mechanikiem, twierdził, że to nie były uszkodzenia powstałe w czasie wypadku. Gdzie pana dokładnie wysadzić?

Dojeżdżali do kościoła na Warszawie.

– Skręć pan w prawo, niedaleko jest staw i taka polna droga, proszę w nią wjechać, tam wysiądę.

Franek znał to miejsce. Latem przychodził tu się kąpać z córkami. Wygwizdów. Żadnych domów, tylko kawał lasu i staw. Co on chce tutaj robić?

– A może mi pan jeszcze powiedzieć, gdzie mogę znaleźć pana Karola? – Mężczyzna naciągnął na dłonie skórzane rękawiczki.

– Myślę, że wystarczająco już panu powiedziałem. – Odniósł wrażenie, że ta rozmowa nie zmierza w dobrym kierunku.

Samochód zjechał z głównej drogi i skierował się w stronę zagajnika.

– Zostawić panu swoje dane? Jak będzie z tym mieszkaniem?

Pasażer sięgnął do kieszeni płaszcza.

– O, niech pan się zatrzyma przy tym wykopie nad stawem.

Moskwicz przejechał jeszcze z dwieście metrów i zatrzymał się tuż pod nasypem. W ciemności w świetle reflektorów można było rozpoznać otoczony tatarakiem brzeg stawu, wokół którego rosły targane teraz podmuchami silnego wiatru rozłożyste brzozy. Franek sięgnął do stacyjki. Nagle poczuł, jak jakaś potężna siła ciągnie go z powrotem na fotel, a cienki drut zaciska się na jego szyi. Próbował włożyć palce pod strunę, ale nie dał rady. W lusterku zobaczył twarz mężczyzny. Było w niej coś asymetrycznego. Nie, nie w twarzy, tylko w oczach. Żrenica w jednym oku znieruchomiała i spoglądała w zupełnie innym kierunku. Nie mógł złapać oddechu. Próbował zaprzeć się nogami o deskę rozdzielczą, ale tylko ślizgał się kolanami po kierownicy. Jego ciało się wyprężyło. Nagle poczuł, jak drut przecina skórę, krtań i wreszcie tchawicę, paląc jak gorące żelazo. Ból rozrywał teraz całe ciało. Nie miał sił walczyć. Zanim stracił przytomność, usłyszał jeszcze zgrzyt przycinanych mięśni i poczuł, jak drut zatrzymuje się na kości. To był ostatni dźwięk, który usłyszał, później zapadła ciemność.

Mężczyzna musiał upewnić się, że kierowca nie żyje. Wykonał kilka ruchów rączkami garoty, aż usłyszał dźwięk przypominający chrobotanie. To zawsze oznaczało koniec. Mógł jeszcze popiłować. Wiedział, że ta nowa struna fortepianowa potrafi zdziałać cuda. Nieraz kończyło się to dekapitacją klienta, ale to oznaczało więcej czasu na sprzątanie, a tego nie miał. Wytarł strunę o koszulę taksówkarza i schował garotę do aksamitnego woreczka. Wysiadł. Otworzył drzwi kierowcy i przepchnął zwłoki na siedzenie pasażera. Usiadł za kierownicą. Sięgnął do kurtki mężczyzny. Wyciągnął portfel. Zauważył też złotą obrączkę na palcu. Przez chwilę myślał o garocie, ale okazało się, że ściągnięcie obrączki z palca nie stanowiło większego problemu. Podsunął rękaw od koszuli, w świetle lampki kabinowej zajaśniał metal. Jak mógł tego nie zauważyć wcześniej? To była bransoletka męska z jakimś grawerunkiem. Jednym szybkim ruchem zerwał ją z ręki nieboszczyka. Przyjrzał się z bliska. Na metalowej blaszce widniały słowa: *Dziękuję, że mnie uratowałeś. Zosia.* Mężczyzna skrzywił się i schował bransoletę do kieszeni płaszcza. Sięgnął do taksometru. Garść bilonu wylała się do tej samej kieszeni, a banknoty schował do kieszeni spodni. Otworzył schowek. Nie znalazł nic interesującego. Powyrzucił tylko jego zawartość na podłogę. Jakieś mapy, śrubokręt i otwieracz. Blacharze nie powinni mieć problemu z rozpoznaniem morderstwa na tle rabunkowym. Włączył zapłon i wjechał na nasyp. Od stawu dzieliło go może dziesięć metrów. Dobrze, że jest górka, pomyślał. Wrzucił na luz, sięgnął do tyłu po parasol i wysiadł z samochodu. Wokół panowały ciemności. Podmuchy silnego wiatru powodowały, że mały staw zamienił się w targaną falami ciemną, groźną masę. Spadające z drzew suche gałęzie uderzały w dach moskwicza. Mężczyzna obszedł wóz, próbując utrzymać równowagę, zaparł się i z całej siły pchnął go do przodu. Zacinające od strony wody krople deszczu sprawiały wrażenie, jakby były wypluwane przez wzburzony staw. Samochód powoli

potoczył się w dół. Po kilku metrach nabrał wystarczającej prędkości, by wpadając do wody, wywołać falę, która nieomal zmyła mężczyznę z nasypu. Przez chwilę moskwić jak pokraczny olbrzym nieśmiało rozważał, czy na pewno chce dokonać żywota w odmętach brunatnej wody, ale po kilku sekundach staw wciągnął go w ciemną otchłań. Mężczyzna otrzepał się, postawił wysoki kołnierz płaszcza i naciągnął mocniej na głowę skórzany kapelusz. Nie śpiesząc się, spokojnym krokiem ruszył w kierunku miasta.

[16] Obecnie ta część ulicy nie istnieje. W jej miejscu stoi kompleks PAZIM.

[17] obecnie ul. Piłsudskiego

[18] obecnie plac Armii Krajowej

Odprawa

Teatr Lalek „Pleciuga”, al. Wojska Polskiego 64, Szczecin, 4 stycznia 1968 roku

– Nie mylicie się. To jest teatr lalek. Szczecinianie nazywają go „Pleciugą”. Chuj wie dlaczego. – Joanna poprawiła okulary w kształcie kocich oczu i stanęła przed tablicą. – To w tym pięknym budynku będzie nasza dziupla. Ja nazywam się Aśka Krauze i jestem kapitanem Służby Bezpieczeństwa. Zostałam przydzielona przez ministra spraw wewnętrznych do prowadzenia tego śledztwa.

Siedzieli na krzeselkach w pustym pomieszczeniu. Na ścianach zamiast obrazów znajdowały się malowidła wykonane przez dzieci. Przedstawiały trudne do zdefiniowania zwierzątka, kolorowe kotki i jednookie ptaszki. Na jednej ścianie jakieś bardziej kreatywne dziecko namalowało okno wychodzące na czerwoną rzekę, na innej pieska albo wielbłąda stojącego na niebieskim mostku. To ostatnie dzieło przyciągnęło uwagę Ugne, bo przyglądał mu się ze szczególnym zainteresowaniem. Ten niebieski mostek...

– Ministerstwo zabezpieczyło nam całe drugie piętro i część piwnicy. Na parterze będzie nadal funkcjonował jak gdyby nigdy nic teatrzyk. Mnie i towarzysze Romanowskiej przydzielono pokoje na końcu korytarza. Będziemy tu mieszkać w czasie śledztwa.

Basia nie spuszczała wzroku ze stojącej w rozkroku kobiety.

– Będziecie mieć tu wszystko, co jest niezbędne do przeprowadzenia śledztwa. Towarzyszowi Wajdzie zorganizowaliśmy w piwnicy laboratorium kryminalne. A naszemu asowi dochodzeniówki, by mógł pisać soczyste raporty, załatwiłam maszynę do pisania z tej jego ulubionej faszystowskiej fabryki Stoewera. Ugne, czy ci przeszkadzam?

Wzrok wszystkich przesunął się w kierunku siedzącego z wyciągniętymi przed siebie nogami mężczyzny. Ugne sięgnął po butelkę kryniczanki i upił porządny łyk.

– Nie powiem, ładniej tu niż w miejscu, gdzie ostatnio się kisiłem, ale na jaką cholere ta cała szopka? – Ugne wyciągnął paczkę giewontów i zapalił jednego.

Joanna podeszła do okna i szeroko je otworzyła. Nad Szczecinem wisiały stalowe chmury. Padał deszcz. Okno wychodziło na Wojska Polskiego, ale bardzo dobrze było z niego widać plac Lenina. Do pomieszczenia wdarł się podmuch zimnego powietrza.

– Podejrzewamy, że katastrofa tramwaju na Wyszaka nie była wypadkiem. – Kobieta podeszła do Galanta i sięgnęła po papierosa, którego ten trzymał w ustach. Zaciągnęła się i z powrotem wsadziła mu go między wargi. Basia spojrzała z wyrzutem na milicjanta. – Waszym zadaniem jest dowiedzieć się, jaka jest prawda. Każdego dnia będą do nas spływały raporty z prokuratury, która oficjalnie prowadzi śledztwo w tej sprawie. Będziemy też na bieżąco z działaniami podejmowanymi przez milicję. W pomieszczeniu obok znajduje się centrala. Nie rozmawiamy z nikim ze Szczecina. Ani z SB, ani z milicji, ani z partii. Tylko z Warszawą. Do waszej dyspozycji są trzy samochody. Warszawa, stary milicyjny łaźnik i ten poniemiecki złom, którym wcześniej jeździł Galant.

– Dlaczego nie są o tym poinformowane oficjalne organa partii? – spytała z przekąsem Basia. – Nie chciałabym się dowiedzieć, że uczestniczymy w jakiejś rozgrywce pomiędzy ludźmi, którzy do prywatnych gier wykorzystują pozycję osiągniętą dzięki klasie robotniczej.

Joanna podeszła do Basi i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Spokojnie, towarzyszko, minister Moczar wie, co robi. – Odwróciła się i skierowała do lwowiaka. – Każdy z was otrzyma list polecający od ministra spraw wewnętrznych. To będzie wasza tarcza. Spotkaliście się z takim rozwiązaniem już wcześniej, zatem wiecie, o czym mówię, prawda, towarzyszu Wajda?

Lwowiak nie czuł się dobrze w towarzystwie tej kobiety. Unikał Służby Bezpieczeństwa i wszystkiego, co z nią związane. Starał się też nie mieszać w politykę. Był jednym z najlepszych specjalistów w zakresie kryminalistyki w Polsce. Nic innego go nie interesowało. No, może poza Żenią.

– Wiem, że pracowaliście razem przy sprawie sekty ze Wzgórza Kupały. – Joanna znowu stanęła obok tablicy. – Poradziliście sobie z tym skomplikowanym śledztwem. Nie tylko przysłużyliście się mieszkańcom Szczecina, ale też partii.

Z kąta, w którym siedział Ugne, doszedł głośny rechot. Joanna nie zareagowała.

– Wiem, że w nagrodę zostaliście awansowani...

– Nie wszyscy – rzucił ochryple Galant. – Ale o tym doskonale wiesz, Dorotko.

Ugne z trudem podniósł się z krzeselka. Czuł się fatalnie. Od trzech dni nie pił. Dygotał. Miał problem z utrzymaniem butelki wody w dłoni. Poczłapał do okna i je zamknął. Krauze nie zareagowała. Zrobiła trzy kroki w stronę stojącego w kącie biurka, otworzyła szufladę i wyciągnęła teczeki, które rozdała pozostałym.

– To są raporty z prokuratury, notatki milicjantów uczestniczących w akcji siódmego grudnia, artykuły w lokalnych gazetach oraz teksty, które zostały wstrzymane przez cenzurę. Na końcu macie listę świadków i pierwsze protokoły z przesłuchań. – Wróciła i usiadła na biurku. Nogi skrzyżowała przed sobą. – Co wiemy? – Spojrzała na Galanta, który przycupnął na parapecie i zapalił papierosa. – O przebiegu katastrofy nie będę wam mówiła, wszyscy wiecie, co się stało. Naszym zadaniem jest znalezienie luk, niezadanych pytań, pominiętych śladów, tego wszystkiego, czego nie ma w tych kwitach.

Basia, nie podnosząc głowy znad teczeki z dokumentami, cicho odchrząknęła.

– Tak, Basiu? – Joanna wskazała ołówkiem na Romanowską.

– Po pierwsze, nie Basiu, a porucznik Romanowska, pozwól towarzysza, że koleżanki będę sobie sama wybierała.

Lwowiak zakrył usta, by nie ryknąć śmiechem.

– Po drugie. Oczekuję od towarzyszy jednej rzeczy. – Basia podniosła głowę i spojrzała Joannie w oczy. – Prawdy. Wiem, że dla pracowników Służby Bezpieczeństwa może to być wyzwanie, ale my tu w ten sposób pracujemy.

Krauze sięgnęła po papierosa. Basia kontynuowała.

– Skąd w ogóle hipoteza, że mogło to być celowe działanie? Dlaczego prowadzimy równoległe śledztwo z prokuraturą regionalną w Szczecinie? Dlaczego się ukrywamy? – Po pomieszczeniu rozszedł się zapach mentolowego tytoniu. – I ostatnie. Dlaczego esbek prowadzi to postępowanie? Jeżeli nie otrzymam tych odpowiedzi, jeszcze dziś wracam do Gdańska. – Romanowska wstała i skierowała się do drzwi wyjściowych.

– Dobrze. – Krauze podniosła się. Rzuciła niedopałek na drewnianą podłogę i zgasiła go butem. – Słyszeliście kiedyś o „puławianach” i „natolińczykach”? – Przebiegła wzrokiem po twarzach. – To dwie frakcje w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dwie wizje naszego ludowego państwa. Podejrzewamy, że jedna grupa chce zdyskredytować drugą. Świetnym sposobem na odsunięcie jednych od koryta jest wykazanie ich nieudolności. Najlepiej w obliczu sytuacji kryzysowej, która dotyka zwykłych ludzi.

– Zaraz. – Galant wypuścił dym z płuc. – A którą frakcję reprezentujesz?

– Trzecią. Tę właściwą. – Krauze uśmiechnęła się pod nosem. – Zaraz po wypadku pojawiły się w przestrzeni publicznej, tej oficjalnej i nieoficjalnej, plotki, niesprawdzone informacje i zarzuty pod adresem szczecińskiego kierownictwa partii. Na szczęście w miarę szybko je wychwyciliśmy i rozbroiliśmy. Tyle tylko że nie znamy prawdy. Nie wiemy, czy rzeczywiście mogło dojść do dywersji, a jeżeli tak, to kto jej dokonał. Nie możemy ufać lokalnej milicji, członkom partii ani ludziom ze służb. Dlatego pracujemy tutaj i w taki sposób. Czy taka prawda wystarczy towarzysze?

Kobieta odwróciła głowę i spojrzała na stojącą w drzwiach Basię.

– Jeżeli zatem nie ma więcej pytań, to zabierajcie się do roboty. Towarzysko, jak już się rozpakujecie, proponuję spotkać się z konduktorką. – Widziała, jak Basia gotuje się w środku. – Tak, z tą konduktorką.

Odwróciła się w kierunku siedzącego na parapecie mężczyzny.

– Milicja wciąż nie zlokalizowała tych dwóch taksówkarzy, którzy pomagali rannym. Znajdź ich. Chciałabym mieć również zeznania tej pielęgniarki, która im towarzyszyła.

Ugne podniósł się i przyspieszył kroku, by zdążyć, zanim Basia wyjdzie z pomieszczenia.

– Panie Lwowiak, bo tak was chyba nazywają. Zapraszam do pracowni alchemika, przez niektórych nazywanej piwnicą. Sprawdzimy, czy mamy wszystko do robienia czarów.

Była od niego wyższa o głowę, więc jak go objęła, to wyglądali razem jak uczeń z nauczycielką. Ugne podbiegł do Basi na schodach. Próbował chwycić ją za dłoń, ale ją odtrąciła, zmierzyła go wzrokiem i bez słowa szybkim krokiem wyszła z budynku.

Lwowiak

Uniwersytet Iwana Franki, Lwów, 13 kwietnia 1946 roku

Z zasady nie siedział tak długo na wykładach. Tym razem jednak było inaczej. Został dłużej, bo zajęcia z prawa karnego prowadził profesor Makarewicz[19], guru polskiego prawa. Człowiek, który stworzył pierwszy współczesny polski kodeks karny. Jego zajęcia stały się tak popularne nie tylko dlatego, że był jednym z najmądrzejszych ludzi na Uniwersytecie Iwana Franki we Lwowie, ale głównie z powodu jego przeszłości. Wśród studentów prawa chodziła plotka, że profesor zaraz po wojnie został aresztowany przez Sowietów i wywieziony do pracy w kopalni w Donbasie. Nie złamali go, a dzięki wstawiennictwu samego Bieruta został uwolniony. Makarewicz nie komentował tych plotek. Ucinał każdy temat związany z jego życiem prywatnym. Wajdy ono nie interesowało. Starał się też unikać polityki. Nie zabierał głosu, gdy inni studenci na przerwach emocjonalnie rozprawiali o przyszłości Lwowa, szykanach czy migracji do Polski. Nie chciał wyjeżdżać. W Brodach mieszkali jego rodzice. Studiował na dwóch kierunkach. Na uniwersytecie prawo, a we Lwowskim Instytucie Politechnicznym fizykę i matematykę. Wierzył, że z takimi papierami nietrudno będzie mu znaleźć pracę tu, na miejscu.

Kiedy profesor zakończył wykład, rozległy się brawa. To były jedyne zajęcia, które zawsze kończyły się w ten sposób.

Było całkiem ciepło. Właśnie zaczął padać deszcz. Wajda wychodził jako jeden z ostatnich. Wynajmował niewielki pokój w kamienicy numer siedem po drugiej stronie parku Iwana Franki. Latarnie miejskie rozświetliły się ciepłym blaskiem. Czuł było zapach kwitnących dębów. Przez ulicę Uniwersytecką przejechał gazik z wielką czerwoną gwiazdą na masce. Wajda przeszedł na drugą stronę ulicy i bez pośpiechu wszedł w parkową główną aleję. Po obu stronach rosły stare, rozłożyste dęby. Nie miał parasola, ale tym się nie przejmował. Lubił szwendać się w czasie deszczu. W nieco przydługim prochowcu wyglądał, co prawda, jak biedny batiar, wycięty z kadru filmu *Włóczęgi*, ale moda była ostatnią rzeczą, na którą zwracał uwagę. Szedł środkiem alei. Minęła go jakaś para, która w pośpiechu próbowała uciec przed deszczem. Mężczyzna w wyciągniętych do góry rękach trzymał kurtkę, pod którą kuliła się niska brunetka. Wajda uśmiechnął się. Deszcz padał coraz intensywniej. Wokół nie było żywej duszy.

Gdy dotarł do rotundy, stwierdził, że jednak przeczeka ulewę w środku. Wyciągnął drewnianą fajkę i zapalił. Wytarł szkła okrągłych binokli i ponownie je założył. Po altanie rozszedł się zapach tytoniu. W pewnym momencie zza parkanu z laurowiśni dobiegł go krzyk kobiety. To było jakieś sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym stał. Na początku pomyślał, że to złudzenie. Po chwili jednak wołanie się powtórzyło.

– Pomocy!

Krzyk dobiegał z alejki spacerowej, wzdłuż której stały drewniane ławki. Były ukryte w otoczonych parkanem leśnych zagajnikach. Wajda schował fajkę do kieszeni prochowca i pobiegł w kierunku, z którego dobiegał głos. Stanął za parkanem i wychylił głowę. Na ławce leżała półnaga kobieta. Rozpaczliwie szamotała się z radzieckim żołnierzem, który jedną ręką próbował jej zakryć usta, a drugą zrywał spódnicę. Z oparcia zwisała kurtka dziewczyny i jej rozerwana bluzka. Lwowiak spojrzął pod ławkę. Na ziemi obok sporego kamienia leżał hełm z czerwoną gwiazdą, pepesza i butelka wódki. Wajda cofnął się za krzewy.

– Ratunku!

Dopiero teraz uświadomił sobie, że zna tę dziewczynę. To była studentka, chyba trzeciego... nie, drugiego roku matematyki. Widywał ją w jadalni.

– Zamknij się, polska suko!

Lwowiak nabrał powietrza. Nie mieszaj się! Wewnątrz głos próbował zakrzyczeć sumienie. Wiedział, że cokolwiek teraz zrobi, to się źle dla niego skończy. Może odejść, nikt go przecież nie widział. Nawet ta dziewczyna. Może to zakochana para, która się po prostu pokłóciła. Przecież są Polki, które chodzą

z radzieckimi żołnierzami. Wajda odwrócił się.

– Boże, niech mi ktoś pomoże!

Jej głos stawał się coraz słabszy. Kazik rozejrzał się. Wokół żywej duszy. Jego ścisły umysł zaczął teraz pracować na wyższych obrotach. Skoncentruj się! Zerwał z siebie prochowiec. Zrobił trzy kroki i po chwili stał tuż obok ławki. Zarzucił prochowiec na parę. Podniósł wielki kamień i z całej siły spuścił go mężczyźnie na głowę. Mężczyzna znieruchomiał. Chwilę poczekał i zerwał prochowiec. Żołnierz miał wielką krwawą ranę z tyłu głowy. Wajda sprawdził mu puls. Rusek nie żył. Kazik pochylił się nad dziewczyną i przyłożył ucho do jej ust. Oddychała. Przeniósł kamień półtora metra od ławki, na alejkę spacerową. Działał jak w transie. Odwrócił płaszcz i podszewką prochowca wytarł dokładnie wszystkie miejsca na kamieniu, których dotykał. Podeszedł do ławki, chwycił trupa i przeciągnął go tuż obok siedziska. Umazał rąbek płaszcza w jeszcze niezakrzepłej krwi i wtarł ją w krawędź betonowej nogi ławki. Podciągnął ciało tak, aby głowa leżała tuż obok betonowego elementu. Podniósł butelkę wódki i całą jej zawartość wlał mężczyźnie do gardła. Na chwilę odszedł, by spojrzeć na całość z dystansu jak twórca, który ogląda swój obraz po ostatnim mażnięciu pędzlem. W porządku. Trochę to wszystko jest grubymi nićmi szyte, ale nic lepszego w tych okolicznościach nie dało się zrobić. To jest Armia Czerwona, a nie nowojorska policja. Pijany ruski żołdat potknął się i uderzył głową w betonową krawędź ławki. Upadł tak nieszczęśliwie, że doszło do krwotoku wewnątrzczaszkowego i śmierci. Wajda wytarł ręce w prochowiec i poprawił okulary. Nagle usłyszał, że dziewczyna odchrząknęła. Na mnie już czas, pomyślał i zrobił trzy kroki w kierunku parkanu. Szybko wszedł na główną aleję. Pogoda nie zapraszała do spacerów. Na drodze utworzyły się potężne kałuże. Wajda nie oglądał się za siebie. Zmierzał prosto do swojego pokoiku w zacisznej kamienicy, by opatulić się ciepłym kocem i zapomnieć.

* * *

Drżącymi palcami wyciągnął ze skrzynki na listy przesyłkę. Pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to Pieczęć Polskiej Komisji Ewakuacyjnej[20] na kopercie, która oznaczała jedno. Będzie mógł wyjechać do Polski. Bogu dzięki! Musi stąd jak najszybciej uciekać. Rozerwał kopertę. W środku była jedna kartka papieru. Zaczął szybko czytać.

Obywatel Kazimierz Jan Wajda przewozi ze sobą: konie sztuk... rogaciznę sztuk... świnie sztuk... kozy sztuk... inwentarza: pługi sztuk... i tak dalej.

Nic, nic nie przewożę. Tylko prochowiec.

[19] Juliusz Makarewicz – polski prawnik, wieloletni profesor prawa karnego Uniwersytetu Lwowskiego, w latach 1925–1935 senator RP. Główny autor kodyfikacji polskiego prawa karnego, kodeksu karnego z 1932, nazywanego „kodeksem Makarewicza”.

[20] Polska Komisja Ewakuacyjna od maja 1945 roku do 15 czerwca 1946 wydawała w porozumieniu z władzami sowieckimi karty ewakuacyjne, ewidencjonowała wyjeżdżających oraz ich mienie, rejestrowała liczbę polskich mieszkańców przeznaczonych do przesiedlenia.

Świadkowie

Zajezdnia tramwajowa, ul. Rewolucji Październikowej, Szczecin, 7 stycznia 1968 roku

Zaparkowała tuż przy bramie prowadzącej na Cmentarz Majdański. To był dobry punkt obserwacyjny. Widziała każdego, kto wchodził do znajdującej się po drugiej stronie zajezdni tramwajowej. Była szósta rano. Zbierało się na deszcz. W ostatnich dniach temperatura nie spadła poniżej zera, w związku z czym brukowana jezdnia wyglądała jak trasa wyścigów motorowych. Kałuże i błoto. Błoto i kałuże. Basia czuła, że wpada w depresję. Brakowało jej zapachu morskiej bryzy, promieni słońca przebijających się przez granitowe chmury. Oparła się o drzwi i położyła nogi na kanapie pasażera. Sięgnęła po gazetę leżącą w schowku. To był „Głos Szczeciński”. Na pierwszej stronie wielki tytuł: *Przeciwko izraelskim agresorom. Poparcie dla stanowiska rządu PRL. Masowe wiece szczecińskich załóg*. Na zdjęciu smutne i pozbawione nadziei twarze robotników w fartuchach i z kaskami na głowach, bijących brawo. Rzuciła okiem na pogrubiony tekst. *Oklaski, którymi hutnicy akceptują słowa rezolucji, nie są tylko zdawkowym potwierdzeniem ich zdania. Wola hutników – to świat bez wojen, to sprawiedliwy podział dóbr, to praca dla wszystkich, to wola robotniczego Stołczyna. Co to jest? Coś ją ominęło? Przerzuciła stronę. Kolejny tekst niejakiego Wiesława Rogowskiego. *Niedaleko Europy. Przeczytała wytłuszczoną zajawkę. *Jeśli zaś są tacy obywatele naszego państwa, którzy nie podzielają tego stanowiska, stawiają się w sytuacji, która zmusi ich do dokonania wyboru, do odpowiedzi, jak i gdzie dalej żyć.* Przerzuciła kolejną stronę. *My, pracownicy szczecińskiej prasy i dziennikarze, dolożymy wszystkich sił, aby jeszcze bardziej wzmocnić jedność narodu polskiego wokół słusznej polityki partii i rządu PRL.* Przerzuciła na stronę tytułową. Spojrzała na datę. 23 czerwca 1967[21]. Przecież to była gazeta sprzed pół roku. Otworzyła schowek i wrzuciła ją z powrotem. Podniosła głowę. Od strony Krasieńskiego szybkim krokiem szła kobieta. Miała na sobie ciepły, szary płaszcz i chustę na głowie. Basia od razu ją poznała. Wyskoczyła z warszawy i podbiegła. Spotkały się tuż przed wejściem do zajezdni.**

– Dzień dobry – przywitała się przyjaźnie Basia.

Kobieta spojrzała na nią nieufnie, ale grzecznie odpowiedziała.

– Dzień dobry. – Jej matowy głos był ledwie słyszalny.

– Czy mam przyjemność z towa... z panią Pressejsen?

– Tak, czy ja panią skądś znam?

Kobieta się nie zatrzymywała.

– Nie, pani Krystyno. Jestem z milicji.

Pressejsen zwolniła i jeszcze raz przyjrzała się drobnej kobiecie.

– Nie chciałam pani fatygować na komisariat – zaczęła się tłumaczyć Basia.

– Przecież już byłam przesłuchiwana. – Kobieta, przechodząc obok dyżurki, machnęła na powitanie siedzącemu tam mężczyźnie, który akurat zalewał wrzątkiem herbatę w szklance. – Wszystko powiedziałam.

Weszły na brukowany dziedziniec i skierowały się do wielkiej hali.

– Tak, wszystko w porządku, pani Krystyno, chciałam tylko uzupełnić kilka informacji. Zajmie to nam kilka, może kilkanaście minut.

Kobiety podeszły do dwuskładowego tramwaju w kolorze żółto-czerwonym, na którego dachu ktoś umieścił transparent z napisem: **CZYN PRODUKCYJNY DLA UCZCZENIA V ZJAZDU PZPR.**

– No dobrze, ale pozwoli pani, że będę się przygotowywała, bo za piętnaście minut zaczyna się mój kurs.

Kobieta weszła do kabiny tramwaju i ściągnęła płaszcz.

– Oczywiście, pani Krystyno.

Basia usiadła z tyłu na pierwszym z drewnianych siedzeń.

– Proszę opowiedzieć, co pani pamięta z tamtego dnia.

Krystyna włożyła marynarkę i czapkę. Przejrzała się w lusterku.

– Przydzielono mi wagon typu N z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, numer boczny dwieście czterdzieści jeden, to taki kanciasty z drewnianymi ławkami. I dwa wagony doczepne, te nazywane pulmanowskimi, jeszcze niemieckie, z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, z jednymi drzwiami na środku. Zgodnie z grafikami moja służba miała trwać do godziny czternastej jedenaście[22].

– Czy przed samym wypadkiem wydarzyło się coś, co szczególnie utkwiło pani w pamięci? – dopytywała Basia.

– Tak. Śniło mi się, że tramwaje się przewracały. Nie wierzyłam w sny, to dla mnie były takie bajki. Jednak sen siedział we mnie, jakbym wyczuwała nieszczęście. Opowiedziałam o nim dyspozytorowi, śmiał się.

– Wiemy, że zanim doszło do katastrofy, spadł łańcuch łączący oba wagony. To było naprzeciw delikatesów na Niepodległości. Zatrzymała się pani i zamocowała łańcuch. – Basia spojrzała do teczki. – Przez kilka minut rozmawiała pani z pracownikiem MPK. Powiedziała mu pani, że nie chce dalej jechać.

Pressejsen zaczęła przecierać szmatką nastawnicę.

– Nie chciałam jechać, bo tramwaj był bardzo przeciążony. Jadąca przed „szóstką” „jedyńka” przepuściła mnie. I ci, którzy mieli ją jechać, wsiedli do „szóstki”. „Proszę zejść ze stopni, bo będzie wypadek” – mówiłam. Bałam się, że ktoś zleci. Ludzie zakrzyczeli mnie. No i pojechałam.

Basia jeszcze raz spojrzała w dokumenty.

– Była szósta trzydzieści pięć, gdy wjechała pani na stromy zjazd. To był najtrudniejszy manewr, bo musiała pani skrócić precyzyjnie w lewo z Wyszaka, potem w prawo i jeszcze raz w lewo w ulicę Jana z Kolna. I to w tym momencie z przodu tramwaju pojawił się ogień?

– Tak. – Krystyna Pressejsen usiadła obok Basi. – Tu się pali, spod kół idą iskry. Ja kręcę wajchami, nic z tego. Ludzie przerażeni, krzyk, widzę, że niektórzy skaczą.

Basia spojrzała w dokumenty.

– Wiemy, że próby hamowania podejmowały też konduktorki z drugiego i trzeciego wagonu. Niestety na pierwszym zakręcie tramwaj wypadł z szyn. Drugi wagon uderzył w słup trakcyjny. Złamał się w połowie i przewrócił na bok. Ostatni zatrzymał się tuż za torami. Pani była w wagonie, który doznał największych zniszczeń.

Krystyna ukryła twarz w dłoniach.

– Już nic nie słyszałam, jakbym była pod narkozą. Dopiero jak tramwaj rąbnął o bruk, ocknęłam się. Zobaczyłam koło siebie kobietę z przeciętymi nogami. Ja wisiałam na nastawnicy. Zdjęli mnie z niej ludzie. Nic mi się nie stało. Gdyby tramwaj się nie przewrócił, zmiotłby stację benzynową i wleciał do Odry. Wszyscy byśmy się utopili[23].

– A czy dostrzegła pani jakieś nietypowe zachowania świadków, czy też dziwne, zastanawiające uszkodzenia wagonu?

W czasie gdy Basia zadawała pytanie, z tyłu dotarł do niej dźwięk męskiego głosu.

– Dzień dobry, pani Krystyno!

Do tramwaju zmierzał mężczyzna w mundurze strażnika. Ten sam, któremu wcześniej pomachała w dyżurce.

– Dobrze, pani Krystyno. Nie będę już pani przeszkadzała w pracy. – Basia schowała długopis do teczki i podała kobiecie rękę. – Serdecznie dziękuję, już nie będziemy pani niepokoić.

Basia zeskoczyła z wagonu i szybko skierowała się w stronę warszawy. Jeszcze na chwilę się odwróciła i zobaczyła w trzecim składzie z numerem trzy mężczyznę, który siedział na miejscu motorniczego i bacznie ją obserwował. Nie był ubrany jak pracownik MZK. W jego wzroku było coś dziwnego, niesymetrycznego, wręcz upiornego. Przeszedł ją dreszcz. Odwróciła się i przyspieszyła kroku.

* * *

Galant przez chwilę próbował wsadzić kluczyk do stacyjki, ale po piątym podejściu dał sobie spokój. Ręce mu tak drżały, że musiał je wsunąć do kieszeni kurtki. Czuł, że rozpada się na tysiące kawałeczków. Wsiadł i wściekle trzasnął drzwiami stoewera. Cieszył się jak diabli, że mu go zwrócili, i to w lepszym stanie, niż go oddawał. A teraz nie mógł nawet uruchomić silnika. Stoewer R200 specjal, wyprodukowany w fabryce w Szczecinie specjalnie na potrzeby dywizjonu Ramcke, wchodzącego w skład Afrika Korps

Rommla. Symbol zamierchłej potęgi tego miasta. Postawił kołnierz i spojrzął w niebo. Było już jasno, stalowe chmury zapowiadały kolejny dzień lodowatego deszczu. Splunął. Musi się napić, inaczej zwariuje. To już trzecia doba bez alkoholu. Nie może o tym myśleć. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni emki i wyciągnął zmięte notatki. Rozprostował kartkę papieru. Karol Waligóra, taksówkarz MZK. Milicja jeszcze nie zdążyła go przesłuchać. Dobrze byłoby go złapać przed blacharzami z miejskiej. Gdzie on właściwie mieszka i dlaczego nie odbiera wezwań na komendę? Ugne jeszcze raz spojrzął na pogniecioną kartkę papieru. Krzywoustego 71. Niedaleko.

Zapiął kurtkę i ruszył w kierunku Piastów. Mniej więcej w połowie drogi zaczęło padać. Ludzie pod czarnymi parasolami mijali go w pośpiechu. Przebiegł na drugą stronę Piastów i skręcił w Bohaterów Getta Warszawskiego. Mijał obskurne poniemieckie kamienice. Z bram zalatywało wilgocią i moczem. W niektórych błyskały czerwone żarzące się punkciki. Po zapachu można było je rozpoznać. Junaki albo sporty. Pałacy nie wychylali się. Czekali na słabsze okazy. Przyśpieszył. Minął „Szczeciniankę”, starając się nawet nie spoglądać w jej kierunku. Po chwili był już na placu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej[24]. Białe ławki ustawione wokół skweru, na co dzień okupowane przez matki z małymi dziećmi i starsze panie, teraz tonęły w lodowych kałużach. Skręcił w Bogusława. Mijał skromne, pachnące z daleka naftaliną, poukrywane w oficynach i za skromnymi wystawami zakłady szewskie, salony sukien ślubnych. Stawiał kroki ostrożnie, żeby nie wdepnąć w psie odchody, których na tej ulicy było wyjątkowo dużo. Minął Delikatesy na rogu Krzywoustego i Bogusława i przebiegł na drugą stronę ulicy. Wciąż lało, a do tego zaczęło mocniej wiać. Wskoczył do bramy. Śmierdziało stęchlizną. Wbiegł po drewnianych schodach na drugie piętro. Panował półmrok. Przez wysokie okna wychodzące na dziedziniec wpadało niewiele światła. Stał przed obitymi blachą drzwiami. Pośrodku znajdował się wielki, okrągły judasz. Na wycieraczkę leżały listy i wezwania. Ugne uderzył kilkakrotnie pięścią w drzwi. Cisza. Podbiegł piętro wyżej i zapukał do najbliższego mieszkania. Po chwili w lekko uchylonych drzwiach pojawiła się twarz starszej, siwej kobiety, która na widok wysokiego mężczyzny lekko się cofnęła.

– Dzień dobry.

Mógł się tylko domyślać, jak musiał wyglądać w tym półmroku, w wojskowej kurtce, przemoknięty, zarośnięty, z pokiereszowaną facjatą.

– Jestem z milicji. Próbuję odnaleźć pana Waligórę. Nie wie pani, dlaczego go nie ma?

Kobieta jeszcze raz zlustrowała mężczyznę od góry do dołu. Ugne wyciągnął legitymację i zbliżył do drzwi. Przez chwilę przyglądała się dokumentowi, po czym cichutko odpowiedziała:

– Ja tam nie chcę mieć nic z milicją do czynienia. Pan Karol to dobry człowiek, nie mogę złego słowa na niego powiedzieć.

Starowinka już miała zamykać drzwi, ale Galant lekko je przytrzymał.

– Rozumiem, ale dlaczego nie przychodzi do pracy? Dlaczego nie wraca do domu?

Kobieta uniosła głowę i spojrzała milicjantowi w oczy.

– A kto panu powiedział, że nie wraca do domu? Wraca, ale bardzo późno. Od czasu tego nieszczęsnego wypadku właściwie tylko pije. Ech, szkoda, bo to dobry chłopiec.

Starowinka zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, choć próbował jeszcze dopytać ją o kilka szczegółów. Usiadł na schodach i zapalił papierosa. Chwilę się zastanawiał nad kolejnym krokiem. Z dołu dobiegł go odgłos podkutych butów. Po chwili zobaczył przed sobą barczystego mężczyznę w kurtce przeciwdeszczowej, trzymającego w rękach siatkę z zakupami.

– Dzień dobry. – Mężczyzna uchylił lekko берет.

– Dzień dobry – odpowiedział Ugne. – Przepraszam, gdzie tu się można napić?

Mężczyzna przystanął i spojrzął z góry na Galanta.

– Daleko pan nie ma. Wszyscy piją na dole w „Staropolance”.

Idiota. Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślał? Wstał, zgasił papierosa na drewnianym stopniu i zbiegł na dół. Bistro znajdowało się na rogu Krzywoustego i Bogusława. W środku panował zaduch. Przy długich drewnianych blatach siedzieli głównie mężczyźni. Dym papierosowy unosił się nad każdym ze stołów. Zamiast krzesel były wysokie, obite bordowym skajem taborety. Naprzeciwko wejścia znajdowała się sześciometrowa lada, za którą na półkach stały butelki z różnymi alkoholami. Za barem krzątała się drobna brunetka z krótkimi włosami. Miała na sobie białą koszulę i żółty fartuch. Uśmiechała się. Ugne spojrzął na zegarek. Było dziesięć po jedenastej.

– Kaszanka z bułką i musztardą! – dobiegło z kuchni i w okienku znajdującym się u szczytu lady pojawił się talerz z daniem. Kelnerka podeszła i odebrała zestaw. Spod lady wyciągnęła butelkę wódki i kieliszek. Sprawnym ruchem naląła sto gramów przezroczystego płynu i podała koleżance, która postawiła zestaw na tacy i zaniósła do stołu znajdującego się bliżej okna wychodzącego na ulicę Bogusława. Milicjant podszedł do dziewczyny z tacą.

– Szukam Karola z góry. Jestem jego bratem. Nie widziałas go może? – Dziewczyna przyjrzała się Galantowi i się uśmiechnęła.

– Tak, bratem... – Machnęła głową w kierunku rogu sali. – Tam siedzi. Już drugi tydzień. Może czeka na brata? – Ponownie się uśmiechnęła, ukazując niepełne uzębienie w kolorze przypalanej kości słoniowej.

W samym rogu sali siedział krępy mężczyzna, odwrócony plecami do wejścia. Był sam. Głowa zwisała mu nad talerzem flaków. Ugne usiadł obok niego w taki sposób, aby z tyłu mieć ścianę i widzieć wejście.

– Cześć, Karol!

Mężczyzna podniósł głowę.

– A ty to kto? – Jego błędny wzrok lustrował Galanta.

– Kolega z wojska. Napijesz się?

Karol nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Nie odmówię. – Ledwo utrzymywał się na wysokim taborecie.

– Szanowna pani, proszę dwie setki!

Po chwili do stołu podeszła dziewczyna z tacą.

– Nie podajemy samej wódki. – Ponownie uśmiechnęła się do Galanta.

– Dobrze, to prosimy o dwie meduzy[25].

Ugne odwdzieczył się równie szczerym uśmiechem. Gdy dziewczyna odeszła, milicjant położył swoje długie ramię na plecach mężczyzny.

– Karol, słyszałem, że zostałeś bohaterem. Mówią, że ludzi uratowałeś z wypadku.

Mężczyzna złapał widelec i przysunął milicjantowi do gardła.

– Uratowałem, ale to nie był wypadek.

Ugne chwycił dłoń mężczyzny w swój stalowy uścisk, a widelec wysunął się z dźwiękiem na podłogę. Ugne rozejrzał się po sali.

– Dobrze. Wierzę ci, ale nie róbmy przedstawienia. Jak to nie wypadek?

Do stołu podeszła kelnerka i postawiła przed mężczyznami kieliszki wódki i talerzyki z galaretą.

– Smacznego. – Puściła oczko do Galanta i odwróciła się na pięcie.

Ugne przez chwilę przyglądał się jej pośladkom.

– Dobrze, powiedz mi...

– Wszystko powiem, ale wpierw... – Karol uniósł kieliszek.

Waligórze wiele nie było trzeba, a Ugne na widok zimnej wódki poczuł ryk w trzewiach. To jego wewnętrzny upiór domagał się karmy. Galant wiedział, że nie wygra tej walki, chciał jednak jak najdłużej podtrzymać to poczucie, że jeszcze się nie poddał. Przecież jestem tu dla dobra sprawy. Tego wymaga śledztwo, powtarzał sobie w myślach. Poczul, że robi mu się gorąco. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku. Był w białym bawełnianym podkoszulku z długim rękawem, rozdartym tuż pod kołnierzykiem. Dopiero teraz można było przyjrzeć się jego nietypowej budowie ciała. Szeroka klatka piersiowa i długie umięśnione ramiona, a zarazem szczupła, a wręcz chuda postura powodowały, że rękawy podkoszulka kończyły się zaraz za łokciami. Ugne nie przejmował się tym, co nosi. Usiadł i jeszcze raz zmierzył wzrokiem kieliszek.

Nad drzwiami wejściowymi zadzwonił dzwonek oznajmiający wejście nowych gości. Ugne spojrzął w kierunku drzwi. Do środka weszło dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie skórzane kurtki z futrzanym kołnierzem. Jeden był w berecie, drugi w skórzanym kapeluszu. Rozejrzeli się. Niższy zatrzymał wzrok na Galancie i Karolu. Przez chwilę przyglądał im się w milczeniu, po czym wskazał swemu koledze stolik po drugiej stronie bistra.

– No to co, pijemy?

Karol zawisł na ramieniu Galanta.

– Wiesz co, Karol, wydaję mi się, że przeniesiemy się do innej knajpy. Co ty na to?

– Ale mi tu dobrze. – Taksówkarz już ledwie mówił.

– Zróbmy tak, ty tu poczekaj, a ja skombinuję dla nas jakiś transport. Tylko się stąd nie ruszaj.

Galant poderwał się i w biegu złapał kurtkę. Niczego nie mógł być pewien, ale wierzył swemu instyktowi. Miał świadka, którego nieudolnie poszukiwała milicja. Musiał go stąd zabrać, bo w takim stanie nic z niego nie wyciągnie. Przeczował też, że nie jest tu bezpieczny. Musiał zadzwonić po Baškę. Bo przecież, kurwa, nie mógł prowadzić swojego samochodu!

Wyskoczył z knajpy i przebiegł na drugą stronę ulicy. Wiedział, że budka telefoniczna jest tuż obok Delikatesów. Już z daleka widział, że w środku siedzi jakichś dwóch pijanych mężczyzn. Jeden wisiał na słuchawce, drugi chichotał, skrobiąc jednocześnie finką po aparacie telefonu. Ugne podbiegł do budki, otworzył drzwi i zdyszany wydusił z siebie:

– Dobra, panowie, kończymy!

Spojrzeni na niego, a potem na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Wypierdalaj, wapniaku, mamy tu konferencję z towarzyszem kuratorem – wyrzucił z siebie ten z wytatuowaną kropką pod okiem.

Ugne nawet się nie zastanawiał. Silnym kopniakiem w kolano spowodował, że ten z tatuażem padł jak długi. Złapał go za kołnierz i jednym pociągnięciem rzucił na chodnik przed budką. Drugi opuścił słuchawkę, by wyprowadzić prosty w twarz milicjanta. Ugne jedną ręką chwycił ramię mężczyzny, przytrzymał, a drugą ręką z całej siły pociągnął drzwi do siebie. Mężczyzna zawył z bólu. Ugne otworzył drzwi i szarpnął. Facet siłą rozpędu upadł na leżącego kolegę. Galant odwrócił się do obu.

– A teraz wypierdalać! – Wiedział, że zegar tyka.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kartkę papieru. Wyszukał numer telefonu. Nawet nie zauważył, że wyciągając notatki, wypadła mu z kieszeni legitymacja służbowa. Wybrał numer do „Pleciugi”. Po trzech sygnałach odezwał się męski głos.

– Alio?

– Lwowiak, kurwa, gdzie jest Baška?! – krzyczał do słuchawki.

– No, jeszcze nie przyjechała, a co?

Milicjantowi naprawdę się spieszyło.

– Jest Aška? Potrzebuję transportu.

– Gdzie? – Lwowiak wiedział, że Galant w takim nastroju nie żartuje.

– Bistro „Staropolanka”!

Galant rzucił słuchawkę i wybiegł z budki telefonicznej. Mężczyzn już nie było. Wbiegł na ulicę. Zatrzymał się. Przepuścił przejeżdżający ze zgrzytem tramwaj. Czuł, jak zegar odlicza upływające sekundy. Wpadł do knajpy. Spojrzał w lewo, tam gdzie ostatnio widział mężczyzn w skórkach. Stolik był pusty. Niedobrze, pomyślał. Spojrzał w prawo, tam gdzie zostawił taksówkarza. Kamień spadł mu z serca. Karol leżał wtulony w zasłonę, z jedną ręką pod głową, a drugą w talerzu. Ugne złapał oddech i wyciągnął papierosa. Niska kelnerka o czarnych włosach ponownie się do niego uśmiechnęła. Może jak odwiezie Karola, powinien tu wrócić? Zapalił i skierował się w stronę stołu, przy którym siedział taksówkarz.

– Widzę, że nie próżnowałeś. – Usiadł obok mężczyzny.

Ugne poklepał Karola po ramieniu, ale ten osunął mu się na uda. Milicjant chwycił ciało mężczyzny i podniósł. Z szyi taksówkarza trysnęła krew wprost na biały podkoszulek Galanta. Ugne próbował zakryć ranę dłonią, zatamować krwawienie, choć wiedział, że to w niczym już nie pomoże. Uniósł głowę i spojrzał na przerażoną twarz kelnerki, która w tym samym momencie zaczęła histerycznie krzyczeć. Zlustrował salę. Wiedział, że nikt już nic nie może zrobić. Przytulił mężczyznę do siebie. Pozostał w takiej pozycji, patrząc na biegających wkoło ludzi, którzy chaotycznie przewracali obite skajem taborety, zrzucali ze stołów kufle z piwem i talerze z niedokończoną golonką, podrywając się do panicznej ucieczki. Poczuł, jak lepka i gęsta ciecz rozlewa się po jego klatce piersiowej. Spuścił wzrok. Na białym podkoszulku rozkwitał krwawy kwiat.

[21] „Głos Szczeciński”, 23 czerwca 1967 roku

[22] „Najtragiczniejszy wypadek w historii komunikacji miejskiej w Szczecinie”. Opracowanie Dariusz Wołoszczuk <http://www.swiatowy.org/bilety/1967/wyszaka.html>

[23] „Najtragiczniejszy wypadek...”, dz. cyt.

[24] obecnie plac Zgody

[25] galareta z nówek

Narada

Gabinet I sekretarza KW PZPR w Szczecinie, pl. Żołnierza Polskiego, Szczecin, 6 stycznia 1968 roku

Walaszek przyglądał się pulchnym i rumianym twarzom siedzących za stołem mężczyzn. Przebiegł wzrokiem po ich wymiętych garniturach i przyciasnych koszulach. W głowie kotłowało mu się tysiące myśli. Który z nich kłamie? Prokurator generalny? Wątpliwe, za dużo ma do stracenia. Sobolewski? Nie, niedawno wszedł na prokuratora wojewódzkiego, ma dużą rodzinę do wykarmienia. Pewnie też nikt z przydyum. Nikogo z „natolina” tu nie ma. W końcu wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Przecież to oczywiste, że każda rewolucyjna zmiana zrzuciłaby ich ze stołków. To nie może być żaden z nich.

– Ciesz się, że towarzysz Kosztirko[26] znalazł czas i pofatygował się tu do nas z samej stolicy. – Siwy mężczyzna z precyzyjnie wycieniowanymi wąsami kiwnął głową. – Dziękuję również za przybycie prokuratorowi wojewódzkiemu, towarzyszowi Sobolewskiemu, komendantowi wojewódzkiemu MO, towarzyszowi Chlewickiemu[27], jego zastępcy towarzyszowi Głowackiemu[28] i naczelnikowi wydziału trzeciego, towarzyszowi Dukli oraz pozostałym członkom przydyum.

W pomieszczeniu panował półmrok. Ciężkie zgniłozielone zasłony skutecznie blokowały ostatnie promienie słońca, które nieśmiało przebijało się przez stalowe chmury. Mężczyźni siedzieli po obu stronach długiego stołu. Nie włączono górnego światła, zatem twarze uczestników były tylko lekko zarysowane przez rozproszony blask lampy stojącej na biurku pierwszego sekretarza, za którym on siedział. Tuż za jego plecami wisiał obraz w złotych ramach, przedstawiający przywódcę rewolucji Włodzimierza Lenina. Wódz przypominał współczesnego herosa, jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej zaś ścisnął „Prawdę”. Spoglądał przenikliwie w dal, niemalże jak człowiek, który posiadał magiczne zdolności, dar przewidywania przyszłości.

– Towarzysze, przejdę od razu do rzeczy.

Walaszek wyciągnął paczkę waweli i zapalił jednego.

– Każdy z was z pewnością słyszał o bolesnej dla nas wszystkich historii z wypadkiem tramwaju na Wyszaka. – Na chwilę zawiesił głos, by zobaczyć reakcję zebranych. – Tak. Okropność. Jak wiecie, organa śledcze prowadzą postępowanie w tej sprawie. – Spojrzał w stronę prokuratora wojewódzkiego. – Cierpliwie oczekujemy na efekty ich pracy. – Zaciągnął się nerwowo papierosem. – Niepokojące są jednak informacje czy też plotki, które zaczęły do nas docierać z różnych stron. – Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy. – Oskarżające nas, przedstawiciele mas proletariackich, oraz środowiska semickie o nieudolność, a wręcz sabotaż. – Po sali rozszedł się pomruk zdziwienia i oburzenia. – Tak, towarzysze. Jeżeli chodzi o Żydów, to nawet rozumiem, ale nas?! – Odkaslnął. – Na dowód tego przeczytam wam ulotkę, którą znaleziono w biurach MZK i na hali szwalniczej w „Danie”. Od razu zaznaczę, że sprawdzamy też, czy do podobnych incydentów nie doszło w innych zakładach przemysłowych.

W pomieszczeniu musiał panować skwar, bo na czołach uczestników pojawiły się pierwsze krople potu. Walaszek wstał i podszedł do stołu. W dłoni trzymał czterostronicową gazetkę.

– Posłuchajcie:

Szczecinianie i szczecinianki!

Władza zamordowała naszych najbliższych i przyjaciół, którzy jechali rano do pracy tramwajem numer 6. Mówią, że to był wypadek. Nie wierzcie im! Oni kłamią! Jak zawsze lżą. Z pewnych źródeł wiemy, że to nie był wypadek ani żadna katastrofa. To był zamach, w którym zginęły nasze żony, nasi mężowie i nasze dzieci. Nie od dziś wiadomo, że wśród członków PZPR jest wielu Żydów. Wiemy, że była to zaplanowana akcja mająca na celu wprowadzenie terroru na ziemiach, które zostały nam przywrócone. Wielu robotników, którzy jechali tym tramwajem, zajęło mieszkania po Żydach. Nie zapomnieli nam tego. To miała być zemsta tych, którzy tu jeszcze zostali. Szczecinianie i szczecinianki, nie pozwólcmy, by nas zabijali! Sami się zastanówcie, kto obok was nosi nazwisko żydowskie, zapytajcie, gdzie był wtedy, gdy umierali

Polacy w tym wagonie. Czy wiecie, jakie nazwisko nosi kobieta, która prowadziła ten tramwaj? Dlaczego ona przeżyła, a prawdziwi Polacy zginęli? Zapytajcie Walaszka i do niego podobnych, dlaczego pozwala na zabijanie prawdziwych Polaków. Oczekujemy prawa i sprawiedliwości!

Bractwo Sprawiedliwych

Walaszek ciężko sapął.

– To nie wszystko, towarzysze. – Rozłożył gazetę. – To są zdjęcia z miejsca katastrofy. – Mężczyzna drżącym palcem wskazywał fotografie przedstawiające ofiary katastrofy. – Myślicie, że na tym koniec?! Otóż nie, towarzysze! Zobaczcie, co oni piszą na ostatniej stronie! – Walaszek powoli odczytał treść ostatniego akapitu.

Jesteśmy w posiadaniu zdjęć i innych dokumentów świadczących o tym, że to nie był wypadek. Jeżeli nic się nie zmieni, opublikujemy je!

W gabinecie zapadła cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach, które zdawały się trwać wiele minut, odezwał się pierwszy z uczestników:

– Nie będę udawał, że mnie zaskoczyły te informacje – rozpoczął szef bezpieczeństwa. – To nie są jedyne sygnały, które do nas docierają. Sprawę bacznie obserwuje sam minister Moczar. – Mężczyzna odkaslnął. – Badamy okoliczności wypadku. Jest kilka znaków zapytania. Część podwozia z pierwszego wagonu została zdemontowana i wysłana do laboratorium kryminalistyki. Poszukujemy też kilku kluczowych świadków, którzy nie zostali jeszcze przesłuchani. Wiemy też, że wśród gapiów byli niezidentyfikowani osobnicy, którzy podburzali tłum.

– Przeciw komu podburzali? – Prokuratorowi generalnemu lekko drgały wąsiki, gdy zadawał to pytanie.

– No, przeciw Żydom i władzy.

– Przeciw Żydom to i my podburzamy! – nie wytrzymał Walaszek. – Chuj mnie oni obchodzą, ale dlaczego nas tym obarczają? I najważniejsze: kim są ci ONI?

Walaszek podniósł gazetkę i wskazał palcem.

– Kim jest to Bractwo Sprawiedliwych?!

– Wśród nas są sami swoi – wtrącił komendant wojewódzkiej milicji. – Nie oszukujmy się, najbardziej zainteresowany przewrotem byłby „natolin”. Ci tępi wyznawcy kultu Stalina tylko czekają na to, żeby wrócić do gry.

– Nie chciałbym wychodzić przed szereg – odezwał się Dukla, głos miał niski i lekko ochrypły. Był wysokim brunetem z szerokimi zakolami na głowie. Wyglądał na grubo po pięćdziesiątce. Poprawiał co jakiś czas okulary ze szklami przypominającymi denko słoika. Gładko ogolona, a jednocześnie ogorzała twarz oraz mocno podkrążone oczy świadczyły, że od kieliszka nie stronił. – Ale może warto w naszym gronie przyznać, że wśród członków partii i na wysokich stanowiskach w służbach wciąż pracuje wielu Żydów. Leon Szechter, wiceprzewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, z pewnością nie przyjmuje opłatka co niedziela. Być może ci „sprawiedliwi” to mają na myśli. – Po sali przeszedł pomruk oburzenia.

– Ja pochodzę z wielopokoleniowej rodziny chłopskiej. – Walaszкови drżał głos. – Inni towarzysze też mają polskie pochodzenie. Co nam tu towarzysz imputuje?

– Towarzyszu sekretarzu, tak myślą ci, którzy stoją za tą całą awanturą – kontynuował pewnie Dukla, ale coraz ciszej, oczekując, że uczestnicy z uwagą wsłuchają się nie tylko w treść jego słów, ale również ton głosu. – Może też warto sprawdzić, którzy towarzysze częściej zagląдают do Tory niż „Trybuny Ludu”?

– Niewykluczone, że macie rację. – Walaszek sięgnął po kolejnego papierosa. – Towarzysze, przygotujcie takie listy z podległych sobie struktur.

– Wróćmy do śledztwa. – Siwy z wąskimi wąsikami nerwowo obracał w palcach pióro.

– Tak, towarzyszu. – Dotychczas milczący mężczyzna z podwójnym podbródkiem i mokrą od potu koszulą zaczął teraz szybko mówić. – Poza sprawą tego wypadku inny zespół śledczych sprawdza to Bractwo Sprawiedliwych. Analizujemy bibułę, sposób narracji, opublikowane zdjęcia. Zajmie nam to trochę czasu.

– Posłuchajcie, towarzysze. – Walaszek wyciągnął bawełnianą chustkę i otarł pot z czoła. – Jedziemy na jednym wózku. Nie wiem, jaki jest cel tych ludzi, kim są i dlaczego to robią, ale, do kurwy nędzy, dysponujemy setkami informatorów, wywiadowców, mamy pozakładane podsłuchy u większości naszych działaczy, i co? I chuj! Za chwilę ludzie wyjdą na ulicę i zażądają naszych głów!

– Może zatem trzeba ich uprzedzić? – Prokurator generalny wstał z miejsca i zaczął powoli krążyć wokół stołu. – Może to my powinniśmy zacząć oskarżać pejsatych o te wszystkie rzeczy, które próbuje się nam przybić...

– Co towarzysz ma na myśli? Mamy oficjalnie przyznać, że Żydzi wysadzili tramwaj? – Walaszek zaciągnął się i szybko wypuścił dym.

– Zaraz tam wysadzili – powiedział prokurator generalny. – Na razie sprawdzamy, co się stało, ale warto już zrobić dobry klimat, grunt pod mocne uderzenie.

– Czyli? – Walaszek zgasił niedopalonego papierosa w kryształowej popielnicy.

– Może trzeba złapać kilku parchów i postawić im zarzut planowania dywersji, pokazać publicznie, jak przygotowywali akcje, które miały doprowadzić do przestojów w produkcji. Może należy przygotować nie tylko listy Żydów w naszych strukturach, ale szerzej, w całym województwie? Sprawdzić, ilu z nich pracuje na szczecińskich uczelniach, kto pełni funkcje naczelników i dyrektorów w przedsiębiorstwach państwowych. Być może nadszedł czas, by ostatecznie pozbyć się tego obcego ciała z naszej ludowej ojczyzny?

– Żeby się nie okazało, że wylejemy dziecko z kąpielą. – Walaszek już się uspokoił. – Proponuję założyć podsłuchy wszystkim funkcyjnym związanym z frakcją moskiewską, począwszy od naczelników, przez dyrektorów w przedsiębiorstwach państwowych, aż po członków rad narodowych. Na razie kontynuujemy śledztwo i ostatecznie zdecydujemy, w którym kierunku to pójdzie. Likwidujemy każdy protest w załączku i na wszelki wypadek dokręcamy śrubę starozakonnym.

[26] Kazimierz Kosztirko – w okresie od 1 czerwca 1961 do 10 marca 1972 prokurator generalny PRL.

[27] Michał Chlewicki – komendant wojewódzki MO w Szczecinie. Źródło: „Twarze szczecińskiej bezpieki Informator personalny” Wydawnictwo IPN Szczecin, 2011.

[28] Romuald Głowacki – z-ca komendanta wojewódzkiego MO ds. bezpieczeństwa, tamże.

Areszt

Bar „Staropolanka”, ul. Bolesława Krzywoustego 71, Szczecin, 7 stycznia 1968 roku

Do „Staropolanki” weszło trzech milicjantów. W środku, poza barmanką i Galantem, nie było nikogo. Wszyscy zdążyli się ulotnić. Ugne siedział na ladzie zgarbiony, z wyciągniętymi do przodu nogami, i palił papierosa. Wciąż jeszcze pachniało rosołem. Barmanka zgięta w pół z zakrytą twarzą stała oparta łokciami o bar. Szlochała. Na ladzie leżały zwłoki mężczyzny, przykryte obrusem ściągniętym z jednego ze stołów. Na środku białego płótna była wielka brunatna plama. Pod blatem niewielka kałuża krwi. Szloch dziewczyny umykał w dźwiękach piosenki Niemena płynącej z radia.

Od Twoich listów pachniało w sieni

Gdym wracał zdyszany ze szkoły

A po ulicach w lekkiej jesieni

Fruwały za mną jasne anioły...

Ugne podniósł wzrok i skrzywił się. Liczył, że w drzwiach zobaczy Aśkę z lwowiakiem.

– Plutonowy Suski, dostaliśmy wezwanie na miejsce przestępstwa, to towarzyszka dzwoniła?

Milicjant był niski, przy kości, w przydługim płaszczu. Skierował się do barmanki.

– Tak, ja – odpowiedziała drżącym głosem dziewczyna.

– A towarzysz? – Suski spojrzał na zakrwawioną koszulkę Galanta.

– Ja... – Ugne nawet nie zdążył wypowiedzieć zdania, gdy stojący za nim wyższy i zdecydowanie chudszy milicjant złapał go za ramię i pociągnął do przodu.

– Stoimy, gdy zwracamy się do milicjanta. – Na twarzy Galanta pojawił się lekki uśmiech.

– Dokumenty! – Tonem nieznoszącym sprzeciwu zwrócił się do niego niski przy kości.

Ugne zaczął przeszukiwać kieszenie kurtki i džinsów. Milicjanci spojrzeli na siebie. Wysoki mrugnął do trzeciego, który stał przy drzwiach. Ten wyciągnął długą białą pałkę i stanął po lewej stronie Galanta.

– Pewnie musiały mi wypaść w budce. – Galant górował nad mężczyznami. Milicjanci wyglądali przy nim jak drużyna zuchów przy swoim zastępowym. – Zaraz przyniosę. – Ugne zrobił krok w stronę drzwi wyjściowych, ale został powstrzymany przez jednego z milicjantów.

– Pojedziecie z nami na komisariat i tam wszystko nam opowiecie. – Wysoki lekko pchnął Galanta do przodu.

– Panowie, pracujemy w jednym przedsiębiorstwie, denat był ważnym świadkiem...

Ugne czuł, że traci czas i niepotrzebnie strzępi język. Znał tych tępych blacharzy, którzy mundurem leczyli swoje kompleksy.

– Jeżeli będziesz stawiał opór, zakujemy cię i siłą wrzucimy do suki. Ręce! – Plutonowy Suski wyciągnął kajdanki i próbował chwycić Galanta za rękę.

– Ty tępy psie, nie słyszysz, co mówię?!

W tym momencie poczuł uderzenie w tył głowy. Odwrócił się. Chudy trzymał w ręku pałkę i szykował się do kolejnego uderzenia. Kątem oka zobaczył, że od frontu podbiegł trzeci. Zamachnął się, celując pałką w twarz Galanta. Ugne przyjął postawę obronną, podniósł gardę i wyprowadził potężny cios w kierunku splotu słonecznego milicjanta. Trzeci poleciał do tyłu i próbując łapać powietrze, padł jak rażony na stolik za sobą. Ugne nie czekał na kolejne uderzenie, tylko wyprowadził krótki lewy sierpowy, który precyzyjnie trafił w obfity podbródek plutonowego, pozbawiając go tym samym świadomości na kilkanaście sekund. Ugne nie przewidział jednak, że chudy z tyłu sięgnie po szklany kufel z piwem. Zobaczył przezroczyisty przedmiot tuż nad swoim czołem, a po chwili już nic nie czuł, poddał się bezwolnie obejmującej go ciemności.

Obudził się z rozrywającym bólem głowy. Przez chwilę próbował przyzwycząić wzrok do ostrego światła jarzeniówki. Rozejrzał się. Leżał na metalowej pryczy bez materaca. Usiadł. Otworzył szeroko oczy.

Przed nim na podobnej pryczy siedział łysy mężczyzna i w milczeniu mu się przyglądał. Miał na sobie tylko majtki. Był równie wysoki jak Galant, ale ze dwa albo nawet trzy razy szerszy i potężnie zbudowany. Na klatce piersiowej miał wytatuowany krzyż, a na ramionach naramienniki. Trzy gwiazdki i dwie belki. Uśmiechnął się, prezentując solidne braki w uzębieniu.

– Blacharze?

Ugne poczuł smród, który wydobył się z ust mężczyzny.

– To tak widoczne? – Galant z trudem wypowiadał słowa.

Łysy wyciągnął rękę i wskazał na czoło milicjanta.

– Ten ślad pałki wszędzie rozpoznam. – Zarechotał. – Pimpek jestem.

Łysy wyciągnął wielką dłoń w kierunku Galanta. W tym samym momencie ze zgrzytem otworzyły się metalowe drzwi celi i stanął w nich mężczyzna w mundurze służby więziennej.

– Galant, za mną! – Ugne wstał. Poczuł, że zakręciło mu się w głowie, ale mimo to ruszył do przodu. Przed wyjściem odwrócił się jeszcze i machnął ręką do mężczyzny siedzącego na pryczy. – Strzała, Pimpek.

* * *

– Dlaczego nie powiedziałaś im, że jesteś milicjantem? – Joanna poprawiła bandaż na głowie Galanta. Ugne popatrzył na nią. Miała na sobie krótki beżowy płaszcz z wielkimi guzikami, których, świadomie bądź nie, nie zapięła. Widać było, że pod spodem nosi krótką sukienkę w kwiaty z białym kołnierzykiem.

– Nie było jakoś nastroju do rozmów – odburknął Ugne.

Szli wąską dróżką, oświetloną przez lampy aresztu śledczego. Porywy wiatru targały płaszczkiem Joanny. Było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Gdy dotarli do bramy wyjściowej, stojący przy niej mężczyzna w mundurze i z kałasznikowem na plecach zasalutował i sprawnie ją otworzył. Wyszli na zewnątrz. Ugne wyciągnął z tylnej kieszeni spodni paczkę papierosów. Zapalił i głęboko się zaciągnął.

– Znana figura tutaj jesteś? – Galant przez chwilę trzymał dym głęboko w płucach, po czym energicznie go wypuścił.

– Ludzie za kratami stają się rozmowniejsi. A ja lubię słuchać. – Uśmiechnęła się. – Jadłeś coś?

Ugne odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Wiem, że nic nie jadłeś, a ja właśnie przyrządziłam niezłe paszteciki z kapustą i grzybami. Za dużo dla mnie. Mam je w samochodzie. Skusisz się? – Ugne dopiero teraz poczuł głód. Spojrzał na Joannę. Mógłby o niej powiedzieć wszystko, ale nie to, że gotuje. Nieważne. Konia z kopytami by teraz zjadł.

– Namówiłaś mnie.

Służbowa warszawa stała na rogu Kaszubskiej i Owocowej. Nie była widoczna z ulicy, bo w tym miejscu nie działały latarnie.

– Wsiadaj do tyłu, będziesz miał więcej miejsca, paszteciki są w kartonie.

Ugne nie zastanawiał się długo. Rozłożył się na tylnej kanapie i zaczął pałaszować paszteciki. Aśka włączyła silnik i po chwili w środku zrobiło się ciepło. Na zewnątrz znowu zaczęło padać. Włączyła radio. Irena Santor wyśpiewywała obietnicę o powrocie na nadwiślański brzeg. Joanna spojrzała w lusterko wsteczne. Galant z pasją pochłaniał kolejny pasztecik. Uśmiechnęła się. Zauważyła, że rozwiązał się bandaż na jego głowie. Ściągnęła płaszcz i otworzyła drzwi. Deszcz lał jak z cebra. Przeskoczyła na tylną kanapę i usiadła obok Galanta.

– Rozwiązał ci się bandaż. Poczekaaj, poprawię. – Zbliżyła się do milicjanta. Galant, sięgając po kolejny pasztecik, zauważył, że jej krótka sukienka podwinęła się, odsłaniając paski przytrzymujące pończochy. Przełknął ślinę. Kiedy ostatni raz był z kobietą? Już nie pamiętał. Wiele wyrzucił z pamięci. Woda załatwiała wszystkie potrzeby. Teraz poczuł coś, czego już od dawna nie czuł.

Spojrzał jej w oczy. Wielkie, jasne oczy. Dotarł do niego zapach jej włosów. Spuścił wzrok. Mokry materiał przylegał teraz do jej ciała, podkreślając kształtne piersi. Poczuł opanowujące go podniecenie. Położył rękę na jej szyi i przysunął ją do siebie. Joanna poddała się. Wpił się w jej usta. Drugą ręką podciągnął sukienkę. Ugryzła go w usta. Zapiekło. Przesunął się i zerwał z niej majtki. Poczuł metaliczny posmak. Joanna sprawnie rozpięła rozporek i włożyła rękę do środka. Ugne pchnął drzwi od samochodu i wyszedł na zewnątrz. Schylił się, złapał ją za ramię i pociągnął za sobą. Joanna poddała mu się. Deszcz objął ich ciała. Joanna oparła się oburącz na masce warszawy i się wypięła. Ugne podciągnął jej kwiecistą

sukienkę, położył dłonie na biodrach i mocno ją przytrzymał. Rozchylił jej nogi i wszedł w nią z całej siły. Jęknęła. Krople deszczu dudniły po masce samochodu, zagłuszając ich szybkie oddechy. Wsłuchiwał się, gdy w spazmach krzyczała, widział, jak wbija długie czerwone paznokcie w maskę samochodu. Po chwili już nic nie słyszał. Smakował każdą sekundę tej chwili. Zrobiłby wszystko, by trwała wiecznie. Uniósł głowę i poczuł, jak jego ciało pręży się i na kilkanaście sekund stracił nad nim kontrolę. Po wszystkim opadł na maskę samochodu. Spojrzał w jej wielkie oczy. Czy to łzy, czy krople deszczu spływają po jej policzkach?

Nocny stróż

Cmentarz Majdański, ul. Rewolucji Październikowej, Szczecin, 8 stycznia 1968 roku

Basia podbiegła do warszawy zaparkowanej przed bramą główną cmentarza. Zanim otworzyła drzwi, zobaczyła, że za ceglanym murem odgradzającym cmentarz od ulicy stoi starszy mężczyzna z psem. Machał ręką. Obróciła się. Nikogo nie było. Adresatem mogła być tylko ona. Cofnęła się do bramy wejściowej i weszła na teren cmentarza. Mężczyzna stał pod młodym platanem, tuż obok leśnej ścieżki prowadzącej do alejki z grobami. Podeszła bliżej. Musiał mieć ponad siedemdziesiąt lat. Ubrany był w ciepłą kufajkę, na głowie miał wełniany beret. W rękę trzymał grabie. Obok niego siedział wilczur. Znowu zaczęło mżyć. Mężczyzna wskazał ręką nagrobną kaplicę. Oboje weszli do przypominającej grecki panteon budowli.

– Dzień dobry. – Podał jej rękę. – Nazywam się Szymon Łukasik. Widziałem, jak pani wchodziła za panią Krystyną.

Mężczyzna rozglądał się nerwowo.

– Nietrudno zgadnąć, że jest pani z milicji. – Na chwilę zawiesił głos, czekając na reakcję Basi. Gdy zobaczył, że ta kiwnęła głową, kontynuował: – Domyślam się, że prowadzi pani śledztwo w sprawie tego tramwaju?

– Dlaczego to pana tak interesuje? – Basi nie odpowiadała rola odpowiadającej na pytania.

– Wie pani... – Mężczyzna podniósł beret i poprawił resztki siwych włosów. – Ja tu jestem każdej nocy. Byłem, jak przyjechała ta „szóstka”. Jestem stróżem na cmentarzu. Miałem wtedy nocną zmianę. Zazwyczaj od dwudziestej robię obchód. Sporo czasu zabierają mi kapliczki. Sprawdzam dokładnie. Nieraz zdarzało się, że jakieś gnoje włamywały się do grobowców i później były tylko problemy. Samemu byłoby mi ciężko, ale póki jest ze mną Bruno, to jakoś dajemy radę. – Mężczyzna wyciągnął fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. – To Bruno ich zobaczył. Przyjechali czerwonym wartburgiem. Auto zaparkowali tak, jak pani, niedaleko bramy. Było ich trzech. Ubrani w czarne skórzane płaszcze, z taką futrzaną podpinką. Dokładnie ich widziałem, bo Bruno zaczął szczekać. Wie pani, on ma dobrego nosa do ludzi. Wyciągnęli torbę z bagażnika i poszli do zajezdni. Wiedziałem, że coś kombinują, bo ciągle oglądali się za siebie.

Basia nie przerywała, tylko wsłuchiwała się w każde słowo wypowiedziane przez mężczyznę. Mżawka zamieniła się w ulewę. Na ścieżkach prowadzących do grobów zaczął się tworzyć archipelag złożony z małych i większych kałuż oraz błota.

– Poszli od razu na halę, tam gdzie zazwyczaj kończy „trójka”, ale weszli do tej „szóstki”.

– Zaraz. – Basia podniosła dłoń. – Mówimy o tej „szóstce”?

Mężczyzna spojrzał uważnie na dziewczynę.

– No, przez cały czas staram się to pani przekazać. Normalnie „szóstka” kończy swój kurs w zajezdni Gołęcín. Dlatego byłem zdziwiony, jak ją zobaczyłem u nas.

Basia wyciągnęła notatnik i ołówek. Zaczęła notować.

– Kręcili się i świecili latarkami. To było jakoś pierwszego albo drugiego grudnia.

– Czyli tydzień przed katastrofą – powiedziała cicho Basia. – I co z tymi mężczyznami?

– No nic. – Mężczyzna poklepał psa po szyi. – Po piętnastu minutach wrócili do samochodu i odjechali.

Przestało padać, ale stalowe chmury unoszące się nad cmentarzem nie zapowiadały niczego dobrego.

– I to wszystko?

Stróż postukał fajką o jedną z kolumn kapliczki i złapał Basię za rękę.

– Proszę pójść za mną, coś pani pokażę.

Weszli na grząską ścieżkę i skierowali się w stronę najdalej wysuniętej części cmentarza. Gdy byli na wysokości ulicy Żupańskiego, mężczyzna wskazał świeży grób.

– Na tym cmentarzu nie chowa się już umarłych, ale to był wyjątek. – Podeszli do niedawno

uformowanego grobu. Mężczyzna wskazał palcem na tabliczkę nagrobkową.

– Jan Kurpiel.

Basia spojrzała na mężczyznę pytająco.

– Janek był stróżem w zajezdni. Na drugi dzień po wizycie facetów w skórach znaleziono go martwego w dyżurce. Mówią, że wypił trefny samogon. Znaleziono przy nim pustą flaszkę po przypalance. Tyle że Janek od siedmiu lat nie pił.

Tropy

Teatr Lalek „Pleciuga”, al. Wojska Polskiego 64, Szczecin, 8 stycznia 1968 roku

Na chodniku przed „Pleciugą” zatrzymała się milicyjna warszawa na sygnale. Z samochodu wysiadł mundurowy. W rękach trzymał karton. Wbiegł po schodach na drugie piętro. Nie pukał. Chwilę majstrował przy klamce, zanim wszedł do środka. Trwało właśnie spotkanie. Rozejrzał się lekko skonfundowany. Przy tablicy stała kapitan Krauze. Przed nią na szkolnych krzeselkach siedzieli kolejno Basia i lwowiak. Galant rozłożył się na parapecie otwartego okna. Palił giewonta i przyglądał się przejeżdżającym leniwie przez plac Lenina tramwajom.

– Gdzie mam to postawić? – zwrócił się do Joanny mundurowy.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem.

– Po pierwsze, plutonowy, jak się widzi wyższych stopniem, to się saltuje, a po drugie, na chuj robicie ten cyrk z tymi kogutami? Jeszcze raz przyjedziecie tu na włączonym sygnale, to postaram się, żebyście wrócili na ulicę.

Milicjant stanął na baczność i zasalutował, po czym podszedł do biurka i postawił na nim karton, a następnie skierował się w stronę drzwi, starając się jak najdyskretniej i najszybciej opuścić pomieszczenie. Na tablicy, przy której stała Krauze, wisiała wielka mapa Szczecina. Z kilku miejsc wystawały czerwone główki szpilek. Tuż obok widniały zdjęcia wykonane na miejscu katastrofy tramwajowej. Zwłoki, części ubrań, elementy wraku. Kolejne przedstawiały gapiów przyglądających się wrakom wagonów i trwającej akcji ratowniczej. Różne ujęcia. Przedstawiające całe zbiegowisko oraz w zbliżeniu ukazujące twarze uczestników.

– Także, jak sami widzicie, akcja kapitana Galanta, którą tak brawurowo przeprowadził w „Staropolance”, spowodowała, że teraz cała szczecińska blacharnia wie, co robimy i gdzie się zadekowaliśmy. – Joanna sięgnęła po torebkę leżącą na biurku i wyciągnęła papierosy. – Przez trzy godziny tłumaczyłam tym idiotom z komendy wojewódzkiej, że nie mamy niecnych zamiarów. Ostatecznie i tak musieli dzwonić z ministerstwa. – Zapaliła i po chwili w pomieszczeniu rozszedł się zapach mięty. – Zatem od dzisiaj współpracujemy, tolerują nas, ale w zamian muszę ich informować, co robimy. Tłumaczymy się jakimś kutasowi... – założyła okulary i sięgnęła do teczki – Dukli, naczelnikowi trzeciego wydziału w komendzie wojewódzkiej. To nie wszystko. Dwa dni temu ze stawu na Warszewie wyciągnięto taksówkę. W środku był nasz świadek. Franciszek Pelc. Taksówkarz, który uczestniczył w akcji ratowniczej na Wyszaka. Patolodzy stwierdzili, że ktoś mu pomógł. Najprawdopodobniej za pomocą takiego urządzenia. – Joanna wskazała zdjęcie garoty umieszczone na tablicy. – Pewnie wiecie, co to jest, ale dla tych, którzy nie uważali na zajęciach, przybliżę. Otóż jest to broń wykorzystywana od czasów starożytności do cichego i szybkiego duszenia ofiar. Najskuteczniejsza jest ta wykonana z cienkiego drutu albo struny fortepianowej, ponieważ skutecznie i szybko przecina gardło. Jeżeli struna jest mocna i cienka, może nawet doprowadzić do dekapitacji. Jest też drugi rodzaj garoty, mniej wyrafinowany, wykonany z grubej liny, stosowany raczej do skręcenia karku.

Wajda nie wytrzymał i wtrącił się:

– Wiecie, że jeszcze sto lat temu policja w wielu krajach europejskich nosiła specjalnie wysokie kołnierze uniemożliwiające uduszenie? Może też powinniśmy sobie takie zorganizować? – Lwowiak z entuzjazmem przebiegł wzrokiem po twarzach uczestników spotkania.

Ugne uśmiechnął się pod nosem i zaciągnął mocniej papierosem. Basia chrząknęła znacząco.

– No co? Taka prawda.

Krauze kontynuowała:

– Wczoraj za pomocą takiego samego urządzenia zlikwidowano drugiego świadka. Karola Waligórę. Ostatniego taksówkarza z naszej listy. Ugne był blisko, więc opowie o szczegółach, ale zacznijmy od pań.

Izwienie, porucznik Romanowska.

Basię jakby ktoś spoliczkował. Zerwała się na równe nogi i już miała podbiec do kobiety, jednak się powstrzymała. Przez chwilę starała się uspokoić oddech.

– Jedna sprawa, towarzysko Krauze. Proszę nie mówić do mnie po rosyjsku.

Ich spojrzenia się spotkały. Joannie wydawało się, że zobaczyła w oczach Basi ból i determinację.

– Oczywiście, to był żart. – Joanna zaciągnęła się papierosem.

– Mam świadka – dużo spokojniej kontynuowała Basia – który twierdzi, że „szóstka” tydzień przed fatalnym kursem była na przeglądzie w zajezdni na Rewolucji Październikowej.

Galant przestał obserwować przejeżdżające tramwaje, wyrzucił niedopałek i z uwagą zaczął przysłuchiwać się Basi.

– No i co w tym dziwnego? – zapytała Joanna, nie spuszczać wzroku z Galanta.

– Co w tym dziwnego? Ano to, że „szóstka” ma bazę na Golęcynie. Nie ma potrzeby, żeby jeździła piętnaście kilometrów w jedną i piętnaście w drugą tylko dlatego, że ktoś chce postukać śrubokrętem w podwozie.

Galant wstał z parapetu i podszedł do wolnego krzesła, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem. Teraz mógł położyć swoje szerokie ramiona na oparciu i wyciągnąć długie nogi przed siebie. Ustawił krzesło w takiej pozycji, by dobrze widzieć Basię, a z tyłu mieć Joannę.

– To nie wszystko. Stróż pilnujący zajezdni na Niebuszewie nie żyje. I nie jest to przypadkowa śmierć. Świadek twierdzi, że stróż zmarł po nocnej wizycie jakichś dziwnych facetów w skórach, którzy grzebali przy „szóstce”. Wiemy, że poruszają się czerwonym wartburgiem. Trzeba to dokładnie sprawdzić.

Galant uśmiechnął się.

– Brawo, Basiu, dobra robota.

Romanowska przerwała mu:

– Nie potrzebuję poklepywania po plecach, kapitanie Galant. Jak było w areszcie?

Ugne się zmieszał.

– No...

– Od chłopaków pod celą wiem, że nadal jest dziewicą – z przekąsem skomentowała Joanna. – Mam informację, że podwozie „szóstki” zostało zabezpieczone i przewiezione do laboratorium kryminalistyki w komendzie wojewódzkiej. – To mówiąc, skierowała wzrok w stronę Kazika.

– Ta joj – ożywił się lwowiak.

– Wajda, od jutra siedzicie na Małopolskiej i za kilka dni chcę mieć raport z tego, co tam znajdziecie. Jeżeli jednak jest tak, jak mówi porucznik Romanowska, to może warto pozbierać ślady w zajezdni na Niebuszewie. Sprawdźcie to, zanim wybieriecie się do laboratorium. Wiem, że jest za późno, ale może coś jeszcze wydłubiecie. No i ten czerwony wartburg. Na pewno nie ma ich dużo w Szczecińskim i Koszalińskim. To jednak nie wszystko. Otrzymaliśmy z prokuratury materiały propagandowe rozprowadzane w kilku zakładach pracy i jednym z katolickich kościołów. To są gazetki oskarżające władze Szczecina i Żydów o... nawet nie wiem, jak to ująć, spisek?

Galant się odwrócił.

– Przejrzyjcie je, może wpadnie wam coś do głowy. Warto byłoby sprawdzić sposób pisania, jaką zastosowano czcionkę, jakich użyto maszyn do pisania czy maszyn drukarskich, farby, papieru. Zresztą sami wiecie.

– No, nie za bardzo. – Ugne zapalił kolejnego papierosa. – Sprawdzaniem maszyn drukarskich i kto co na niej pisze, to raczej zajmuje się Służba Bezpieczeństwa. My, zwykłe psy, nie polujemy na poetów, tylko ścigamy złych ludzi. – Zaciągnął się mocno. Chciał, żeby było jak wcześniej. Bez tych wszystkich miłosnych płasów. Bez udawania, że teraz należą do siebie, że są do czegoś zobowiązani. Nic do niej nie czuł. To był zwykły seks. Spojrzał na Basię. Z nią było inaczej. Nie chciał, żeby się dowiedziała o tym incydencie. Za bardzo mu na niej zależało. Wróciła. Jest szansa na zbudowanie czegoś ważnego. Joanna podeszła do niego i przeczesła palcami jego bujną jasną grzywkę.

– Kapitanie Galant, my w SB nie odróżniamy poetów od bandziorów. W każdym może siedzieć wróg ludowej ojczyzny. – Podniosła mu brodę i spojrzała w jego błękitne oczy. – A teraz do rzeczy. Opowiesz o tym Waligórze?

Galant wyrzucił papierosa przez okno i zamknął je z trzaskiem.

– Nie ma o czym mówić. Gdyby nie to, że przez ten detoks nie mogłem wsiąść do samochodu, ten człowiek by żył. Byśmy byli bliżej prawdy.

Joanna lekko odepchnęła głowę Galanta i się odwróciła.

– Nie możesz pracować w stanie upojenia alkoholowego, taki jest warunek twojego uczestnictwa w zespole. Koniec, kropka. Weź się w garść. A na razie jedź do tej pielęgniarki z Arkońskiej. Mam nadzieję, że tym razem zdążysz.

* * *

Ugne zapukał do pokoju Basi. Gdy usłyszał „proszę”, delikatnie uchylił drzwi i wszedł do środka. Siedziała przy biurku i sporządzała jakieś notatki. Pokoik był niewielki, ale miał dostęp do dużego balkonu. Najwyraźniej wcześniej musiało to być duże pomieszczenie, które zostało podzielone na kilka mniejszych. Na ścianie wisiały obrazy namalowane przez dzieci. Poza domkiem, wokół którego rosły duże żółte słoneczniki, były też, podobnie jak w dużej sali, kotki i chmurki, ale także pies podobny do wielbłąda. Przy ścianie stała kozetka do spania. Wszystko było w nienagannym porządku. Pachniało czystością. Basia się odwróciła.

– Nie pomyliłeś pokoi? – Galant wszedł i usiadł na kanapie, wyciągnął paczkę papierosów. – Tu się nie pali.

Spojrzał na Basię i schował papierosy.

– Dlaczego wyjechałaś bez słowa? Dlaczego nie powiedziałaś, że wracasz na Pomorze?

Romanowska wstała i otworzyła drzwi balkonowe. Zbierało się na deszcz. Do środka wdarł się hałas ulicy.

– Ugne, cieszę się, że nie pijesz, i chcę wierzyć, że potrwa to dłużej niż do zakończenia tego śledztwa. Tyle że nie mam do ciebie zaufania. Nawet mnie nie dziwi fakt, że zadajesz tak idiotyczne pytania.

– Galant wstał i podszedł do Basi.

– Pytania nie mogą być idiotyczne... – Dotknął jej ramienia, ale Basia zrobiła dwa kroki do tyłu.

– Po tamtej sprawie i po śmierci Ferenc'a piłeś przez miesiąc na okrągło. Nie pojawiałeś się w pracy, nie wychodziłeś z domu. Wiele razy rozmawialiśmy. Jednak byłeś w takim stanie, że nic do ciebie nie docierało. – Podeszła do balkonu i przez otwarte drzwi przyglądała się samochodom przejeżdżającym aleją Wojska Polskiego. – Prosiłam i błagałam, abys się podniósł. Chciałam wyciągnąć cię z tej twojej nory. Odepchnąłeś mnie. Nie mam o to pretensji. Jesteś alkoholikiem. Tak to działa. – Poprawiła opadający na jej twarz kosmyk włosów. – Zadzwonili z Gdańska, że mają dla mnie propozycję. Przyjęłam ją. Przez kilka miesięcy nawet czekałam na twój telefon. Było, minęło, Ugne. – Basia odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. – Też myślałam, że rodzi się między nami coś wyjątkowego. Dziś jest inaczej.

Galant przytrzymał ją.

– Zdaję sobie sprawę, że to spałam. – Spojrzał jej w oczy. – Ale przecież wiesz, że ludzie się zmieniają.

Basia się uśmiechnęła.

– Ugne, wiem, że ludzie się zmieniają, ale ty się możesz zmienić tylko dla jednego. To jest silniejsze niż pociąg do butelki. To jest partia szachów z diabłem, na granicy życia i śmierci. Jesteś w stanie dać się pogrzebać żywcem, żeby tylko rozwiązać kolejną sprawę. Jednak po wszystkim wracasz do prawdziwego Ugne Galanta, człowieka, który nie liczy się z niczym i z nikim, który nie ma żadnych wartości, ideałów i zasad moralnych. Wiem, że te słowa mogą cię ranić, ale zrozum, że nic do ciebie nie czuję. Tylko pracujemy razem i chcę, żeby tak to pozostało. – Basia podeszła do drzwi i je otworzyła.

Ugne poczuł, jak przeszedł go zimny dreszcz. Chciał ją przytulić i przycisnąć mocno do piersi. Oddałby wiele, by poczuć zapach jej włosów. Powoli odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Usłyszał, jak drzwi się zamknęły z trzaskiem. Wyjął papierosa i zapalił. Chwilę postać, po czym zszedł na dół. Nie słyszał, jak za drzwiami Basia powstrzymywała się przed tym, żeby nie zacząć wyć. Nie widział, jak zakryła twarz dłońmi i zgięła się w pół, a łzy popłynęły jej między palcami.

Gorące dowody

Wojewódzkie Laboratorium Kryminalistyczne w Komendzie Wojewódzkiej MO, Szczecin, 9 stycznia 1968 roku

Tramwaj linii numer cztery wyłonił się z mgły wiszącej nad secesyjną kamienicą. Jedną z nielicznych, które przetrwały w nienaruszonym stanie alianckie naloty. Kazik nie miał prawa jazdy, więc poruszał się po Szczecinie transportem miejskim albo chodził piechotą. Zanosilo się na deszcz. Ludzie trzymali w dłoniach parasole. Gdy drzwi się otworzyły, wszyscy ruszyli do środka. W tramwaju panował ścisk.

Wajda precyzyjnie się do przodu. Stał tuż za kabiną motorniczego. Od czasu wypadku na Wyszaka wolał trzymać się z przodu. Ze zdjęć, które przeglądał po katastrofie, wynikało, że najczęściej poszkodowanych było wśród pasażerów jadących z tyłu wagonu. Zza kabiny motorniczego dochodziła muzyka. Kazik spojrział w miejsce, z którego dochodził dźwięk. Na pulpicie, zaraz za przednim oknem, stało radypo, nastawione na program drugi. Trwała właśnie jakaś audycja przerywana piosenkami. Głośnik zatrzeszczał, gdy pojawił się w nim znajomy głos pierwszego sekretarza PZPR:

W związku z tym, że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów – obywateli polskich, które nawet z tej okazji urządzały libacje, pragnę oświadczyć, że nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeżeli tego pragnęli. Stoimy na stanowisku, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę, Polskę Ludową[29].

Ile oni mogą to klepać? – przeszło Wajdzie przez myśl. Znowu o tych Żydach. Na szczęście po kilku minutach męczącego przemówienia zabrzmiały znajome dźwięki Czerwonych Gitar. Uśmiechnął się. Jewgienija lubiła nucić tę piosenkę.

*Smutne oczy, piękne oczy,
Smutne usta bez uśmiechu,
Widzę co dzień ją z daleka,
Stoi w oknie aż do zmierzchu.*

Wysiadł na placu Żołnierza Polskiego. Minął Bramę Królewską i po chwili stał już przed drzwiami komendy wojewódzkiej. Pokazał legitymację w dyżurce i wbiegł po szerokich schodach na górę. Gdy dotarł na miejsce, przez chwilę próbował złapać oddech przed drzwiami do laboratorium. Musi chyba trochę potrenować, bo dostaje zadyszki. Wszedł do środka. W jednym z głównych pomieszczeń na długim stole leżały elementy podwozia wagonu numer jeden. Lwowiak poszedł na zaplecze, po czym wrócił w białym fartuchu i z gumowymi rękawiczkami na dłoniach. Przy wraku wagonu kręcił się już jakiś młodszy milicjant. Na kieszonce miał naszyty epolet z danymi osobowymi. *Plutonowy Jakub Kawalec.*

– To co tam mamy? – Założył okulary i zagaił do młodego. – Znalazłeś coś ciekawego?

Milicjant podszedł do lwowiaka z otwartą książką serwisową i wskazał na jakiś schemat.

– Rozrząd w enkach jest ręczny, nie ma żadnego dodatkowego wspomaganie, rozruch następuje za pomocą nastawnika. Napęd i sterowanie obwodami odbywa się prądem stałym o napięciu sześciuset woltów. Ten wagon ma sterowanie wyłącznie ręczne, które odbywa się za pomocą tego oto nastawnika. – Wajda spojrział w kierunku milicjanta. Chłopak miał dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat, a momentami wydawało mu, że mówi do niego profesor politechniki. – W nastawniku znajduje się obracany korbą motorniczego wał kułakowy. To urządzenie jest kluczowe – ciągnął z pasją plutonowy. – Po ustawieniu rączki nastawnika jazdy zespołu trakcyjnego na pozycję jazdy z szeregowym połączeniem silników trakcyjnych obwód przekaźnika samoczynnego rozruchu zostaje zasilony. Wał kontroluje prąd podawany na silniki trakcyjne i po spadku do ustalonej wartości następuje przesterowanie wału kułakowego na kolejne pozycje, co powoduje odłączanie odpowiednich oporników rozruchowych i przez to zwiększanie prądu trakcyjnego. Zespół trakcyjny rozpędza się, wagon jedzie. Przepalenie się obwodów powoduje odcięcie hamulców, a że w tych wagonach nie ma hamulców szynowych, to jest pozamiatane. W tym wagonie –

wskazał wypaloną dziurę w przedniej części podwozia – przepalenie obwodów nie było naturalne, ale spowodowały je czynniki zewnętrzne. – Odwrócił się do lwowiaka z szerokim uśmiechem na twarzy. – Czyli ktoś musiał im pomóc.

– Brawo, Jakubie. Ty to masz kiepełę! – Wajda poklepał chłopaka po plecach. – Nie wiedziałem, że tak się interesujesz kolejnictwem. – Kawalec, mimo że nie miał jeszcze trzydziestu lat, był prawie łysy. Postawny, z wielkimi ramionami i lekką nadwagą. Przewyższał Wajdę o głowę. Odłożył książkę na stół.

– Nie bardzo. Ot, po prostu, jest zadanie, to czytam. Dużo czytam. Chcę zrozumieć istotę analizowanych spraw. To mnie tak naprawdę interesuje. Jeżeli pracuję przy sprawie związanej z katastrofą samolotu, czytam wszystko, począwszy od braci Wright. Jeżeli zawalił się strop w kościele katolickim, zaczynam od historii parafii, a nieraz nawet sięgam do pierwszych zapisów dotyczących początków chrześcijaństwa na danym terenie. Tak już mam.

– No dobrze – odpowiedział Wajda. – To teraz dowiedzmy się, jakie to czynniki zewnętrzne miały wpływ na przepalenie się obwodów.

– Przeleciałeś materiały dwutlenkiem węgla[30]?

– Tak. Czego szukamy? – zapytał Jakub.

Wajda podszedł do mikroskopu.

– Załóżmy, że źli ludzie chcieliby wykoleić tramwaj, ale tak by nie pozostawić po sobie śladów. Czego twoim zdaniem by użyli?

Kawalec zaczął ustawiać próbki materiałów zebranych z wagonu do pojemników, tak by Wajda nie musiał wstawać za każdym razem, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Ja bym wybrał jakiś materiał uderzający punktowo, najlepiej z zapalnikiem zbliżeniowym i detonatorem elektrycznym.

– A dlaczego z zapalnikiem zbliżeniowym? – Wajda przysunął pierwsze próbki do mikroskopu.

– Zapalnik zbliżeniowy wywołuje eksplozję po zbliżeniu się do celu na najkorzystniejszą lub też wcześniej zaprogramowaną odległość – wyrecytował jak zdrowaśkę w kościele. – W tym przypadku znany był czas i miejsce.

Wajda podniósł wzrok znad soczewek, napisał kilka zdań w notatniku i sięgnął po kolejną próbkę.

– No dobrze. Czego byś użył do detonacji?

Kawalec przysunął mu kolejną próbkę.

– Piorunianu albo azydku rtęci.

Wajda znowu napisał kilka zdań i sięgnął po kolejną próbkę.

– Mam cię! – Lwowiak wymamrotał do siebie i wstał. – Gdzie jest teczka z dokumentami z wypadku?

Plutonowy wskazał szafkę wiszącą nad umywalką.

– Znajdź mi zdjęcia przedstawiające zbliżenia jezdni i torów w miejscu, gdzie wagon wyleciał z szyn.

Kawalec sięgnął do szafki i wyciągnął segregator. Przez chwilę w nim wertował, po czym wyciągnął cztery zdjęcia przedstawiające fragment wybrukowanej ulicy z elementami torów i podał je Wajdzie, który przez chwilę przyglądał się zdjęciu, po czym się uśmiechnął.

– *Dobré ráno, pane Brebere*[31] – wyszeptał pod nosem, a następnie podszedł do tablicy i kredą napisał jeden wyraz – PENTRYT.

Kawalec oparł się o stół, na którym leżały elementy podwozia.

– Pentryt? – przeczytał głośno milicjant.

– Trzeba przeprowadzić jeszcze kilka testów i badań, ale jestem pewien, że mam rację – oznajmił triumfalnie kapitan.

– Czyli? – dopytywał Kawalec.

– Czesi nazywali to w latach pięćdziesiątych B1. Dziś nazywa się semtexem. Jest to kruszący materiał wybuchowy o konsystencji plasteliny, stanowiący mieszaninę na bazie pentrytu.

– Ale jak kapitan do tego doszedł?

Wajda podszedł do zdjęcia.

– W próbkach pochodzących z przepalonych części wagonu znalazłem nieznaczne ilości pentrytu, który jest głównym składnikiem semtexu. A widzisz tu na zdjęciu tę czarną plamę na bruku? To przebarwienie powstało pod wpływem silnej, punktowej eksplozji, która powstała w wyniku detonacji

splonki, na przykład piorunianu rtęci. Miałaś rację co do detonatora i zapalnika. Ogień, który widziała konduktorka, to były płonące instalacje, które zostały uszkodzone w wyniku wybuchu.

Kawalec podszedł do lwowiaka.

– Czyli to była dywersja?

Wajda się skrzywił.

– Nie, to był zamach. – Poklepał Kawalca po ramieniu. – Dziwi mnie tylko jedna rzecz. Dlaczego doszło do eksplozji tylko z jednej strony? Sensowniej i skuteczniej byłoby umieścić ładunki po obu stronach... no, chyba że jeden nie odpalił.

– To znaczy? – dopytał Kawalec.

– To znaczy, że mogły być dwa ładunki, a jeden z nich nie zdetonował. Tylko ktoś musiałby go stamtąd zabrać...

– Ale musiałby to zrobić zaraz na miejscu katastrofy, a to byłoby trochę ryzykowne...

– No tak. Dlatego jest to tylko hipoteza. – Wajda podrapał się po głowie. – No dobra, Młody, musimy przeprowadzić jeszcze testy na obecność rtęci lub ołowiu oraz analizę chromatograficzną, ale zanim przejdziemy do tych nudnych czynności odbierających człowiekowi radość odkrywania, proponuję małego bosmana w barze na dole. Co ty na to?

Plutonowy uśmiechnął się. Nie minęło dziesięć minut, a schodzili razem po szerokich schodach.

– Kto używa semtexu? – Wajda spojrzał na Kubę wyczekująco.

– No pewnie jacyś specjaliści, jednostki dywersyjne czy rozpoznawcze.

– Bardzo dobrze, Kuba. A gdzie stacjonują najbliższe tego typu jednostki? – Wajda zrobił minę jak profesor przepytujący studenta na egzaminie.

– No... Nie wiem.

– W Dziwnowie. Pierwszy Batalion Szturmowy. – Wajda uśmiechnął się do siebie. – Zatem już wiemy, gdzie pojedzie nasz kolega Galant. – Był szczęśliwy, oczami wyobraźni widział minę Galanta i Basi, jak im to wszystko opowie.

Lwowiak był tak podekscytowany swoim odkryciem, że nawet nie zauważył mężczyzny w skórzanym płaszczu, który minął ich na schodach. Bar znajdował się na samym dole budynku komendy. Oficjalnie nie można było spożywać alkoholu. Nawet go sprzedawać. Nikt się tym jednak nie przejmował, włącznie z komendantem głównym i całą rzeszą naczelników.

O tej porze były tu godziny szczytu. Stanęli na końcu kolejki. Lwowiak nie przestawał opowiadać o tym, w jakich okolicznościach poznał Brebergo. W pewnym momencie ściany jakby zdrząły, a po chwili dotarł do nich odgłos wybuchu. Upadli na ziemię. Z sufitu posypał się na ich głowy tynk. Zaczęły wyc syreny alarmowe. Lwowiak poczuł gwizd w uszach i przez chwilę nic nie słyszał. Dopiero po kilku sekundach odzyskał zdolność logicznego myślenia. Kawalec pomógł mu wstać i ruszyli pędem w kierunku schodów. Wybiegli przed budynek komendy. Padał śnieg z deszczem. Wajda spojrzał do góry. Wiatr unosił w powietrzu tysiące kartek papieru. W miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się laboratorium, była teraz dymiąca wyrwa. Dostrzegł, jak w jego kierunku, w rytmicznym płąsie, zmierza niedopalony skrawek jakiegoś dokumentu. Upadł tuż przed nim. Lwowiak pochylił się i go podniósł. To było jedno ze zdjęć zrobionych na miejscu katastrofy. Część, która nie uległa spaleni, przedstawiała mężczyznę w skórzanym płaszczu i kapeluszu przyglądającego się z uwagą jakiemuś miejscu w zniszczonym wagonie.

[29] Fragment przemówienia Władysława Gomułki z 19 czerwca 1967 roku podczas obrad VI Kongresu Związków Zawodowych.
<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/628796,Wladyslaw-Gomulka-Nie-chcemy-by-w-naszym-kraju-p-owstala-piata-kolumna>

[30] Mikroślady materiałów wybuchowych raczej nigdy nie występują w czystej postaci. Są zazwyczaj zmieszane z innymi substancjami. Przed badaniem muszą więc zostać oddzielone. Oddziela się je strumieniem dwutlenku węgla pod wysokim ciśnieniem i w podwyższonej temperaturze. – http://www.kryminalistyka.fr.pl/crime_pozar.php

[31] *Dobré ráno, pane Brebere* (czeski) – *Dzień dobry, panie Brebera*. Stanislav Brebera był czeskim chemikiem. Pod koniec lat 50. opracował plastyczny materiał wybuchowy znany jako semtex, który został wprowadzony na rynek w 1964 roku.

Stefa

Samodzielny Publiczny Wojewódzki Szpital Zespolony, ul. Arkońska, Szczecin, 9 stycznia 1968 roku

W sali leżały trzy kobiety. Jedna miała rękę na temblaku, piła gorącą herbatę i przekrzykiwała się z drugą, której mała głowa ledwie wystawała z wysokiego kołnierza ortopedycznego. Trzecia leżała na łóżku odwrócona plecami do reszty. Skulona wpatrywała się tępo w białą ścianę przed sobą. Oczy miała szeroko otwarte, ale na twarzy co jakiś czas pojawiał się grymas bólu. Wyraźnie cierpiała. Do pomieszczenia weszła drobna, jasnowłosa pielęgniarka.

– Dzień dobry paniom – przywitała pacjentki ze szczerym uśmiechem. – Piękny dzień dzisiaj mamy!

Podeszła do okna i lekko je uchyliła. Na zewnątrz padało. Okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec szpitala, pośrodku którego stał wielki transparent: *Lekarze z partią. Życzymy owocnego V Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej*. Ciemne chmury wisiały nisko nad szpitalem.

– Jak się panie czują? – zwróciła się do pacjentek, które nawet na chwilę nie przestawały mówić.

– Pani Stefo, a czy wie pani, że ta dzisiaj całą noc płakała? – Pacjentka z ręką na temblaku wskazała dziewczynę zwiniętą w kłębek. – Przez pół nocy nie zmrużyłam oka.

– Dobrze. A jak panie się czują? – Stefa nie zareagowała na komentarz.

– Ja, gdyby nie ta noc...

– Dobrze, a pani? – zwróciła się do drugiej pacjentki, której ledwie wystawała głowa znad kołnierza ortopedycznego.

– Gdyby nie to, że nie mogłam spać przez ten kaftan, to byłoby nieźle.

Stefa sprawdziła, czy kołnierz jest stabilny.

– Dobrze, czy czegoś paniom trzeba?

– Czy nie może pani przenieść tej tutaj do innej sali? – spytała ta z ręką na temblaku.

– Nie – odpowiedziała krótko i zdecydowanie pielęgniarka. – Ale, pani Genowefo, ja tu widzę, że pani jest w dobrej kondycji. – Spojrzała na kartę wiszącą na łóżku. – Jutro panią wypiszemy. Nie będzie się pani już męczyła.

Stefa pokazała piękne białe zęby. Genowefa zmierzyła ją wzrokiem i zamilkła. Pielęgniarka odwróciła się do dziewczyny leżącej w pozycji embrionalnej. Usiadła obok niej i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Wiem, że boli, postaram się trochę pomóc. – Wstała i podniosła z metalowej tacy strzykawkę. Popukała w wenflon i powoli wpuściła płyn do środka. Pochyliła się nad dziewczyną i poprawiła jej koc.

– Julka, wiesz, że to nie potrwa długo. Postaraj się zasnąć. – Poprawiła kosmyk włosów, który opadł na twarz dziewczyny.

– Dzień dobry.

Męski głos za plecami był dla niej zaskoczeniem. Odwróciła się.

– A pan co tu robi? Dziś nie ma odwiedzin.

W drzwiach stał mężczyzna w wojskowej kurtce, białym podkoszulku i džinsach. Nie mieścił się w futrynie drzwi, więc musiał się pochylać. Nie chciał się pakować do sali pełnej chorych kobiet, więc stał tak w wejściu. Widać było, że mu niewygodnie, bo wykonywał jakieś nienaturalne ruchy. Stefa mało co nie parsknęła śmiechem.

– Ja przepraszam... i panie też przepraszam.

Tej z ręką na temblaku zaświeciły się oczy.

– Zapraszamy do nas, proszę do środka. My tu same tak siedzimy...

Stefa spojrzała na pacjentkę z wyrzutem.

– Nie, zaraz, kim pan jest?

Mężczyzna przekroczył próg pomieszczenia, ale nie wchodził dalej.

– Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Ugne Galant. Jestem milicjantem.

– Przyszedł pan nas aresztować? – Ta z ręką na temblaku poprawiała kruczoczarne włosy i wypięła pierś do przodu. – A my takie nieumalowane.

Stefa wstała i podeszła do Galanta.

– Po co pan tu przyszedł? – Była od niego o głowę niższa.

– Do pani.

– Wyjdźmy. – Pchnęła delikatnie Galanta do przodu, a następnie jeszcze się odwróciła. – Pani Genowefo, jeżeli jeszcze raz usłyszę, że podnosi pani głos na którąś z pacjentek, sama panią wyprowadzę ze szpitala. – Zamknęła drzwi i wskazała Galantowi inne, na końcu ciemnego korytarza.

– Przejdźmy do pokoju pielęgniariek.

Szli w ciemności. Nie rozmawiali. Gdy dotarli na miejsce, Stefa otworzyła drzwi i zaprosiła milicjanta do środka. To był mały pokój z oknem wychodzącym na park. Kozetka, szafka i mały stolik. Na stoliku kolorowy wazonik, a w nim czerwone tulipany.

– Napije się pan herbaty?

– Nie, dziękuję. Właściwie to nie mam za dużo czasu. – Galant stanął przy oknie. Deszcz rozpadał się na dobre.

– Dlaczego nie odbiera pani wezwań na komisariat?

Dziewczyna usiadła na kozetce.

– Nie rozmawiam z wami.

Ugne odwrócił się. Ciekawy początek, przeszło mu przez myśl.

– Z milicją?

Dziewczyna wyciągnęła paczkę papierosów i podniosła jednego do ust. Chwilę szukała zapalek w którejś z kieszeni. Galant był jednak szybszy. Ogień z zapalniczki rozbłysnął w ciemnym pomieszczeniu.

– Z wami wszystkimi. Milicją, esbecją, partyjniakami. – Dziewczynie drżały dłonie. Miała nie więcej niż trzydzieści lat. Była ładna. Szczupła. Długie, jasne włosy zaplecione w warkocz. Słowiańska uroda, pomyślał.

– I jak to pani wychodzi?

Dziewczyna spojrzała w poznaczoną bliznami twarz Galanta.

– Do czasu katastrofy na Wyszaka dawałam sobie radę. – Zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Rozumiem i szanuję pani decyzję. – Galant wyciągnął giewonta i też zapalił. – Proszę poświęcić mi tylko kilka minut i już więcej mnie pani nie zobaczy.

Dziewczyna naląła wody do szklanki i upiła łyk.

– Dobrze, miejmy to za sobą.

– Czy podczas akcji ratowniczej coś panią zaskoczyło, coś nie pasowało do reszty, jacyś ludzie, rzeczy?

Spojrzała na milicjanta i uśmiechnęła się z przekąsem.

– No tak, umierający ludzie nie stanowili dla mnie zaskoczenia. Ucięte nogi, które zbieraliśmy z ulicy, były dosyć nietypowym zjawiskiem, raczej nie pasowały do historycznego klimatu Starego Miasta. – Zaciągnęła się papierosem. – Ale faktycznie było coś. – Chwilę zastanawiała się, jak to powiedzieć. – To były ryje tych esbeków w skórzanych płaszczach.

Ugne zaciągnął się tak mocno, aż łzy pojawiły mu się w kącikach oczu. W końcu coś, pomyślał.

– Widziałam takie ryje. Było ich trzech. Przyglądali się temu wszystkiemu, jakby byli na widowni w cyrku. I te idiotyczne komentarze.

Ugne usiadł koło dziewczyny.

– Co mówili?

Stefa spojrzała mu w oczy.

– Psoczyli na partię, Żydów, ogólnie na rządzących...

Ugne wstał i zgasił papierosa na parapecie okna.

– Czy umiałaby pani opisać, jak wyglądali?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, na szafce odezwał się brzęczyk.

– Przepraszam. Zaraz wrócę, zobaczę tylko, co się dzieje w szóstce.

Stefa zgasila papierosa w popielniczce, poprawiła fartuch i wyszła. Ugne uderzył pięścią w ramię

okienną. W końcu. Mam ich. Poczł dreszczyk. Usiadł. Rozejrzał się. Na kozetce leżał złożony na pół egzemplarz „Głosu Szczecińskiego”. Otwarty na trzeciej stronie. Rzucił okiem na zaznaczony kółkiem tytuł.

Szczecinianie pokazują, gdzie jest miejsce syjonistów.

Czytał dalej.

W dniu 05.01.1967 r. o godz. 19.00 na ul. Niemcewicza na wysokości kawiarni „Marago” miał miejsce fakt uderzenia obywatela narodowości żydowskiej. Z własnych źródeł wiemy, że bohaterem zdarzenia był niejaki Morthaj Razymiński, który miesiąc wcześniej przyjechał do Szczecina. Był rzezakiem rytualnym, zajmował się ubojem, z którego mięso eksportowano następnie do Izraela. Pan Morthaj pomylił Tel Awiw z polskim miastem Szczecinem. Wiemy, że mężczyzną, który nie wytrzymał demonstracyjnego zachowania obywatela Izraela, obnoszącego się demonstracyjnie ze swoją długą brodą, pejsami i kapeluszem, był robotnik szczecińskiej huty Stefan Duda. Napastnik w momencie ataku miał powiedzieć: Ty parszywy Żydzie, ja ciebie załatwię[32].

Rzucił gazetę na kozetkę. Po co ona to zaznaczyła? Spojrzał na zegarek. To miała być tylko chwila. Chyba że... Zerwał się. Wybiegł z pomieszczenia i pobiegł w kierunku szóstki. Otworzył drzwi. Wszystkie trzy spojrzały w jego stronę.

– Gdzie jest Stefa?!

Kobiety przerwały rozmowę. Ta z ręką na temblaku szeroko się uśmiechnęła. Nie czekała, aż odpowiedzą. Trzasnęła drzwiami i skierował się na sam koniec korytarza. Podbiegł do okna wychodzącego na dziedziniec. Otworzył z trzaskiem. Wychylił się. Kątem oka zobaczył biały fartuch znikający za mężczyzną w skórzanym płaszczu, który wsiadał do czerwonego wartburga. Samochód ruszył z piskiem opon. Ugne wybiegł na dziedziniec. Na szczęście stoewera zaparkował tuż przed drzwiami wejściowymi do budynku. Odpalił silnik i ruszył. Widział, że wartburg pojechał w stronę kąpieliska Arkonki. Musiał ich namierzyć, zanim skręca w Wojska Polskiego. Docisnął pedał gazu. Silnik stoewera zawył. Wpadł na pełnym gazie na Arkońską. Wartburga nie widział. Wyprzedził czarną warszawę. Po lewej minął stadion Arkonii. Było już ciemno. Sypał śnieg z deszczem. Zrobiło się ślisko. Na ulicy leżała gęsta lodowa breja. Czuł, jak opony podskakują na wybojach. Przed nim w oddali zamigotały światła pozycyjne samochodu. To była peryferyjna część miasta, co oznaczało, że nocą jeździło się na własne ryzyko. W okolicy ani jednej latarni. Po jednej i po drugiej stronie ściana lasu. Ugne przyśpieszył. Nie wiedział, co go czeka na drodze, ale wierzył, że stoewer sobie z tym poradzi. Kilka razy zarzuciło go na boki i podrzuciło, ale nie zwalniał. Zobaczył, że samochód przed nim włącza prawy kierunkowskaz. Oby to był ten przeklęty wartburg.

Wojska Polskiego była już oświetlona. Samochód Galanta zbliżył się na jakieś dwieście metrów do ściganego samochodu. Teraz mieli przed sobą długą prostą. Przejeżdżali tuż obok jednostki wojskowej. Wtem usłyszał huk wystrzału. To był odgłos z tetetki. Znał tę broń doskonale. Poligon? O tej porze? Drugi wystrzał trafił w jego lusterko. Jednak to nie ćwiczenia. Ugne odruchowo schylił głowę. Kurwa, to do mnie strzelają, pomyślał. Zbliżył się na jakieś sto metrów do wartburga. Kolejny wystrzał i pocisk wbił się w maskę stoewera. Ugne zredukował bieg i docisnął gaz. Jechał ponad sto na godzinę. Zbliżali się do skrzyżowania tuż przed Jeziorem Głębokim. Para, która zaczęła się wydobywać spod maski terenówki, utrudniała mu widoczność. Wiedział, że za chwilę pościg może się zakończyć, stoewer pewnie dostał w chłodnicę. W normalnej sytuacji próbowałby zepchnąć samochód na pobocze, ale w środku była dziewczyna. Przy tej prędkości auto wypadnie z drogi i uderzy w drzewo. Jedynym wyjściem było wyprzedzenie wartburga i zmuszenie ich do zatrzymania.

Stoewer przyśpieszył i wjechał na drugi pas. Przed sobą widział zbliżające się reflektory jakiegoś samochodu, którego kierowca z przerażeniem cisnął w klakson. Ugne wyprostował ręce i liczył, że się zmieści. W ostatnim momencie wśliznął się przed wartburga a samochód z naprzeciwka. Minął go o centymetry.

Wpadli na skrzyżowanie. Na Miodowej zatrzymał się właśnie autobus i wysypała się z niego grupa rozentuzjasmowanych harcerzy. Dzieciaki przepychały się, drużynowy krzyczał, by się ustawili dwójkami, ale go nie słuchali. Pewnie wracali z jakiegoś męczącego rajdu i byli szczęśliwi, że są już w domu. Galant miał wykręcić autem tak, by zablokować przejazd, gdy nagle zobaczył przed maską stoewera grupę dzieciaków. Wcisnął klakson i zaczął hamować. Harcerze w panice zaczęli biec przed siebie. Ugne wiedział, że droga hamowania w takich warunkach będzie zbyt długa, samochód wypadnie na przejście dla pieszych i zmiecie przechodniów. Błyskawicznie skręcił kierownicę tak mocno, aż poczuł opór, samochód

momentalnie stanął bokiem, a siła odśrodkowa wyrzuciła go w powietrze. Auto przeleciało kilka metrów, po czym z hukiem spadło na ziemię i zaczęło koziółkować w stronę placu przed głównym kąpieliskiem. Po kilku przewrotkach zatrzymało się tuż pod szyldem z napisem *Głębokie. Kąpielisko miejskie*.

Ugne wygramolił się z rozbitego samochodu. Na czole miał otwartą ranę. Krew spływała mu po łuku brwiowym na policzki. Z trudem się podniósł. Spojrzał na drogę prowadzącą przez las. Tylne światła wartburga oddalały się w ciemnościach.

[32] Eryk Krasucki: „*Antysyjonistyczne*” wątki szczecińskiego *Marca '68* (zarys problematyki).

Spotkanie w „Palomie”

Restauracja „Paloma” ul. Śląska 43, Szczecin, 11 stycznia 1968 roku

Niecierpliwiła się. Pudełko zapalek tańczyło nerwowo w jej palcach. Usiadła tak, by bez trudu widzieć każdego, kto zmierza do wejścia albo parkuje przed knajpą. Myśli kłębiły się w jej głowie. Od czego zacząć? Jak mu opowiedzieć o wydarzeniach z ostatnich dni? Spojrzała na ulicę Śląską. Dwóch meneli kończyło właśnie rozpijać butelkę berbeluchy w bramie naprzeciwko. Na zmianę wychylali się, sondując, kto idzie po chodniku. Było po osiemnastej. Na Śląskiej działały tylko trzy latarnie. Ulica nie miała dobrej opinii. Joanna widziała statystyki rozbojów. Do większości dochodziło właśnie w tych rejonach. Wyższe statystyki odnotowywały tylko Niebuszewo i Skolwin.

Silne porywy wiatru podrywały zabłąkane mewy. Ich krzyk rozchodził się donośniej niż ryk z rzadka przejeżdżających aut. Od strony Obrońców Stalingradu zbliżał się mężczyzna w szarym prochowcu. Przytrzymał kapelusz. Spojrzała w kierunku bramy. Menele jeszcze go nie zauważyli. Mężczyzna szedł szybkim krokiem. Gdy był już kilka metrów od wejścia do knajpy, zobaczyła, jak jeden z nich wyskakuje z bramy i podbiega do niego. No to mamy problem. Dlaczego chciał, byśmy spotkali się w tej norze? Już miała wstawać, kiedy jeden z meneli podniósł ręce, jakby ewidentnie chciał dać znać, że to była pomyłka. Nie odwracając się, wycofał się do bramy. Jak rozwścieczony pies, który na widok wilka chowa się z piskiem do budy. Zaczął siąpić lodowaty deszcz. Mężczyzna wbiegł do środka i zrzucił z siebie mokry płaszcz. Otrzeptał go i powiesił wraz z kapeluszem na drewnianym wieszaku stojącym w kącie knajpy. Był chudy, łysiejący, miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i wąski czarny krawat. Poprawił duże binokle i usiadł przy stoliku, przy którym czekała Joanna.

– Dzień dobry, towarzyszeko Krauze. – Kobieta chciała wstać, ale powstrzymał ją gestem.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku... – ugryzła się w język – dyrektorze Borak.

Mężczyzna położył jej dłoń na ramieniu.

– Mówmy sobie na ty, szczególnie w takim miejscu inna forma może zostać źle odebrana. – Joanna uśmiechnęła się. Do stolika podszedł kelner. Miał na sobie czarną kamizelkę i białą koszulę. Pod kołnierzykiem czarną muszkę. Był pod sześćdziesiątkę. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z rautu u marszałka Rydza-Śmigłego. Przez chwilę przyglądał się mężczyźnie.

– No proszę, wujka to dawno u nas nie było – powiedział z entuzjazmem kelner do starszego mężczyzny. Ten lekko się uśmiechnął i dał mu znać ręką, by się pochylił. Przez chwilę szeptał mu coś do ucha. Gdy skończył, kelner wyprostował się. Był blady, wargi mu drżały.

– A teraz, Szary, przynieś nam dwie wódki i coś do jedzenia. Dla mnie niech będzie tatar, a dla pani może nóżki.

Spojrzał na Joannę, by się upewnić, że dokonał dobrego wyboru. Uśmiechnęła się. Kelner kiwnął głową i odszedł. W knajpie panował półmrok. Na każdym ze stolików stała mała lampka. Tylko część z nich działała. Przy pozostałych siedzieli głównie sami mężczyźni. Jedynie ostatni stolik, tuż przy barze, zajmowały dwie kobiety, na pierwszy rzut oka miewki bawiące się ze swoimi klientami. Dym papierosowy był gęsty jak mleko, nie unosił się, tylko kłębił w miejscu. Ceny nie były wysokie, jednak ze względu na opinię dzielnicy nie zapuszczali się tu porządni mieszkańcy Szczecina.

– Dlaczego wybrałaś to miejsce? – Joanna wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i zapaliła jednego.

– Mam stąd dobre wspomnienia. – Uśmiechnął się.

Okrągłe binokle na jego twarzy nadawały mu wygląd urzędnika podatkowego albo pracownika zakładu pogrzebowego. Wiedziała, że to tylko pozory. Pamiętała, jak rekrutował ją do służby. Te wielogodzinne przesłuchania, ćwiczenia, tortury. To wszystko jawiło jej się teraz jak echo złudnej przeszłości, której nigdy nie było. Wyrzuciła to z pamięci. Kelner przyniósł alkohol i przekąski.

– Joanno, za spotkanie! – Podnieśli kieliszki. – Wiesz, nigdy ci nie mówiłem, dlaczego wyciągnęliśmy cię ze Szczecina wtedy, w pięćdziesiątym szóstym. Po tej akcji z Kisielem. – Joanna przełknęła kęs nóżek.

– Nie musimy do tego wracać... – Zrobiłaby wszystko, by o tym nie rozmawiali. Borak jednak nie przerywał.

– Wiem, że byłaś wtedy z tym lekarzem. – Głowa odskoczyła mu na bok w nerwowym tiku. – Jak on miał? Ferenc? Tak. Szymon Ferenc. Może gdybyś z nim wtedy została, to chłop by się nie pakował w problemy. Cóż, stało się inaczej i dzisiaj wacha kwiatki od spodu na Cmentarzu Centralnym.

Mężczyzna zanurzył widelec w mięsie i zaczął je mieszać z żółtkiem.

– Dlaczego o tym wspominam, zapytasz? – Sięgnął po pieprz. – Otóż chciałbym ci delikatnie przypomnieć, że to my w trzecim departamencie w pełni kontrolujemy twoje życie i to my w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych decydujemy, w którym kierunku ono zmierza. Nie zapomnij o tym. Nie ma alternatywnej rzeczywistości.

Nabrał na widelec tatara i wsunął do ust.

– A teraz powiedz mi, czego nie zrozumiałaś, gdy mówiłem, że jest to tajna operacja, i dlaczego byle kacyk z komitetu wojewódzkiego dzwoni do ministerstwa i wypytuje o was.

Krauze przełknęła ślinę. To będzie długi wieczór, pomyślała.

Wiadomość

Okolice Bramy Królewskiej, Szczecin, 12 stycznia 1968 roku

Od czasu katastrofy na Wyszaka Hania musiała wstawać do pracy wcześniej niż zwykle. Co prawda, było to tylko dwadzieścia minut różnicy, ale jednak. Po wypadku zmienili trasę przejazdu „szóstki”. Teraz tramwaj robił koło i jechał przez Parkową. Przy stoczni zatrzymywał się kwadrans później. Nie było to jakieś wyjątkowe wyzwanie. Lubiła wstawać o świcie. Miała czas, żeby przygotować kanapki sobie, mężowi i dzieciakom. Jeździła pierwszym porannym składem. Było dużo luźniej. Dziś miała szczęście. Jechała właściwie w pustym wagonie. Siedziała po prawej stronie, tuż za motorniczym. Było cieplej i nieraz można było posłuchać radia.

Zaczęło padać. Okna tramwaju pokryła wodna mozaika. Światła z latarni ulicznych stojących obok „13 Muz” rozlewały się w kroplach deszczu na szybie tramwaju. Zatrzymali się na przystanku na Przyjaciół Żołnierza. Do środka wpadło dwóch mężczyzn. Rozpoznała ich. Zawsze wsiadali na tym przystanku i zawsze tak samo zalatywało od nich alkoholem. Cieszyła się, że nie zajmowali miejsc z przodu wagonu. Tramwaj ruszył.

Gdy zbliżyli się do południowej fasady Bramy Królewskiej, Hania kątem oka zauważyła, że coś się zmieniło. Być może to rozmazane na szybie krople deszczu, a może mrugająca lampa wisząca na bramie, jednak budynek wyglądał inaczej niż zwykle. Tramwaj zwolnił przed zakrętem. Teraz brama znajdowała się po lewej stronie wagonu. Hania wstała i podbiegła do szyby. Nie myliła się. Coś wisiało na elewacji bramy. Próbowwała przetrzeć szybę, by upewnić się, że dobrze widzi, ale bezskutecznie. Kiedy tramwaj zbliżył się do zakrętu na wyciągnięcie ręki, a światło z reflektora padło na obiekt, zrozumiała, że to nie jest coś. Krzyknęła przeraźliwie. Na bramie wisiał człowiek. Naga kobieta z rozłożonymi rękoma. Hania wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć, by tramwaj się zatrzymał. Motorniczy przekreślił nastawnicę, a metalowe koła, wyrzucając iskry spod podwozia, zatrzymały wagon. Mężczyźni siedzący z tyłu podbiegli do kobiety, ale zamiast jej pomóc, stanęli w osłupieniu, wpatrując się w obraz, który już na zawsze pozostanie w ich głowach. Motorniczy wyskoczył z kabiny. Stanął przed bramą smagany kroplami deszczu, bez czapki, bo silny wiatr ją porwał. Przed nim rozpościerał się widok przywodzący mu na myśl obrazy, które widywał w kościele podczas drogi krzyżowej.

Do Bramy Królewskiej przybito gwoździemi dziewczynę. Jej jasne włosy opadały na białe ramiona. Głowa zwisała bezwładnie na piersi. Nogi były lekko ugięte w kolanach. Stopy złożone i przebite jednym długim ćwiekiem. Z ciała wystawały jeszcze trzy inne gwoździe. Jeden z czaszki, drugi z żołądka, trzeci z okolic serca. W brzuchu spoczywał wbity po samą rękojęść bagnet. Tuż nad wzgórkiem łonowym wyróżniło znak ryby.

* * *

Wozy milicyjne na sygnałach zablokowały Hołdu Pruskiego i plac Żołnierza od strony Wyzwolenia. Jeden wóz strażacki stanął na wysokości Bramy Królewskiej. Strażacy wyciągali drabinę. Wokół budynku kręcili się milicjanci i mężczyźni po cywilnemu. Od Hołdu Pruskiego nadjechała na sygnale karetka pogotowia. Wóz techniczny włączył reflektor punktowy, oświetlając miejsce zbrodni. Od strony Zamku Książąt Pomorskich nadjechał łazik. Za kierownicą siedział Galant, obok niego Joanna, a z tyłu lwowiak. Zatrzymali się na skwerze tuż przed budynkiem partii. Galant wyskoczył z samochodu, tuż za nim biegła Joanna. Wajda nie był w stanie dotrzymać im kroku, więc człapał kilka metrów za nimi. Przed skrzyżowaniem stała blokada. Dwóch milicjantów z drogówki zastąpiło im drogę.

– Gdzie? Nie widzicie, że nie można? – Ten grubszy był już cały mokry.

– Wypierdalaj! – krzyknął Galant i już miał odepchnąć milicjanta, gdy zastąpiła mu drogę Joanna, przystawiając milicjantowi legitymację służbową pod nos.

– Z drogi! – krzyknęła.

Milicjant rozłożył ręce i kiwnął do drugiego milicjanta.

– Waldek, wpuść tych esbeków!

Wbiegli na skrzyżowanie pełne ludzi.

– Kto tu dowodzi? – krzyknęła Joanna do siedzącego w radiowozie milicjanta.

– Chuj wie. – Milicjant próbował zamknąć drzwi, które przytrzymała Krauze.

Galant stanął przed oświetloną Bramą Królewską.

– Co tu się, kurwa, dzieje...? – wyszeptał.

Obficie padający deszcz zamienił skwer przed budowlą w grzęzawisko. Jeden z milicjantów nie utrzymał równowagi, poślizgnął się i wpadł na trzech mężczyzn, którzy przytrzymywali ciało nieżyjącej kobiety za nogi. Ze szczytu bramy zwiślał strażak. Zabezpieczony liną okręconą wokół rzeźby korony królewskiej próbował przytrzymać ramiona dziewczyny. Po drabinie ustawionej po lewej stronie bramy wspinał się inny strażak, który obcęgami próbował wyrwać gwóźdź z lewej dłoni martwej kobiety.

Ugne przemknęło przez głowę, że już ten obraz gdzieś widział. Podszedł do bramy. Kobieta zwiślała nad wejściem. Zakrywała swoim wiotkim ciałem kartusz z pruskim orłem. W pewnym momencie wyslizgnęła się z rąk strażaka, który przytrzymywał ją za ramiona. Ten, próbując utrzymać równowagę, chwycił kobietę za włosy, unosząc jej głowę. Ugne zamarł. Poczuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. To była Stefa, pielęgniarka ze szpitala na Arkońskiej. Zakręciło mu się w głowie. Wiedział, że zaraz nadejdzie atak, bo czuł, że światła reflektorów wypalają mu gałki oczne. To z jego winy zawisała teraz na tej pruskiej cegle. Upadł, a przez jego organizm przetoczyły się drgawki. Lwowiak doskoczył do Ugne. Zerwał z siebie prochowiec i podłożył mu pod głowę.

– Zaraz to się skończy – wyszeptał.

Wokół nich powstało zbiegowisko. Nagle poprzez skowyt syren przedarł się głos Joanny, która stała teraz wyprostowana na masce milicyjnej warszawy ze szczekaczką w ręku.

– Wszyscy odsunąć się od ofiary! Wy, tam! – Wskazała na wspinających się strażaków i milicjantów.
– Wypierdalać z miejsca zbrodni!

Ugne otworzył oczy. Zobaczył przed sobą pucułowaną twarz lwowiaka. Podniósł się i splunął. Skierował wzrok na leżący w błocie prochowiec Wajdy. Schylił się i podniósł go. Otrzeptał i z krzywym uśmiechem oddał lwowiakowi.

– Musisz go lepiej pilnować, bo się zniszczy.

Obrócił się. Wokół bramy nadal kręcili się ludzie. Podbiegł do pierwszych z brzegu i zaczął ich wyciągać siłą z kręgu. Krauze przekazała szczekaczkę stojącemu obok plutonowemu.

– Jesteś tu, kurwa, najstarszy stopniem, zrób coś z tym syfem! Za trzydzieści sekund chcę widzieć kordon wokół miejsca zbrodni. Rozumiesz?! – Mężczyzna chwycił głośnik i kiwnął głową.

Po chwili nie było już nikogo w pobliżu. Wokół stali tylko mundurowi. Lwowiak wrócił do służbowego łazika i z tylnego siedzenia wyciągnął torbę. Wracając, zauważył, że za kordonem od strony Matejki stoi Kuba Kawalec z dwiema skrzynkami pod pachą i gestykułuje w kierunku pilnującego wejścia milicjanta. Lwowiak gwizdnął w jego stronę.

– To jest mój asystent, wpuść go!

Po chwili obaj przebierali się w białe fartuchy, które Wajda wyciągnął z torby. Założyli gumowe rękawiczki, czym wzbudzili rechot wśród niektórych strażaków i milicjantów. Wszyscy z zaciekawieniem im się przyglądali.

Ugne usiadł pod bramą i oparł się o jej potężne drzwi. Był cały w błocie. Po twarzy spływały mu czarne smugi szlamu. Schował twarz w rękach. Lwowiak wyciągnął z torby zenita i podłączył do niego lampę. Po chwili błyski flesza zaczęły rozdzierać ciemność. W tym czasie Kawalec wspinał się po drabinie i zabrał się do zdejmowania odcisków palców z gwoździ wbitych w prawą dłoń dziewczyny, serce, głowę i brzuch. Następnie przesunął drabinę na drugą stronę i sięgnął do gwoźdźca, którym została przebita prawa dłoń. Kątem oka spostrzegł, jak przez kordon milicji przedziera się grupa mężczyzn po cywilnemu. Na czele szedł wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu. Zobaczył, jak Joanna stanęła im na drodze. Chwilę rozmawiali, po czym mężczyzna odepchnął kobietę. Uderzenie było na tyle silne, że Joanna upadła na bruk. Ugne zerwał się z miejsca i doskoczył do mężczyzny. Zakotłowało się. Do Galanta podbiegło trzech innych mężczyzn i powaliło go na ulicę.

– Ty jesteś tym Litwinem, który wpierdala się w nie swoje sprawy? – Mężczyzna z okazałymi zakolami i okularami z grubymi denkami kucnął przed twarzą Galanta. – Prosiłem przecież grzecznie, że macie trzymać się z daleka od naszego śledztwa. Nadzór nad nim pełni Służba Bezpieczeństwa. – Mężczyzna poklepał Galanta po policzku – I lepiej, żebym nie musiał tego powtarzać.

Lwowiak, korzystając z zamieszania, doskoczył do Kawalca, który wciąż zwiślał na drabinie.

– Schowaj próbki! – Następnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął nowy film. Zwinął kliszę w aparacie i założył nową. Zrobił jeszcze kilka zdjęć, zanim dobiegł do niego mężczyzna w płaszczu i kapeluszu. Wyrwał mu aparat i otworzył go, prześwietlając kliszę. W tym czasie drugi ściągnął Kawalca z drabiny i przysunął mu do twarzy otwartą dłoń. Jakub spojrział ze smutkiem w stronę Wajdy, po czym położył próbki na dłoni funkcjonariusza.

– A teraz wypierdalać mi stąd wszyscy, zanim oskarżę was o utrudnianie śledztwa! – krzyknął mężczyzna w skórzanym płaszczu w kierunku Krauze, która pomagała wstać poobijanemu Galantowi. Gdy już się pozbierali, Joanna, przechodząc obok esbeka, uśmiechnęła się i wyszeptwała:

– Dukla, ty śmieciu, i tak z tego nic nie rozumiesz. – Mężczyzna zamachnął się, jakby chciał ją uderzyć, ale powstrzymał się.

– Już niedługo z tobą i innymi Żydami będziemy inaczej rozmawiać. – Skrzywił się w ironicznym uśmiechu.

Sprawa Piaseckiego

Teatr Lalek „Pleciuga”, al. Wojska Polskiego 64, Szczecin, 13 stycznia 1968 roku

Joanna nie pukała. Energicznie otworzyła drzwi i stanęła w rozkroku pośrodku sali. Kawalec i Wajda właśnie kończyli wieszanie zdjęć na tablicy.

– Co on tu robi? – Wskazała na plutonowego.

– Pracuje. – Wajda wcisnął ostatnią szpilkę w tablicę. – Wysadzili mu laboratorium na Małopolskiej, to przyszedł tutaj. Innego nie ma.

Krauze podeszła do tablicy.

– Myślałam, że zabrali wam film z aparatu.

Wajda pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

– To nie wszystko, mamy też kilka świeżutkich odcisków palców. – Skinął głową w kierunku łysiejącego asystenta.

– Tak – przyznał Kawalec. – Tylko musimy je sprawdzić w bazie danych, a te są w komendzie wojewódzkiej.

Joanna podeszła do tablicy, którą w całości pokrywały zdjęcia Bramy Królewskiej. Na niektórych widać było wykadrowane dłonie poprzębijane gwoździami. Na innych stopy, również przebite długim gwoździem. Były też ujęcia w szerokim planie. Te wydawały się Krauze najbardziej uderzające. Dopiero z tej odległości zwróciła uwagę na barwę ciała ofiary. Była blada. To nie powinno dziwić. Gdy zatrzymuje się akcja serca, ustaje także krążenie. Krew zaczyna spływać pod wpływem grawitacji. Kiedy krew osiada, zmienia się kolor ludzkiego ciała. W tych miejscach ciało powinno mieć kolor fioletowo-czerwony lub niebiesko-fioletowy. Ale nie tym razem. Ofiara była cała blada. Przypominała wręcz jakąś nierzeczywistą istotę. Wokół błoto, stare cegły, metalowe kraty, a pośrodku dziewczyna o cerze tak jasnej, że Joannie przychodziło do głowy jedno słowo. Anioł. Może taki właśnie miał być przekaz?

– Zanieście tę tablicę ze zdjęciami na górę. Tu nie ma miejsca, a chciałabym, żeby każdy ją zobaczył. I jeszcze jedno, gdzie jest Galant?

– Nie wiem. Od czasu tej awantury pod Bramą Królewską go nie widziałem. – Wajda skierował swój wzrok na drzwi wejściowe. – Jednak skoro nie ma go tak długo, to obawiam się, że jest w innej rzeczywistości. To twardy skurczybyk, ale nie najlepiej reaguje na śmierć ludzi, wobec których czuje, że ma jakieś zobowiązania.

W drzwiach stała Basia.

– Domyślam się, gdzie może być. – Odwróciła się i już miała wychodzić, gdy Joanna złapała ją za ramię.

– Przywieź go i spotkajmy się o osiemnastej. Myślę, że wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

* * *

Pchnęła drewniane drzwi. Zaskrzypiały z jękiem mogącym obudzić lokalne upiory. Stała pośrodku baru. Na podłodze z szarego lastryko leżał pijany menel. Przeszła nad nim i skierowała się do baru, za którym stał barczysty mężczyzna. Jego kwadratowa, zarosnięta szczeka lekko opadła na jej widok. Wiszący nad nim dworcowy zegar wskazywał godzinę dziesiątą rano. Po prawej, przy stolikach pokrytych ceratą, siedziały lokalne szumowiny. Ich zapite gęby mówiły wszystko. Jeżeli będzie szansa wyrwać jakąś flotę, niezależnie jak i gdzie, wejdą w to. Niebuszewo, pomyślała. Ze stolika umiejscowionego najbliżej drzwi wejściowych dotarł do niej ochrypły głos.

– Rozumiesz, no, gościu z brzozonej przerzucił się na sztamajkę, potem na politurę, potem chciał atrament pić, ale sam rozumiesz...

Spojrzała w stronę okien. Brązowe od dymu papierosowego firany nie tylko nie wpuszczały światła

do pomieszczenia, ale miały też inne zadanie: dbały o to, by nieproszeni goście nie zaglądali do środka. Ciemność rozświetlały gołe żarówki. Pięknie, pomyślała, jeszcze przyjdzie jej się tu szarpać z jakimiś dzielnicowymi patriotami.

W lewej części baru, tuż obok starego wieszaka, stał jeszcze jeden stolik. Siedział przy nim mężczyzna odwrócony plecami do drzwi. Na wieszaku wisiała wojskowa emka. Rozpoznała go od razu. Skierowała się w jego stronę. Usiadła na drewnianym krzeselku z metalowymi nóżkami. Na stole stała opróżniona w dwóch trzecich butelka wódki i nieruszone nóżki w galarecie. Ugne spojrział na nią.

– Kelner, kieliszek! – krzyknął w stronę barmana o byczym karku.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Basia zmarszczyła brwi. Mężczyzna przed nią wyglądał jak starzec. Podkrążone oczy. Jasna szczecina obrastająca nierównomiernie twarz i szyję. Do tego te blizny. Stare i nowe. Włosy nie potrzebowały brylantyny, kleiły się od deszczu, potu i brudu. Jasna grzywa opadała na błękitne oczy, które teraz zaszyły mgłą alkoholową.

– Wiedziałam, że jak popłyniesz, to tylko na Niebuszewie i tylko w „Zaciszu”. – Basia uśmiechnęła się delikatnie. – Wiesz, że jeżeli się nie pozbierasz, usuną cię z zespołu.

Barman podszedł i bez słowa postawił przed Basią kieliszek i talerzyk z nóżkami. Ugne nalał do obu kieliszków.

– Jestem jak posłaniec śmierci. Do kogo się zbliżam, odchodzi z tego świata. – Nie czekał na nią, tylko podniósł kieliszek i opróżnił. – Zatem może i lepiej, że mnie nie będzie w tym waszym zespole. Przynajmniej przeżyjecie. – Roześmiał się głośno.

– Wiem, że nic nie cofnie życia tej dziewczynie, ale wydaje się, że jesteśmy coraz bliżej ludzi, którzy tego dokonali. – Basia złapała obiema dłońmi twarz Galanta. – Bez ciebie może nam to zabrać dużo więcej czasu, a przez to ofiar może być jeszcze więcej. Jesteś nam potrzebny.

Galant błędnym wzrokiem spojrział Basi w oczy.

– Nam? Czy tobie?

Basia wychyliła kieliszek duszkiem i wstała.

– Ugne, pozbieraj się. Chcę cię widzieć o osiemnastej w „Pleciudze”.

Wstała i szybkim krokiem skierowała się do wyjścia. Drzwi jęknęły przeraźliwie.

* * *

Byli wszyscy. Galant siedział jak zwykle na parapecie. Jedną nogą opierał się o podłogę, druga częściowo wystawała przez otwarte okno. Palił papierosa. Na metalowych, dziecięcych krzeselkach siedzieli Basia, lwowiak i Kawalec. Wokół nich stały tablice wypełnione zdjęciami, mapami i wycinkami z gazet. Mniejsza tablica stała tuż przy biurku, za którym siedziała Krauze. Przed nią na blacie leżały długie gwoździe. Podniosła je.

– Takimi gwoździami przybito pielęgniarkę Stefę Szapiel do elewacji Bramy Królewskiej. – Joanna wstała i podeszła do każdego, wręczając im po jednym z gwoździ. – To są trzysetki krokwiowe. Gwoździe dekarskie o długości trzydziestu centymetrów. Gwoździ było sześć. Chłopaki z naszej kryminalistyki znaleźli na nich ślady daktyloskopijne. Trzy różne odciski palców. Gdzie można dostać takie gwoździe? Okazuje się, że w Szczecinie są tylko dwa sklepy i dwa składy budowlane, w których można je kupić. To nie wszystko. Z ofiary spuszczone krew. Niecałą. – Krauze pochyliła się, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej mały worek. – Nieopodal bramy Kawalec znalazł taką torebkę. Materiał jest impregnowany woskiem. Możemy tylko się domyślać, że do takich właśnie worków spuszczone krew. Nie wiem, co to oznacza, ale to jest robota dla Galanta. – Krauze wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła jednego. – I ostatnia sprawa. Wajda, zanim laboratorium kryminalistyki poszło z dymem, wpadł na ciekawy trop. Mów, lwowiak. – Joanna skinęła brodą w kierunku Wajdy.

Lwowiak wyszedł na środek sali. Sięgnął do kieszeni prochowca i wyciągnął z niej plastelinową kulkę. Kilka razy ją podrzucił, po czym cisnął w kierunku Galanta. Ugne wyciągnął rękę i chwycił ją, nie podnosząc się z miejsca.

– To jest semtex – czechosłowacki materiał wybuchowy. Mamy... – Spojrział na Jakuba, jakby chciał się upewnić i kontynuował z wahaniem: – Mieliśmy dowody na to, że niewielki ładunek tej plasteliny doprowadził do katastrofy tramwajowej na Wyszaka.

W sali zapanowało poruszenie. Galant wyrzucił przez okno niedopałek i zaczął przyglądać się

plastelinie.

– W Polsce jest tylko jedno miejsce, gdzie takie materiały wybuchowe mogą się znajdować. – Wajda zawiesił głos, a w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Ożeż kurwa, ty ukraiński złamasie, mów! – nie wytrzymał ciśnienia Ugne.

– W Dziwnowie. Kilka lat temu został tam przeniesiony z Krakowa Dwudziesty Szósty Batalion Dywersyjno-Rozpoznawczy. Obecnie nosi nazwę Pierwszy Samodzielny Batalion Szturmowy. Jest to jednostka specjalna, żołnierze przechodzą specjalistyczne szkolenie, które ma ich przygotować do dywersji na tyłach wroga, czyli pewnie Danii albo Niemiec. – Lwowiak uśmiechnął się tajemniczo.

– To chyba nie są informacje jawne, Wajda... – Krauze zawiesiła głos.

– Kilka razy byłem na konferencjach jednostek badawczych krajów demokracji ludowej i tam poznałem twórców tej wybuchowej plasteliny. Po którejś wódeczce wygadali się, gdzie w Polsce jest miejsce, w którym to testują. – Wajda ponownie wyszczerzył zęby. – Ja tam mało piję, ale jak już, to kieliszeczek wchodzi mi jeden za drugim i nic.

Krauze podeszła do Galanta i wyjęła mu z dłoni semtex.

– Ugne, to jest twój temat. Pojeźdź do Dziwnowa i sprawdź to.

Krauze ponownie usiadła na biurku i odchylając się lekko do tyłu, podparła się dłońmi na blacie, krzyżując nogi.

– Pogadajmy jeszcze o tym morderstwie.

Galant usiadł na krzeselku. W pomieszczeniu ponownie zapanowała cisza.

– Jak wam się wydaje, co oznacza sposób, w jaki została zamordowana, a później przybita do bramy ofiara?

– To akurat nie jest trudne do wyjaśnienia – rozpoczęła Romanowska. – Mordercy odstawili szopkę z ukrzyżowaniem naszego świadka. Wyrznęli jej na ciele rybę, czyli symbol pierwszych chrześcijan. Mało subtelne posunięcie, które miało na celu sprowokować katolików. Nietrudno się domyślić, kogo by oskarżyli mieszkańcy tego miasta, którzy w większości są katolikami, gdyby trafił do nich ten przekaz.

– Kogo? – wyrwało się Kubie.

– No, jak kogo? Nie widzisz, co się dzieje wokół? Nie czytasz gazet? Nie słuchasz radia? – Galant wpatrywał się w jeden punkt na tablicy. – Nie widzisz tej nagonki na ludzi, którym udało się przeżyć pogrom? Nie mówią głośno: Żydzi, używają jakiegoś synonimu, by spoglądając w lustro, nie widzieć Goebbelsa, Stroopa, Franka czy Bormanna. – Galant wyciągnął pogniecioną paczkę giewontów z tylnej kieszeni dżinsów i zapalił jednego. – I robią to tylko dlatego, żeby ponownie szczuć jednych na drugich. By utrzymać stołki w tej swojej partii. – Ugne spojrział w stronę Basi, która nie patrzyła na niego, tylko wgapiła się tępo w podłogę. – Przez skórę czuję, że to zasłona dymna, element jakiejś większej gry, której nie potrafię jeszcze zrozumieć. – Ugne zaciągnął się głęboko papierosem. – Po co te gwoździe? Dlaczego zabijają świadków? Jeżeli to jest walka jakiejś koterii o wpływy w tej pierdolonej partii, to przecież oni nie muszą niczego się bać, to jest ich państwo, mogą robić, co chcą.

Krauze wstała i podeszła do jednej z tablic ze zdjęciami.

– Starczy, Ugne! – Odwróciła się i sięgnęła po zdjęcie przedstawiające ukrzyżowaną pielęgniarkę. – Słyszeliście o śmierci syna Bolesława Piaseckiego?

– Tego polityka? – zapytał Wajda.

– Tak, posła i przewodniczącego PAX.

– To sprawa sprzed dziesięciu lat? – zapytała Basia.

– Dokładnie dwudziestego drugiego stycznia pięćdziesiątego szóstego. To wtedy chłopak został porwany. Miał piętnaście lat. Uczył się w liceum Świętego Augustyna w Warszawie. Po lekcjach podeszło do niego dwóch mężczyzn w kapeluszach i skórzanych płaszczach. Przedstawili się jako funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej. Wsadzili go do taksówki. To była czarna warszawa. Po dwóch latach znaleziono jego ciało w piwnicy. Mieszkanie, w którym dokonano zabójstwa, należało do działu gospodarczego stołecznej komendy miejskiej. – Krauze zapaliła mentolowego. – Chłopak został zamordowany w rytualny sposób. W jego ciało wbito trzy trzydziestocentymetrowe gwoździe: po jednym w żołądek, serce i głowę. W klatkę piersiową wbito bagnet. To była wyjątkowa broń, jak się później okazało, stanowiła wyposażenie wojskowych, elitarnych jednostek specjalnych. Od samego początku milicja wykazywała w śledztwie zadziwiająco nieudolność. To koledzy Piaseckiego z PAX-u, nie milicja, odnaleźli taksówkarza, którego

samochodem posłużyli się porywacze. Okazało się, że kierowca był Żydem. Dalej było jeszcze gorzej. W niewyjaśnionych okolicznościach zaczęły ginąć dowody rzeczowe. Najpierw w „wyniku błędu czynnika ludzkiego” skasowano taśmę, na której zarejestrowana była rozmowa telefoniczna z jednym z porywaczy. Później zagubiono list porywaczy, na którym znajdowały się odciski palców. Następnie zniknął protokół z pierwszej wizji lokalnej. Świadkowie otrzymywali telefony z pogrózkami. Kilka miesięcy później zginął w niewyjaśnionych okolicznościach świadek mieszkający w pobliżu miejsca, gdzie zakończyła swoją trasę czarna warszawa i gdzie dwa lata później odnaleziono zwłoki chłopca. Wkrótce po porwaniu do Izraela wyemigrowało wielu funkcjonariuszy MO i UB, mieszkających w pięćdziesiątym siódmym roku w pobliżu miejsc, gdzie znajdowano informacje od porywaczy. Wszyscy byli pochodzenia żydowskiego. Po przyjeździe do ministerstwa mojego szefa – Mieczysława Moczara, wznowiliśmy śledztwo, ale było już pozamiatane. Jakież wnioski? – Joanna podeszła do ściany i wbiła w nią z całej siły gwóźdź. – To jest nasz pierwszy trop!

W pomieszczeniu ponownie zapanowała cisza. Przerwał ją Galant.

– Może powinna byłaś zacząć, Dorotko, od przybliżenia naszym koleżankom i kolegom, kim był towarzysz Piasecki, tatuś Bogu ducha winnej ofiary. – Galant wyrzucił kiepa przez okno. – Przed wojną twój bohater zbudował skrajnie nacjonalistyczną organizację ONR-Falanga, która głosiła hasła antysemityczne. Chłopaki z Falangi prowadzili działalność terrorystyczną, wymierzoną w organizacje żydowskie. Z kolei w czasie wojny szanowny towarzysz Piasecki kierował Konfederacją Narodu, a ta na gruzach Niemiec i ZSRR chciała zbudować czysto rasowe imperium słowiańskie, w którym Polska miałaby odgrywać rolę przewodnią. Był antysemitą i mordercą.

– Czyli naszymi mordercami jest jakaś specjalna tajna organizacja żydowska? – przerwał mu Wajda.

Galant podeszedł do Joanny i wyrwał jej fotografię, którą pieczołowicie przypiął do tablicy. Przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie. Jeżeli jest prawdą to, co opowiedziała Krauze, to wszystko wskazuje na mord rytualny, pomyślał Galant. Tylko skąd ona ma tak szczegółowe informacje? Przecież oficjalna wersja jest taka, że jego syn zaginął i do dzisiaj pozostał nieodnaleziony. Historia, którą opowiedziała, wskazuje na dogłębną znajomość tamtego śledztwa.

– Zaraz, przecież to są tajne informacje – szeptał do siebie Galant. – O tym, jak został zamordowany Piasecki, wiemy tylko my. Nie mają o tym zielonego pojęcia nie tylko milicjanci, ale też powiatowi partyjniacy ani esbecy. – Hej, Dorotko, kto zna okoliczności tej sprawy, o której nam powiedziałaś? – Ugne odwrócił się w kierunku Joanny.

– Góra Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz członkowie prezydium KC PZPR, i to pewnie nie wszyscy...

– A skąd wiesz o tym tak dużo?

– Bo... byłam w zespole śledczych, którzy przyglądali się sprawie.

Galant zapalił papierosa i zaciągnął się.

– Zatem rytualne morderstwo pielęgniarki jest komunikatem skierowanym tylko do wąskiej grupy ludzi. Do nas i do tych tam, na samej górze? Może w tej sprawie wcale nie chodzi o zrzucenie winy na jakichś polityków, tylko o banalną krwawą zemstę? – Ugne zaciągnął się i spojrzał w oczy Krauze.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że Piasecki i jego ludzie musieli być nieźle wkurwieni na to całe wasze śledztwo. Sprawcy uciekli, zero winnych, a chłopak leży głęboko w dole i nikt nawet nie został oskarżony. Może po ludzku towarzysz Piasecki, albo ktoś w jego imieniu, wpadł na pomysł, że to całe towarzystwo, które jest przy władzy, trzeba wystrzelić w kosmos.

– Jeżeli to prawda, to celem nie jesteśmy my, tylko ludzie, którzy zaraz po śmierci Bohdana robili wszystko, żeby sprawie ukreć łeb. Nie prowadziliśmy oficjalnego śledztwa. Chcieliśmy tylko połączyć nitki i dowiedzieć się, kto trzymał za końcówki – odpowiedziała Krauze.

– Jest jeszcze trzecie wyjście. – Ugne zaciągnął się tak mocno, że omal nie poparzył sobie palców. – Może ktoś nami manipuluje i oczekuje, że teraz przekreścimy wajchę o sto osiemdziesiąt stopni i będziemy biegali za ludźmi z PAX-u. Założymy im podsłuchy, będziemy ich śledzić i po kilku miesiącach dojdziemy do wniosku, że to była ślepa uliczka, a tam na górze wszyscy będą warczeć na wszystkich.

– To niewykluczone, Galant. – Krauze podeszła do niego i poprawiła mu pas u spodni. – Dlatego na razie róbmy swoje i zobaczymy, jaki będzie ich kolejny ruch.

Jednostka 4101

Koszary tajnej jednostki JW. 4101, Dziwnów, 16 stycznia 1968 roku

Galant załamał się, gdy usłyszał od mechanika, że na wyklepanie jego ukochanego stoewera R 200 będzie musiał poczekać jeszcze dwa tygodnie. Na szczęście okazało się, że pomimo dramatycznie wyglądającego wypadku auto jest sprawne. Silnik i sześciobiegowa skrzynia nie uległy uszkodzeniu. Trzeba tylko sprowadzić trochę nowych części zamiennych i wymienić blachy. Do tego czasu musi się turlać tym smętym milicyjnym łazikiem.

Spojrzał w kierunku sosnowego zagajnika. Jakiś czas temu minął tablicę z napisem Dziwnów, więc powinien już być na miejscu. Oczywiście żadna mapa nie wskazywała miejsca, gdzie znajdowała się tajna jednostka o numerze JW 4101. Wiedział jedynie, że jest w lesie, gdzieś pomiędzy Dziwną a wybrzeżem Bałtyku. Skręcił w piaszczystą drogę. Zbierało się na deszcz. Silne porywy wiatru zrywały gałęzie i rzucały je na drogę. Po przejechaniu dwustu metrów zobaczył szlaban, budkę strażniczą i dwóch żołnierzy. Jeden z nich podniósł kałasznikowa i wycelował w niego. Drugi wskazał dłonią, by się zatrzymał. Ugne zahamował i wyłączył silnik.

– To teren jednostki wojskowej. Zawracajcie. – Mężczyzna miał na sobie mundur w kolorze khaki, na głowie bordowy beret, na lewym ramieniu godło Batalionu Szturmowego. Na plecach zwisał mu karabinek AK.

Ugne wyciągnął legitymację służbową.

– Jestem umówiony na rozmowę z majorem Szydłowskim.

– Chwila. – Starszy szeregowy podszedł do budki strażniczej i podniósł słuchawkę telefonu. Drugi przez cały czas stał z automatem wymierzonym w Galanta.

Po chwili ten pierwszy podszedł do samochodu.

– Proszę jechać prosto i nie zjeżdżać z głównej drogi. – Dał znak koledze, by podniósł szlaban.

Galant jechał prosto po leśnej drodze jakieś trzy kilometry. Zobaczył pierwsze wieże strażnicze, koszary otoczone wysokim murem, rozciągające się na obszarze kilkunastu hektarów. Wiedział, że trzydzieści lat wcześniej w tych koszarach szkolili się esesmani. Dojechał do głównej bramy. Dobrze trafił. Na budynku wartowni wisiało wielkie godło jednostki – orle skrzydła na tle rozpiętej czaszy spadochronu. Z wartowni wyszedł żołnierz i gestem pokazał, by Galant otworzył okno. Kątem oka zauważył, że żołnierz na wieży strażniczej wymierzył w niego karabin maszynowy. Ugne otworzył okno i podał pierwszemu legitymację służbową. Żołnierz zabrał ją ze sobą do wartowni. Wrócił po kilku minutach, trzymając w dłoni jakiś dokument. Zaczęło padać, więc starał się trzymać go pod bluzą. Galant otworzył okno. Plutonowy przekazał mu kartkę.

– To jest oświadczenie o zachowaniu w tajemnicy wszystkiego, co tu zobaczycie. Wyłuszczoneym drukiem zaznaczona jest sankcja karna, gdybyście chcieli się z kimś podzielić swoimi wrażeniami. – Żołnierz uśmiechnął się, pokazując niepełne uzębienie. – Podpiszcie.

Ugne nie czytał. Podpisał dokument i oddał mundurowemu.

– Jedziecie prosto jakieś dwieście metrów, następnie skręćcie w prawo obok kasyna i dalej jakieś trzysta metrów prosto. Obok baru zakręćcie w lewo, dalej dwieście metrów tuż obok M sto trzystaście. Tam będzie budynek dowództwa. Dowódca jest pod szóstką.

– Obok czego? – Ugne po raz pierwszy spotkał się z taką nazwą.

– Obok amerykańskiego transportera gąsienicowego. – Żołnierz spojrzał na Galanta z wyrzutem. – Takiego dużego pojazdu z wielką białą gwiazdą i napisem US Army.

– Okej. – Galant uśmiechnął się do żołnierza i ruszył.

Na terenie obiektu stało kilka budynków. Wyglądały jak akademiki, ale były w dużo lepszym stanie. Teren był uporządkowany. Alejki, latarnie uliczne przypominające te ze Szczecina. Poniemieckie, pomyślał.

Skręcił w prawo. Na wielkim placu stały dwa śmigłowce bojowe. Po lewej dwa czołgi. Ugne przyjrzał im się z bliska. To nie były T-54 ani T-60, tylko amerykańskie pattony z białymi gwiazdami na burtach. Obok nich stały amerykańskie dżipy z tą samą białą gwiazdą na masce. Zatrzymał się, by przepuścić trzech mundurowych, którzy szli z naprzeciwka. Zdziwiło go, że mieli na sobie oliwkowe stroje amerykańskiej piechoty. Kamizelki i hełmy w barwach kamuflażowych? A gdzie mundury Ludowego Wojska Polskiego? Obrócił się. Na plecach zwisały im karabiny M-16. Dopiero teraz do Galanta zaczęło docierać, czym jest ta jednostka. Nietrudno było się domyślić, że ci żołnierze w przypadku konfliktu z NATO zostaną zrzućeni na spadochronach gdzieś w Kopenhadze czy Hadze i będą wysadzać mosty i linie kolejowe. To dlatego mają takiego świra na punkcie tajemnicy państwowej.

Ugne zatrzymał się przed niskim, białym budynkiem. Lało już porządnie. Wybiegł z auta i wpadł do środka. Wbiegł po schodach na pierwsze piętro. Były tu tylko trzy pomieszczenia. Odnalazł szóstkę i zapukał.

– Wejść! – głęboki bas zadudnił, jakby dobywał się ze studni.

Ugne otworzył drzwi. Za biurkiem siedział wysoki, łysy, mocno zbudowany mężczyzna w mundurze polowym Wojska Polskiego. Rękawy podwinął do łokci. Ciemnoczerwony beret umieścił pod pagonem. Za nim znajdowało się wielkie okno, z którego rozpościerał się niesamowity widok na morze. Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę. Ugne podszedł i się przywitał. Poczł silny uścisk.

– Siadajcie. – Major wskazał mu krzesło przed biurkiem. – W czym mogę pomóc?

– Mogę zacząć od jakiejś gry wstępnej, podchodów, albo też ... – Ugne wyciągnął paczkę giewontów z tylnej kieszeni spodni – wywalić jaja na stół. Którą wersję pan major woli?

Szydłowski zmierzył wzrokiem Galanta. Coś go w nim zaintrygowało. Bezpośredniość? Nie. W jego fachu to nie było nic nowego. Determinacja? Zdecydowanie? Nie. Prawda, za którą ten człowiek jest w stanie wiele zapłacić.

– Dobrze. Przejdźmy od razu do rzeczy.

– Wiem, że na wyposażeniu waszych chłopaków jest czechosłowacka plastelina o nazwie semtex. Obaj mamy świadomość, jakich szkód może narobić. – Ugne zapalił i zaciągnął się głęboko papierosem. – Dziura w moście, czołgu czy wywalenie ściany w bunkrze, ja to wszystko rozumiem, tylko czemu ta plastelina zrobiła dziurę w tramwaju, którym jechało pięćuset ludzi do pracy? Ma pan major jakieś wytłumaczenie?

Major wstał, odwrócił się i założył ręce za plecy. Przez chwilę wpatrywał się w spienione fale, które wdzierały się na jasny pas wybrzeża.

– W kompanii rozpoznania przez trzy lata służył facet o nazwisku Grot. Był wyjątkowym specjalistą w swoim fachu. – Matowy głos majora nie wykazywał żadnych emocji. – Potrafił wysadzić zamek w drzwiach, nie uszkadzając klamki. Był najlepszy. Świetnie rzucał nożem. Miał jednak jedną wadę. Był głęboko wierzącym katolikiem, wietrzącym wszędzie spiski. Zapisał się do jakiejś sekty, rycerzy Świętego Williama czy jakoś tak. Źle to wpływało na innych żołnierzy. Nie chcieli z nim nocować w jednym pomieszczeniu. Wszędzie tylko Żydzi i Żydzi. Wszystko się zmieniło latem ubiegłego roku. Gdy na Bliskim Wschodzie zaczęła się zadyma, przyszedł i złożył podanie o skierowanie do rezerwy. Szkoda mi było stracić takiego specja. No ale spokój na kompanii też miał swoją wartość. Zgodziłem się. Tydzień po tym, jak odszedł, zleciłem przeprowadzenie inwentaryzacji. Wynikało z niej, że w ostatnim czasie zużywaliśmy bardzo dużo plastiku i trotylu. W kwitach wszystko się zgadzało, ale wiedziałem, że ktoś przepalił sporą ilość materiałów wybuchowych. Bez dowodów nie mogliśmy nic zrobić. – Major się odwrócił. – Jeżeli przekażecie komuś dalej to, co wam powiedziałem, wyprę się, a wam zrobię sprawę o ujawnienie tajemnicy państwowej.

Ugne zaciągnął się.

– Czy Grot z kimś się tutaj przyjaźnił? Ufał komuś?

Major przesunął popielniczkę bliżej stołu.

– Tak, z Kublickim.

– Znajdę go gdzieś?

– Zdaje się, że teraz siedzi w luku torpedowym „Kondora”[33], jakiś kilometr w głębi morza. Jeżeli uda mu się wypłynąć, przeżyć w lodowatej wodzie i dopłynąć do brzegu, będzie tu za jakieś trzy godziny. – Major był zadowolony z efektu, jaki osiągnął.

Ugne na chwilę zamilkł, wyobrażał sobie żołnierza zamykanego w ciasnej, ciemnej tubie, którą zalewa lodowata woda.

– Dobrze. Dziękuję, majorze.

– W barze mają dobrą kawę. Polecam. Jeżeli Kublickiemu się uda, wyślę go do pana. I jeszcze jedno... – Major zawiesił na chwilę głos. – Dorwij tych skurwysynów, którzy to zrobili. A jeżeli będziesz potrzebował naszej pomocy, tu masz mój numer telefonu. – Mężczyzna podszedł do Galanta i wcisnął mu w dłoń skrawek papieru. – Nie zostawiamy spraw niezamkniętych.

Galant uśmiechnął się, schował kartkę do tylnej kieszeni dżinsów i skierował się w stronę drzwi. Zbiegł ze schodów i wskoczył do łazika. Przez chwilę zastanawiał się, co ma zrobić. Wracać do Szczecina czy może poczekać na Kublickiego? Uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg. Zatrzymał się obok budynku z fikuśnym napisem „Bar”.

Bar wyglądał, jakby przeniesiono go wprost z jakiegoś małego miasteczka na południu Stanów Zjednoczonych. Długa lada. Wysokie stołki. Otwarta kuchnia. Przy oknie umieszczono łoże ze stołami i kanapami w kolorze ciemnej czerwieni. W powietrzu unosił się zapach bekonu. Usiadł na kanapie za stołem. Podeszła do niego kelnerka. Do kraciastej koszuli miała przypiętą plaketkę ze swoim imieniem i nazwiskiem.

– Co podać? – Dziewczyna miała może ze dwadzieścia pięć lat, żuła gumę. – Czarna kawa? Jajecznicą?

– Tak. – Ugne nie wierzył. – Jajecznicą i czarna kawa – potwierdził.

Spojrzał na półkę z alkoholami nad barem. Johnnie walker, jack daniels, jim beam. Bourbony i whisky, o których słyszał opowieści od marynarzy w „Bosmańskiej”. Po kilku minutach dziewczyna przyniosła mu kawę w kubku. Jej zapach roznosił się już od kilkudziesięciu sekund. Po chwili na stole pojawił się też talerz z jajecznicą. Cienkie paski mięsa zmieszały się z jajkami. Ugne po raz pierwszy widział tak przyrządzone śniadanie. Po wszystkim wyciągnął paczkę giewontów i zapalił. Nie pamiętał, kiedy pił tak dobrą kawę i jadł tak wyjątkowy posiłek. Znowu spojrzał na równo poustawiane butelki wypełnione egzotycznymi alkoholami. Dał sygnał kelnerce, aby podeszła.

– A co trzeba zrobić, żeby spróbować któregoś z tych trunków? – Wskazał na butelki.

– Wystarczy powiedzieć, z której butelki mam panu nalać, a ja się z przyjemnością zastosuję. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

Ugne rozejrzał się, by się upewnić, że to wszystko, co go otacza, jest rzeczywiste.

– To może z tej białej butelki...

– Bourbon? Proszę bardzo. Z lodem?

– Nie. Czysty.

Dziewczyna zniknęła za barem. Ugne wstał od stołu i przeszedł się po pomieszczeniu. To niemożliwe, że stworzyli im aż tak realistyczne warunki. Rozumiem broń, pomyślał. Pewnie ściągnęli ją z Korei i Wietnamu. Ale alkohol? Musieliby go przemycić. Podeszedł do baru. Na ladzie leżały kolorowe czasopisma. Podniósł jedno. „Time”. Na okładce karykatura prezydenta Stanów Zjednoczonych Lyndona Johnsona. W prawym górnym rogu etykieta: *Man of the year*. Spojrzał na datę. *Friday, Jan. 05, 1968*. Uzmysłował sobie, że jest to wydanie sprzed tygodnia. Na stosie leżały jeszcze niemiecki „Der Spiegel”, duński „Politiken” i holenderski „De Telegraaf”. Wszystkie aktualne.

– Proszę. – Barmanka postawiła szklankę wypełnioną w jednej trzeciej słomkowym trunkiem.

Ugne usiadł i przez chwilę wpatrywał się w szklankę. Wiedział, że jak spróbuje, to się nie zatrzyma. Jest na obcej ziemi. Nikogo nie zna. Poświadczyła za niego Aśka Krauze. Pewnie musiała nieźle się nagimnastykować, żeby to załatwić. Czekają na niego w Szczecinie. Spojrzał przez okno. Łało. Ciemne chmury pełzały nad koszarami. Wiatr siłował się z młodymi świerkami. Chuj z tym, pomyślał. Sięgnął po szklankę i wypił do połowy. Poczul pałace ciepło, które rozpływało się po gardle, a po chwili po żołądku. Jeszcze chwilka i mięśnie się rozluźniły. Tego mu było trzeba. Sięgnął jeszcze raz po szklankę. Powąchał. Alkohol zapachem przypominał ulubiony bimber, ale był jakby bardziej szlachetny. Napił się jeszcze raz. I jeszcze. Po chwili opróżnił szklankę. Czarne cienie, wypatrujące za nim za każdym razem, gdy czuje się słabszy, gdy wątpi, zniknęły. Zrobiło się jaśniej.

Ugne wstał od stołu i podszedł do lady. Sięgnął po „Der Spiegel”. Niemiecki znał doskonale. Nie mogło być inaczej, skoro jedną trzecią młodości spędził w niemieckim Szczecinie. Wziął gazetę i usiadł za

stołem. Uśmiechnął się do barmanki i podniósł pustą szklankę. Dziewczyna podeszła i nalała tyle samo co za pierwszym razem. Przelatywał wzrokiem po kolejnych artykułach, ale myślami błędził gdzie indziej. Odnosił wrażenie, że jego mózg pracuje na przyspieszonych obrotach. Jeżeli za wypadkiem stała jakaś konkurencyjna, niedoceniona grupa w partii, która liczyła na zdyskredytowanie obecnej władzy, to czy nie mogła wykonać jakiegoś bardziej prestiżowego ruchu? Rozumiał, że uderzenie w ludzi pracy, zwykłych Kowalskich, którzy rano wstają i zasuwiają do stoczni, mogło wzburzyć społeczeństwo. Tyle że za tym musiała pójść porządna akcja informacyjna. Nie jakieś tam ploteczki, dwa teksty w gazecie czy kilka ulotek rzuconych w kilku przedsiębiorstwach. To z zasady nie mogło się udać. A może wcale nie o to chodziło. Może ta niezgrabna akcja miała na celu przestraszyć partyjniaków siedzących na stołkach od lat. Komunikat był skierowany tylko do nich, a nie do zwykłych ludzi. Z drugiej strony „natolin” to beton komunistyczny, nie mieliby skrupułów, by w imię wyższych celów wysadzić tramwaj ze stoczniowcami. Gdyby trzeba było strzelać do ludzi jak w Poznaniu, też by to zrobili. Tylko po co im to drugie morderstwo? Chcieli doprecyzować, że zabójcami są ludzie ze służb? No i ta historia z Piaseckim. Czy chodzi o zemstę? Czy może o sposób dokonania morderstwa? Tropu wskazują na jakąś radykalną grupę żydowską. Zemsta? Pewnie mają swoje powody, ale po co tak widowiskowo? A jeżeli już zdecydowali się na tę okrutną pokazówkę, to dlaczego zabijają świadków? Co ci ludzie zobaczyli tam, na Wyszaka? Twarze morderców?

Ugne przechylił szklankę do połowy. Już nie czuł piekącego żaru jak za pierwszym razem. Teraz delectował się cierpkim i wytrawnym smakiem, przypominającym wanilię i płatki kukurydziane. Słodki alkoholowy zapach nie przypominał już taniego bimbru. Spojrzał przez okno. Przejaśniło się. Do koszar z ćwiczeń schodzili pierwsi żołnierze. Ich kombinezony maskujące były nasiąknięte wodą, ledwie człapali. Na twarzach, ukrytych pod czarnym kamuflażem, malowało się skrajne zmęczenie.

Galant dopił do końca i podniósł szklankę. Jest już dobrze. Poczul kojący spokój.

– Macie tu jakąś muzykę?

Barmanka podeszła i nalała mu ponownie pół szklanki bourbona.

– Oczywiście, wczoraj przyjechało kilka nowych płyt.

– Tak? A jakie?

Dziewczyna zniknęła za barem.

– The Doors, Pink Floyd, Jimi Hendrix, Bob Dylan. No, chyba że coś polskiego?

– Nie, polskie mam na co dzień. A z tych, które wymieniłaś, to nie znam żadnego. To może posłuchamy The Doors. Co ty na to? – Ugne był coraz weselszy.

– Dobrze.

Po chwili w pomieszczeniu rozległ się dźwięk przypominający trochę rockową wersję bossa novy. Po kilku szybkich taktach rozległ się matowy męski mocny głos.

You know the day destroys the night

Night divides the day

Tried to run

Tried to hide...

Nieźle, pomyślał Galant. Po raz pierwszy słyszy taką muzykę, a od razu mu się spodobała. Przechylił szklankę.

Break on through to the other side

Break on through to the other side

Break on through to the other side, yeah...

Do baru wszedł niski, krępy mężczyzna. Miał na sobie amerykańską emkę, przypominającą tę Galanta, ciemnoczerwony beret z oznaką jednostki i stopniem wojskowym. Krótko przystrzyżone włosy, świeżo ogolona twarz i pewny krok świadczyły o zdecydowanym charakterze. Mężczyzna stanął przed nim i się przedstawił.

– Chorąży sztabowy Zbigniew Kublicki. Major skierował mnie do pana.

– Siadaj, Zbyszek. – Ugne był wyraźnie rozluźniony.

Kublicki usiadł i ściągnął beret.

– Czego się napijesz?

– Nie piję na służbie.

– Jak to? Skoro tu jesteś i żyjesz, to znaczy, że jakoś wylazłeś o własnych siłach z tego luku

torpedowego. Masz prawo świętować.

Mężczyzna chwilę przyglądał się Galantowi. Dużo wiedział, pomyślał. Skoro major go tu skierował i przekazał, aby powiedzieć mu wszystko, co chce wiedzieć, to może być jakaś ważna figura. A powód do świętowania faktycznie jest.

– Dobrze. – Mężczyzna kiwnął do barmanki. – Nalej mi trochę wędrowniczka, Wandziu.

Ugne sięgnął po paczkę giewontów i położył ją na stole. Po chwili jasny płomień zapalniczki rozjaśnił stolik. Kublicki wyraźnie zainteresował się zippo. Galant wyciągnął papierosa, zapalił.

– Wygrałem ją w pokera od jugosłowiańskiego bosmana w „Kapitańskiej”. Niezawodna. – Uśmiechnął się pod nosem. – To może za twój sukces wypijemy?

Podnieśli szklanki i wypili.

– Chyba nie jest łatwo wypełznąć z takiego luku torpedowego w okręcie podwodnym? – zaczął Ugne.

– Jesteś dwadzieścia metrów pod wodą, w pomieszczeniu wielkości budy dla psa, widzisz, jak zamyka się za tobą właz, zapada ciemność i wlewa się lodowata woda. Wtedy modlisz się tylko, by twój skafander był szczelny. – Kublicki pokazał ładne białe zęby w szczerym uśmiechu. – Przypominasz sobie całą drogę, którą tu dotarłeś, i sprawdzasz w pamięci, czy przypadkiem nie zahaczyłeś o jakąś wystającą śrubę czy kawał blachy, bo to by oznaczało powolną śmierć w tej blaszanej trumnie.

– Potraficie się tu bawić. – Ugne zaciągnął się papierosem. – Ale ja nie o tym chciałem. Major mówił, że znałeś dobrze Grota, byliście kolegami...

– Nie powiem złego słowa o Janku. – Wskazał leżącą na stole paczkę giewontów. – Mogę zapalić?

– Jasne.

Choraży zaciągnął się głęboko papierosem i zaczął kaszleć.

– Mocny. Dawno nie paliłem.

– Nie chcę, byś mówił źle o Grocie. Chcę znać prawdę. – Ugne podniósł szklankę. Obaj opróżnili je do dna. W tle Jim Morrison śpiewał:

Well, show me the way

To the next whiskey bar

Oh, don't ask why

Oh, don't ask why

Show me the way

To the next whiskey bar...

– Jankowi odbiło, gdy zaczął czytać te wszystkie gazetki, które przynosił mu ten klecha.

– Klecha?

– Znaczą ksiądz. Odwiedzał go tu czasami. – Kublicki zapalił kolejnego papierosa. – To było zaraz po śmierci jego matki. Tylko ją miał. Umarła na raka. Była leczona w szpitalu klinicznym PAM-u. Miał żal do lekarzy, że jej nie uratowali.

Ugne podniósł pustą szklankę.

– Ten ksiądz... jak się nazywał?

Barmanka podeszła z dwiema butelkami i postawiła je na stole.

– Międlak. Tak, ksiądz Janek Międlak. – Żołnierz odkaszlnął. – Faszrował go jakimiś opowieściami o nowym wspaniałym świecie bez historii, o jakichś Mędrkach Syjonu, o tym, że w tym PAM-ie to sami Żydzi, że Polakom nie pomagają, tylko swoim... Takie tam.

Ugne uzupełnił szklanki słomkowym i jasnobrazowym napojem. Choraży sięgnął po szklankę i upił duży łyk.

– Mówiłem mu, Janek, zostaw to gówno, ale był już nakręcony. Nie trafiały do niego żadne argumenty. – Wyciągnął kolejnego papierosa. – A kiedy już zaczęła się w gazetach ta cała szopka z syjonistami, to jakby dostał skrzydeł. Jednostka już go nie interesowała.

Ugne podniósł zapalniczkę i próbował ją zapalić, ale jego ruchy były coraz mniej skoordynowane.

– Aaaaa z jakiego kościoła był ten klecha? – Próbował mówić wyraźnie, ale ku swojemu zdumieniu wychodziło mu to coraz gorzej.

Jego towarzysz również zaczął odczuwać wpływ alkoholu.

– A wiesz, że dokładnie nie pamiętam, ale to było coś związanego z muchami albo pszczołami...

Jim Morrison, jakby wsłuchując się w głosy mężczyzn, zaintonował:

Come on baby, light my fire
Come on baby, light my fire
Try to set the night on fire...
* * *

Ugne obudził się z potężnym bólem głowy. Było już jasno. Obok niego leżał jakiś mężczyzna. Na ramieniu miał tatuaż. Przeszło mu przez głowę, że gdzieś już go widział. Tak. Widział coś takiego przed wjazdem na teren koszar, na budynku wartowni. Godło Pierwszego Batalionu Szturmowego. W pokoju panował chłód. Spojrzał w kierunku okna, było otwarte. Krople deszczu bębniły o parapet. Wstał. Był w samych majtkach. Spodnie i podkoszulek leżały rozrzucone na podłodze. Ubrał się i podszedł do okna. Wyciągnął paczkę papierosów. Został jeden. Zaczął szukać zapalniczki. W kieszeniach spodni jej nie było. Kurtka, pomyślał. Schylił się pod łóżko. Jest. Z bocznej kieszeni wystawała ledwie napoczęta butelka jima beama. Przeszukał wszystkie. W wewnętrznej kieszeni oprócz zapalniczki znalazł nóż bojowy. Zapalił papierosa. Co, u licha, wczoraj się działo? Gdzie się teraz znajduje? Skąd ta kosa w jego kieszeni? Wyrzwał przez okno. Koszary. No dobra, jest w pokoju tego żołnierza. Podszedł do niego i szturchnął go. Mężczyzna z jękiem podniósł głowę. Spojrzał na Galanta.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Ugne odwrócił się w stronę okna.

– Myślałem, że ty mi powiesz. – Zaciągnął się papierosem. – Gadaliśmy, słuchaliśmy tego nowego zespołu, The Doors, i...

Mężczyzna usiadł na łóżku. Miał na sobie tylko bokserki.

– Pamiętam zakład...

Ugne odwrócił się.

– Założyliśmy się?

– Tak. O mój scyzoryk. – Kublicki schował twarz w dłoniach. – Założyliśmy się, że ta twoja zippo zapali dziesięć razy z rzędu.

– I zapaliła?

– Jak widać. Ty masz nóż i zapalniczkę.

Galant sięgnął po butelkę. Upił porządny łyk i się skrzywił.

– Jak wygląda ten Grot? Ma jakieś znaki szczególne?

– Krótco ścięty, mojego wzrostu i trochę bardziej nabity. – Mężczyzna przełknął ślinę. – Aha, i tatuaż na dłoni.

– Jaki?

Kublicki spojrział na Galanta.

– Taki. – Pokazał na swoje ramię.

Mężczyzna wstał i włożył spodnie.

– Mówiłeś, że ten scyzoryk ma znaczenie dla twojego śledztwa.

– Tak mówiłem?

– Tak. To nie jest zwykły nóż bojowy. To jest nagroda.

– Nagroda?

– Za sto skoków spadochronowych.

Ugne skończył palić i wyrzucił niedopałek przez okno.

– Nieźle. Grot też taki dostał?

Kublicki podszedł do Galanta i wyszeptał:

– Janek był rekordzistą. Zaliczył ponad pięćset skoków spadochronowych.

[33] Okręt podwodny „Kondor” miał niecałe 48 m długości i 480 ton wyporności. Wprowadzony do służby w 1965 roku.
<https://naszahistoria.pl/komandos-i-polska-ludowa-miala-swoje-sily-specjalne/ar/11821012>

Siewca

Redakcja „Wiadomości Zachodnich”, pl. Hołdu Pruskiego, Szczecin, 23 stycznia 1968 roku

Basia weszła do budynku, w którym mieściły się redakcje szczecińskich gazet: „Głosu Szczecińskiego”, „Kurieru Szczecińskiego” i tygodnika „Wiadomości Zachodnie”. Już miała minąć recepcję, gdy spod kontuaru wysunął głowę strażnik.

– A szanowna towarzyszka to dokąd się wybiera? – Mężczyzna był pod sześćdziesiątkę. Stojem przypominał bardziej listonosza niż dozorcę.

– A, dzień dobry. – Basia obdarowała strażnika szerokim uśmiechem. – Szukam redaktora Ireneusza Jelenia z „Wiadomości Zachodnich”.

– To trzecie piętro będzie. Nad „Głosem” i „Kurierem”. Zajmują ostatnie pokoje w zachodnim skrzydle. A pan redaktor pracuje obok gabinetu naczelnego, na końcu korytarza.

Basia wbiegła po schodach, przeskakując co drugi stopień. Ciemnozielone wykładziny na korytarzach wygłuszały odgłos kroków wędrujących od pokoju do pokoju dziennikarzy. Dym papierosowy, który unosił się z pomieszczeń redakcyjnych, był tak gęsty, że klatka schodowa przypominała bardziej wrzosowiska o poranku niż siedzibę największych dzienników w Szczecinie. Do tego ten stukot maszyn do pisania. Basia przez chwilę zastanawiała się, jak ci ludzie mogą się skoncentrować w takim hałasie.

Na ostatnim piętrze było ciszej i jakby spokojniej. Nikt nie biegał po korytarzu. Drzwi od pokoi redakcyjnych były zamknięte. Dotarła do końca korytarza. Spojrzała na tabliczkę informacyjną. *Zastępca Redaktora Naczelnego Ireneusz Jeleń*. Otworzyła drzwi. W niewielkim pomieszczeniu siedział za biurkiem szpakowaty mężczyzna w czarnym golfie i zgniętozielonej amerykańskiej kurtce wojskowej. Był sporo po pięćdziesiątce. Palił fajkę. Resztki siwych włosów zniknęły za nieproporcjonalnie wielkimi uszami. Spod szpiczastego nosa wyrastały bujne wąsy, które niemal w całości zakrywały usta. Na serdecznym palcu prawej ręki błyszczał złoty sygnet. Mężczyzna nawet nie podniósł głowy znad maszyny do pisania, tylko uniósł otwartą dłoń, jakby chciał od razu uciszyć niechcianego gościa. Przez chwilę stukał w klawiaturę, po czym wyprostował się, przechylił głowę do tyłu i zaczął nią kręcić, raz w jednym, raz w drugim kierunku. Gdy już rozprostował wszystkie mięśnie, odłożył fajkę na biurko i spojrzał na Basię. Chwilę jej się przyglądał, po czym wstał i wskazał krzeselko stojące przed biurkiem.

– Czym mogę służyć pięknej towarzyszce? – Kiedy się uśmiechnął, zauważyła, że wszystkie dolne zęby przypominają kolorem biurko, przy którym siedział.

– A, dziękuję. – Wyciągnęła dłoń do mężczyzny. – Porucznik Romanowska z komendy wojewódzkiej.

Mężczyzna się lekko zmieszał.

– Ireneusz Jeleń. – Zaczął nerwowo porządkować rzeczy na biurku. – Ale to już towarzyszka pewnie wie.

Basia usiadła.

– Proszę sobie usiąść. – Basia wskazała mu jego fotel. – Nie potrwa to długo.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na portret, który wisiał tuż za nim na ścianie. To była fotografia Stalina. Przywódca Związku Radzieckiego miał na sobie skromny, zielony mundur. Bez dystynkcji, stopni czy medali. Dobrodusznie spoglądał na nią z góry. Basia wskazała palcem obraz.

– Myślałam, że portrety tego człowieka już zniknęły z miejsc publicznych?

Redaktor odwrócił się na chwilę, spojrzał na obraz i jakby natchniony wizerunkiem generalissimusa odpowiedział z pewnością w głosie:

– Przyjdzie czas, że jego portrety i pomniki znowu wrócą na swoje miejsce.

– Czyli? – dopytała Basia.

– Czyli do urzędów, na skwery, do cerkwi i synagog, które zostaną zamienione na budynki

użyteczności publicznej. – Mężczyzna uśmiechnął się, ponownie pokazując brązowe zęby. – W czym mogę towarzysze pomóc?

Basia odchrząknęła.

– Siódmego i ósmego grudnia napisał pan artykuły w „Wiadomościach Zachodnich”, dotyczące katastrofy tramwajowej, która miała miejsce na ulicy Wyszaka... – Zawiesiła głos i wyczekiwała jego reakcji.

Jeleń przez chwilę mierzył ją wzrokiem, jakby zastanawiając się, na ile może sobie pozwolić w rozmowie z tą milicjantką. Siedziała przed nim ładna, szczupła brunetka z długim warkoczem, w czarnym płaszczu i brązowej spódnicy w pepitkę. Wpatrywała się w niego tymi wielkimi brązowymi oczami.

– Wie towarzyszka, że te teksty zostały wstrzymane przez cenzurę. – Mężczyzna świdrował ją wzrokiem.

Basia zdała sobie sprawę, że musi improwizować. Nie czytała tych artykułów. Powiedziano jej tylko, że zostały wstrzymane, ponieważ sugerowały w sposób czytelny, że za katastrofę odpowiadają ludzie z rady narodowej, na czele z Walaszkiem.

– Dlaczego tak szybko, bez żadnych dowodów, wydał pan wyrok i wskazał winnych?

– Czy towarzyszka wie, że dwa lata wcześniej w tym samym miejscu miał miejsce wypadek innego tramwaju? Na szczęście okazał się nie tak groźny w skutkach, jak ten z ubiegłego roku. Nic z tym nie zrobili.

– To nie oznacza, że rządzący Szczecinem ponoszą za niego winę...

– A kto?! – Jeleń wstał i podszedł do okna. – Niepewna władza sprawuje słabe rządy. – Mówił coraz bardziej podniesionym głosem. – Pseudointeligenci, Żydzi i liberałowie obsiedli te wszystkie stanowiska i psują państwo od środka. Niszczą tym samym zdrową tkankę narodu. To ich niezdecydowanie, słaby duch i brak kręgosłupa ideologicznego doprowadziły do tej katastrofy!

Basia poczuła, że to jest właściwy moment, aby zadać ostateczny cios.

– Ma pan na myśli frakcję „puławian”?

– „Puławian”? Tak może się o tych pizdach mówi w Warszawie. Tutaj to są zwykli zdrajcy, żebrzący u Niemców o jałmużnę, bojący się zaprowadzić porządek w kraju. Zamiast wrywać chwasty, otaczają się takimi samymi jak oni. Słabymi kosmopolitami. Począwszy od pierwszego sekretarza, po redaktora naczelnego... – Jeleń zamilkł. Spojrzał na milicjantkę. Zrozumiał, że się lekko zapędził. Usiadł w fotelu i sięgnął po fajkę.

– Redaktora naczelnego? Mówimy o „Wiadomościach Zachodnich” czy może „Głosie Szczecińskim”? Kogo chciałby pan wymienić? A może zastąpić?

– Towarzyszko, znam swoje miejsce w szeregu. Bez pośpiechu. Gdy nadejdzie nasz czas... przepraszam, mój czas, to będę rozważał takie propozycje. Póki co, takich pomysłów nie ma.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć...

Mężczyzna przerwał jej:

– Towarzyszko porucznik, przykro mi, ale miałem już wychodzić. – Podniósł się i wyciągnął do niej dłoń. – Może następnym razem sobie porozmawiamy.

Basia wstała i skierowała się do drzwi. Odwróciła się jeszcze.

– Panie redaktorze, na koniec proszę przyjąć moje słowa uznania, rzadko spotyka się tak odważnych ludzi.

Jeleń odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

– Wystąpił pan przeciw ludziom partii, milicji, SB...

– O nie, droga towarzyszko, przeciw towarzyszowi Moczarowi nigdy bym nie wystąpił, tylko on ma siłę i autorytet, by zrobić w tym kraju porządek. Silny przywódca i silna wiara w katolickiego Boga, tylko takie połączenie może zagwarantować rozwój tego kraju. A teraz żegnam.

Ultimatum

Okolice pl. Lenina, Szczecin, 3 lutego 1968 roku

Balkon w „Pleciudze” był świetnym punktem widokowym. Szczególnie dzisiaj, gdy przez plac Lenina przetaczała się ciemna fala ludzkich głów. Małe tekturowe transparenty, jak lodowe góry pośród oceanu czarnych parasoli, wynurzały się nad ciemną taflę. Było ich kilka tysięcy. Ci z Buczka przelewali się przez plac Lenina, zmierzając w stronę Piastów. Właśnie mijali „Pleciugę”.

– „Oczyścić partię z syjonistów!” – przeczytał na głos Ugne. – O! Są i chłopaki z huty. – Wskazał palcem na jeden z transparentów, który niósł tęgi mężczyzna w przymalym kapelusiku. Ścisnął mocno drzewce z transparentem: „Hutnicy stoją wiernie wokół swojej partii”.

Stali na balkonie pod parasolami. Krople deszczu bębniły o gresowe płytki. Wpatrywali się beznamiętnie w milczący pochód. Krauze machnęła ręką i weszła do środka. Ugne palił papierosa i czytał na głos kolejne hasła zamieszczone na kawałkach płyty pilśniowej albo kartonu.

– „Niech żyje Władysław Gomułka”. – Ugne splunął i przeszedł na drugą stronę balkonu. – To jest niezłe: „Syjonistom droga wolna do Izraela!”.

– Dobra, mnie już mdli od tych tekstów. – Basia złożyła parasol i weszła do środka.

Ugne podszedł do Wajdy i Kawalca.

– A jak wy się bawicie? – Uśmiechnął się do mężczyzn i pstryknął niedopałkiem w kierunku tłumu. – Pracujemy?

Mężczyźni kiwnęli głowami. Wajda złożył parasol i wszedł do pomieszczenia. Galant zamknął drzwi prowadzące na balkon. Joanna dotknęła dłonią kaloryfera i szybko ją cofnęła. Grzejniki były gorące. Usiadła na biurku i sięgnęła po notes.

– Galant, otrzymaliśmy pismo z jednostki w Dziwnowie z załączonym rachunkiem opiewającym na kwotę... Zaraz, niech jeszcze raz spojrzę... – Joanna podniosła okulary i zbliżyła kartkę do twarzy. – Tysiąc dwieście czterdzieści złotych polskich.

Wszyscy spojrzeli w kierunku milicjanta. Lwowiak zagwizdał.

– Ty to się bawisz! – Zaśmiał się

– Nie jest napisane za co, poza lakonicznym „usługa gastronomiczna”. – Krauze położyła rachunek na biurku i spojrzała na Galanta.

Ugne wyciągnął paczkę papierosów z tylnej kieszeni spodni i zapalił.

– Ta nadmorska gościnność – zamruczał pod nosem.

– Dobra, zaczynamy. – Krauze podeszła do tablicy i wskazała na odciski palców. – Wajda, czy coś wiemy?

– Tak.

– I co?

– I nic. Żaden z odcisków nie znajduje się w bazie danych.

– A co z tym czerwonym wartburgiem?

– Sprawdziliśmy wszystkie nowe wartburgi, które wjechały do Polski i zostały zarejestrowane w naszym województwie. Z opisu dozorca wynika, że to był model trzysta pięćdziesiąt trzy, produkowany od dwóch lat. Zatem sprawdziliśmy wszystkie. W Szczecińskim i Koszalińskim łącznie zarejestrowano trzy takie samochody. Dwa w Koszalinie. Jeden należy do konsula NRD, a drugi do jakiegoś wiceministra.

– A ten w Szczecinie?

– Do księdza. Pojechaliśmy nawet z Kubą do niego. Jeździ nim do biskupa i na ryneček na Kilińskiego. Dostał go w darowiźnie od jakiegoś stowarzyszenia katolickiego. To wszystko. Nic podejrzanego.

Ugne, który dotychczas siedział w milczeniu z wyciągniętymi nogami, paląc papierosa, poderwał się.

– Od jakiego stowarzyszenia katolickiego?
– Nie wiem – odparł bezradnie Kawalec.
– Tym stowarzyszeniem nie był przypadkiem PAX?! – Ugne podbiegł do Kawalca i złapał go za koszulę.

– Może i PAX, a jakie to ma znaczenie? – Kawalec spojrzał na lwowiaka, który ukrył twarz w dłoniach.

– Oż kurwa mać! – Ugne podszedł do tablicy i wskazał na mapę. – Czyli już wiedzą, że jesteśmy blisko. – Mówiłeś, że jeździł na rynecek na Kilińskiego? – zwrócił się do Kawalca.

– Tak powiedział – wykrztusił niepewnie plutonowy.

– Gdzie jest ten jego kościół?!

– W Osowej.

Galant złapał się za głowę. Przypomniawszy sobie słowa specjalsa z Dziwnowa.

– No tak! Ale ze mnie idiota! – Ugne miotał się po pomieszczeniu. – Pierdolona dzielnica much i pszczołek!

Nagle na dole rozległ się głuchy stukot. Jakby uderzenia młotkiem w drzwi. Wszyscy spojrzeli po sobie. Galant sprawdził, czy tetetka jest na swoim miejscu, za paskiem z tyłu spodni. Podszedł do drzwi i spojrzał w dół. Tuż za nim stanęła Basia z podniesioną bronią. Galant wyjął tetetkę i odbezpieczył. Powoli schodził po schodach z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Zatrzymał się przed drzwiami. Basia go asekurowała. Stanęła po prawej stronie drzwi wejściowych i jedną ręką nacisnęła klamkę. Drzwi się powoli otworzyły. Nikogo nie było. Rozejrzał się. Z drzwi wystawał nóż z przyczepioną kartką. Galant wyciągnął z kieszeni chustkę i chwycił rękojeść noża. Wyrwał go z drewna. Kartkę podał Basi. Przez chwilę spoglądał w stronę drzew po drugiej stronie Wojska Polskiego. Nie zauważył jednak nic szczególnego. Odwrócił się. Na schodach czekali już inni. Chwilę oglądał nóż. Taki sam wygrał od Kublickiego.

Wrócili do głównej sali. Basia zapaliła lampę stojącą na biurku. Wokół niej zgromadzili się pozostali. Sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej gumową rękawiczkę. Naciągnęła ją na prawą dłoń. Podniosła kartkę do lampy. Zaczęła ją obracać i oglądać z każdej strony. Żadnych plam, śladów tuszu, zabrudzeń. Pochyliła się nad tekstem. Pismo było lekko pochyle, litery duże, kanciaste. Pamiętała z zajęć grafologii, że tak napisany dokument wskazuje na mężczyznę o analitycznym umyśle. Zdania wznosiły się, a pomiędzy słowami występowały duże odstępy. Mogło to oznaczać, że napisała je osoba ceniąca samotność, nie lubiąca przebywać w tłumie, ale również nadpobudliwa i z ograniczonym poczuciem rzeczywistości. Basia podniosła kartkę i zaczęła czytać.

Do psów gończych

Myślicie, że wywęszyliście nasz zapach? To tylko woń przeszłości. Jesteśmy zbyt blisko wielkiego celu, byśmy mogli pozwolić wam pałętać się nam pod nogami. Proponujemy, żebyście wrócili do swoich bud, szczekali na prawdziwych wrogów Wielkiego Narodu i pozwolili nam dokończyć Dzieła. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni was skarcić. Pierwszym psem, który dostanie po łapach, będzie ten, który piąty grzech ma za nic. Jeżeli nie opanujecie swojej chuci, skarcimy tę Żydówkę, która w trzecim grzechu się zatracą. Później będą następni.

Bractwo Sprawiedliwych

Zapanowała cisza. Wszyscy spojrzeli po sobie. Ugne podszedł do okna i usiadł na parapecie. Krauze opadła na krzesło. Tylko lwowiak stał za plecami Basi i po raz kolejny przelatywał wzrokiem po tekście na kartce.

– Forant[34] wołę zapytać – przerwał nieznośną ciszę Wajda. – Czy piątym grzechem nie jest przypadkiem obżarstwo? – Wajda w sytuacjach wyjątkowego napięcia zaczynał wtrącać słowa z lwowskiej gwary i mówić z wyraźnym ukraińskim akcentem. Brzmiało to nawet zabawnie. Ugne nie wytrzymał i zaczął się głośno śmiać.

– My tu sobie bałakamy[35], ale przecie ten mój wielki bandzioch – Kazik poklepał się nerwowo po brzuchu – nie musi znaczyć, że ja jakiś obżartuch jestem.

Rzucany kolejnymi spazmami rehotu Galant podszedł do Wajdy. Położył mu swoją wielką dłoń na ramieniu i starał się zapanować nad sobą.

– Wajda, nic twojemu wielkiemu bandziochowi się nie stanie. Daję ci słowo. – Przebiegł wzrokiem po twarzach milicjantów, by zatrzymać się na twarzy Joanny. – Nie jestem specjalnie wierzący, ale czy trzeci

grzech to nie jest przypadkiem nieczystość?

Joanna podniosła głowę i spojrzała na Galanta.

– Jeżeli ci się wydaje, że jesteś zabawny, to rozejrzyj się, nikt się nie śmieje. – Krauze wstała i podeszła do biurka. Otworzyła szufladę i wyciągnęła kluczyk na łańcuszku. – Na korytarzu stoi szafa, przynieście z lwowiakiem wszystko, co według was może się nam przydać. – Rzuciła kluczyk Kawalcowi.

– Galant, nietrudno się domyślić, że w tym pomieszczeniu przebywa tylko jedna rozwiązła Żydówka. – Uśmiechnęła się i podeszła do tablicy ze zdjęciami. – Skąd oni tyle o nas wiedzą?

– Obserwują nas? – Basia obróciła się w stronę tablicy. – A może podsłuchują?

Galant ponownie usiadł na parapecie i zapalił papierosa. W pewnym momencie, przy huku spadających przedmiotów, do sali weszli lwowiak z Młodym. Wszyscy spojrzeli w ich kierunku. Wajda miał na sobie hełm szturmowy Milicji Obywatelskiej, a z ramion zwisały mu dwa karabinki AK i jeden karabin wyborowy Dragunowa. Za pasem miał kilka dodatkowych magazynków. W lewej dłoni trzymał wiązkę granatów przeciwpiechotnych, a w prawej sporą torbę sportową. Była otwarta. Pośród kabli i jakichś kostek można było rozpoznać kilka zestawów krótkofalówek. Kawalec też coś przytargał. Dwie torby z nadrukowanym wielkim czerwonym krzyżem. Nietrudno było się domyślić, że były to zestawy pierwszej pomocy.

– O kurwa, lwowiak. – Galant aż podniósł się z parapetu. – Na wojnę się wybieracie?

Wajda zamierzał skomentować słowa Galanta, ale kątem oka zauważył, że Krauze położyła palec na ustach, dając tym samym wszystkim znać, by zamilkli. Podeszła do szafki, na której stało stare radio, i przekreśliła włącznik. Rozległa się muzyka. Jacek Zieliński ze Skaldów oznajmiał światu, że wszystko mu mówi, że go ktoś pokochał. Krauze podeszła do biurka i zaczęła sprawdzać, czy pod blatem nie znajduje się żadne podejrzanе urządzenie. Ugne zeskoczył z parapetu okna, przysunął krzeselko i wyciągnął swoje długie ręce, by sprawdzić, czy nie ma czegoś za kloszem żyrandola. Po chwili już wszyscy, bez słowa wyjaśnienia, zaglądali w różne zakamarki salonu w poszukiwaniu czegokolwiek, co wydaje się podejrzanе. Pierwszy znalazł Galant. Zza obrazka przedstawiającego pieska albo wielbłąda stojącego na niebieskim mostku wyciągnął małą baterijkę z kabelkami. Podniósł ją, tak by wszyscy widzieli, i powiedział głośno:

– Pani porucznik, proponuję nie tracić czasu na teorie spiskowe. – Wszyscy skierowali wzrok na urządzenie, które trzymał. – Trzeba ruszyć dupy i sprawdzić te gwoździe.

Galant umieścił urządzenie z powrotem za obrazkiem. W tym samym czasie Romanowska wyciągnęła z wewnętrznej części lampy biurkowej podobne urządzenie i również je wszystkim pokazała.

– Galant, proponuję podzielić się na grupy. – Basia schowała z powrotem urządzenie w lampie. – Ty z Wajdą i Młodym pojedźcie sprawdzić te sklepy, w których można kupić gwoździe, a my z Krauze podskoczmy do prokuratury. Słyszałam, że będą świętować wielki poniedziałek. Prokurator ma ogłosić wyniki śledztwa w sprawie katastrofy tramwajowej.

Krauze gestem pokazała wszystkim, żeby wynieśli się z pomieszczenia. Wybiegli na zewnątrz. Było już ciemno. Silny podmuch wiatru niemal wyrwał z rąk Krauze cienki płaszcz, który próbowała włożyć w biegu. Ryk silnika stara wjeżdżającego na rondo zagłuszył przekleństwo Joanny.

– Lwowiak, pakuj sprzęt do łazika, nie wiadomo, kiedy się przyda. – Rzuciła kluczyki do warszawy Basi. – Nic nie zmieniamy. Spotykamy się nadal w „Pleciudze”. Rozmawiamy normalnie. Unikamy podawania szczegółów śledztwa. O sprawach gadamy na balkonie. Wy z rana lecicie do Osowej, sprawdźcie tego księdza, akurat niedziela, więc go złapicie. My w poniedziałek jedziemy do prokuratury zobaczyć ten cyrk. Nie wiem, kto nas słucha, ale od tej pory nie możemy nikomu ufać. Jesteśmy w tym gównie sami.

[34] forant (gw. lwowska) – na wszelki wypadek

[35] bałaki (gw. lwowska) – rozmowa, gadka

William z Norwich

Osowa, kościół pw. Świętego Williama z Norwich, Szczecin, 4 lutego 1968 roku

– Lwowiak, chłopie, tym to się jedzie. – Ugne spojrział w kierunku siedzącego obok pasażera i pogłaskał z czułością kierownicę wyremontowanego i odnowionego stoewera R 200. – Nawet nie wiesz, jak mi tego wozu brakowało.

Sięgnął do skrzynki znajdującej się pod fotelem kierowcy i wyciągnął butelkę bosmana. Podał ją Wajdzie, ale ten tylko spojrział na niego z oburzeniem. Uśmiechnął się i cofnął rękę. Zębami otworzył piwo, a kapsel wypluł przez okno. Jechali asfaltową drogą pod górę. Po obu stronach ulicy rosły wysokie sosny i świerki, którymi targały porywy lodowatego wiatru. Było około południa. Nad Szczecinem zawisły ciężkie atramentowe chmury. Szarówka zwiastowała kolejny dzień z deszczem i śniegiem w rolach głównych. Samochodem co jakiś czas zarzucało, gdy trafiał na nierozjechaną breję. Po chwili pojawiły się elewacje pierwszych wiejskich domów Osowej. Skręcili w Miodową. Gdy podjeżdżali do placu, na którym stał neogotycki kościół, krople deszczu zabębniły o drewnianą wieżę i dwuspadowy dach. Zaparkowali na tyłach budynku. Tuż obok czerwonego wartburga.

– No i znalazła się nasza zguba. – Galant się zaśmiał. – Kazik, upamiętnij tę wielką chwilę.

Lwowiak odwrócił się i z chlebaka leżącego z tyłu wyciągnął zenita. Wyskoczył z auta i podszedł do wartburga. Zrobił kilka zdjęć z przodu, tablicy rejestracyjnej, w środku i od strony bagażnika.

– Dobra, czas się pomodlić. – Ugne poklepał lwowiaka po plecach.

Wajda włożył aparat do torby, którą przerzucił przez ramię. Przeskoczyli przez kamienny murek okalający teren wokół kościoła i weszli do środka. Trwała msza. W środku panował półmrok. W drewnianych ławkach siedzieli wierni. Śpiewali. Galant spojrział na zegarek. Dwadzieścia po dwunastej. Weszli głębiej. Po lewej stronie były wąskie schody prowadzące na chór. Ugne skinął na lwowiaka, by szedł za nim. Na chórze były organy, ale znalazło się trochę miejsca, z którego można było obserwować ceremonię. Za organami siedział mężczyzna. W ciemności trudno było dostrzec jego twarz. Tuż za nim były niewielkie drzwiczki prowadzące na wieżę kościelną i zapewne dzwonnice. Ugne wychylił się nad barierkę, by mieć lepszy widok na ołtarz. Ksiądz właśnie skończył czytać Pismo Święte i rozpoczął kazanie. Zastanawiało Galanta, dlaczego w tym kościele jest tak ascetycznie. Poza wielkim greckim krzyżem wiszącym nad ołtarzem właściwie nie było innych symboli religijnych. Żadnych świętych ikon, scenek z drogi krzyżowej, kwiatków przy figurce Maryi. Nic. Przyjrzał się krzyżowi raz jeszcze. Tysiące takich wisiało w setkach polskich kościołów i stało w przydrożnych kapliczkach. Tylko ten Jezus, coś było z nim nie tak. Przeszedł go dreszcz. Dotarło do niego, że na krzyżu wisi figurka chłopca. Musiał podejść bliżej. Pchnął Wajdę i zbiegł po schodach. Podszedł do bocznej ściany kościoła i powoli zaczął się przesuwac w stronę ołtarza. W tym czasie kapłan zszedł z podestu i stanął pośrodku, pomiędzy dwoma rzędami ławek. Organy zamilkły.

– Moi drodzy, przypomniałem wam dzisiaj słowa Ewangelii Świętego Jana, którymi Pan Jezus zwrócił się do swoich uczniów: *Będziecie Mnie szukać, ale – jak to Żydom powiedziałem, tak i teraz wam mówię – dokąd Ja idę, wy pójść nie możecie*[36]. – Kapłan zamilkł i przebiegł wzrokiem po zebranych. – Żydzi nie mogą iść drogą Jezusa! – Podniósł rękę, w której trzymał Biblię. – Tak mówi Jezus! Czy to są jedyne słowa wskazujące nam Jego stosunek do swoich przyszłych prześladowców, z których ręki zawisnie na krzyżu? Nie! – Ksiądz otworzył Biblię i odczytał: – *Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, choć drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami...*[37] – Kapłan z hukiem zamknął księgę. – Z obawy przed Żydami! – powtórzył głośno. – Jezus i jego uczniowie bali się Żydów, tak jak my dzisiaj ich się boimy. Boją się ich prezydenci, premierzy i pierwsi sekretarze. Wszyscy się ich boją, poza wiernymi tego Kościoła! Wiedźcie, bracia, że tylko czysty naród bez historii może zbudować zdrowe społeczeństwo!

Duchowny był ubrany jak typowy ksiądz. Długi, prosty, czarny ornat z krzyżem na piersi. Bez dodatków, bez haftów. Jedyną różnicą była koloratka, a właściwie nie tyle sama koloratka, ile jej barwa. Nie biała, lecz czerwona. Włosy krótko przycięte. Twarz gładko ogolona, ale w blasku świec można było dojrzeć, że cała jest przeorana śladami po ospie. Wpatrywał się w wiernych małymi, rozbieganymi oczkami.

Ugne zbliżył się na odległość kilku metrów do ołtarza. Podniósł głowę, by przyjrzeć się bliżej przymocowanej figurce chłopca. Był dużo niższy od Jezusa. Rany miał dokładnie w tych samych miejscach co pierwowzór. Ugne odwrócił się, by dać znak lwowiakowi, żeby ten zszedł do niego. Mimowolnie spojrzął na ludzi siedzących w ławkach. To byli sami mężczyźni. Mieli na sobie czarne koszule i czerwone wstążki pod kołnierzykami. Przyszło mu do głowy, że wyglądają jak oddział bojowników uczestniczący w ostatniej mszy przed bitwą. Mieli krótko ścięte włosy albo byli całkowicie ogoleni. Niektórzy nosili długie skórzane płaszcze, inni krótkie kurtki pilotki. Ugne ponownie dał znak lwowiakowi, by schodził, ale ten poruszał palcami, jakby wchodził po schodach. Kurwa, jak nas złapią, to przybiją do krzyża obok tego chłopaka, pomyślał Ugne. Wajda w tym czasie minął organistę, który właśnie zaintonował religijną melodię. Mężczyźni wstali i zaczęli donośnie śpiewać. Ugne złożył dłonie jak do modlitwy i powoli zaczął się cofać, trzymając się blisko ściany. Gdy był na wysokości ostatniego rzędu, odwrócił się i skierował w stronę schodów prowadzących na górę. Dopiero teraz zauważył, że mężczyźni bacznie mu się przyglądają. Niektórzy stojący w pierwszych rzędach również odwrócili głowy i nie spuszczały z niego wzroku. Przyspieszył kroku. Nie wygląda to dobrze, pomyślał. Wbiegł na schody. Muzyka przestała grać i w kościele zapadła cisza. Usłyszał za sobą stukot ciężkich butów. Przebiegł obok zaskoczonego organisty. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Było w nich coś dziwnego, ale Galant nie miał teraz czasu zastanawiać się nad tym wszystkim. Chwycił stojak, na którym leżała Biblia, kopniakiem otworzył drzwi i wbiegł do niskiego, wąskiego korytarza. Ledwo mieszcząc się w klaustrofobicznym pomieszczeniu, pochylił głowę i zatrzasnął za sobą grube dębowe drzwi, a pod klamkę podstawił stojak. Zapadła ciemność.

– Lwowiak! Gdzie jesteś? – wycedził przez zęby. Trzymając się ścian, zrobił kilka kroków do przodu i skręcił w prawo. Dostrzegł, że na końcu korytarza robiło się jaśniej. Przeszedł kilka metrów i w końcu dotarł do kolejnych drzwi. Z tyłu dochodziło coraz silniejsze dudnienie. Otworzył je z impetem i o mało co nie wyrznął głową w dzwonnice. Pomieszczenie oświetlał jasny słup światła wpadający przez małe okienko w wieży. Dopiero teraz spostrzegł Wajdę. Kazik stał przed drewnianą tarczą, na której wisiały przypięte mapy, zdjęcia i kartki z zapisanymi liczbami.

– Kazik, zaraz tu będą, nie mamy czasu! – Ugne podszedł do stojącego w milczeniu kolegi.

– Patrz. – Lwowiak wskazał na plan. – To jest plan jakiegoś budynku. Widzisz te krzyżyki? – Pokazał palcem czerwone znaczki. – Podejrzuwam, że mogą to być miejsca, w których zostaną podłożone ładunki.

Ugne podszedł bliżej.

– Skąd wiesz? – Wajda nie zdążył odpowiedzieć, gdy nagle dotarł do nich odgłos wybuchu i poczuli silny podmuch z korytarza.

– To już po drzwiach, zaraz tu będą. Kurwa, lwowiak, co robimy? – Do Wajdy dotarła powaga sytuacji i zaczął panicznie rozglądać się wokół.

– Kto jest za tymi drzwiami?

Galant spojrzął na dzwon i małe okienko w wieży.

– Dobra, mam pomysł. Włóż na to okno. – Ugne wskazał Wajdzie okno w wieży i podbiegł w kierunku dzwonnicy.

– Co? Chiba ty zwariował! Chcesz stąd hyckać?[38]

Nagle usłyszeli walenie w drzwi.

– Mamy może pół minuty! – krzyknął Ugne.

Omiotł spojrzeniem całe pomieszczenie, szukając czegoś, co pomogłoby mu dostać się do okna. Na szczęście cegły w ścianach były tak zmurszałe i wyszczerbione, że mógł swobodnie się po nich wspinać. Sprawnym ruchem pociągnął za klamkę od okna. Chwilę się z nią szarpał, ale ostatecznie udało mu się otworzyć. Chwycił się framugi i wskoczył na okno. Stąd z łatwością dosięgnął liny od dzwonu. Przyciągnął ją do siebie i obwiązał końcówką w pasie. Zrobił dwa kroki i po chwili już wisiał na framudze okna. Podał rękę Wajdzie i podciągnął kolegę na wieżę.

– Teraz będzie najlepsza część. – Ugne się wychylił.

Wieża była wysoka na jakieś dziesięć metrów. Spojrzął w dół i dostrzegł kostkę brukową.

– Lina jest mocna, ale nie wiem, jak twoje ręce. – Wajda spojrział na niego z przerażeniem. – Wejdiesz mi na plecy i będziesz się mnie mocno trzymał. Schodzimy w dół. Może trochę kołysać, będziemy podskakiwać raz w dół, raz w górę. Lina ma jakieś siedem metrów, więc ostatni etap może być dosyć wyskokowy. – Ugne uśmiechnął się.

– Co ty właściwie chcesz zrobić, Ugne? – Trzask łamanych drzwi uświadomił im, że czas na dyskusję dobiegł końca. Do środka wpadła grupa mężczyzn.

– Trzymaj się!

Wajda chwycił się jego szyi. Ugne skoczył w dół. Lina się naprężyła. Stopami, na ugiętych nogach, wylądował na kamiennej elewacji kościoła. Nad nimi rozległ się donośny dźwięk bijącego dzwonu. *Bam!* Poderwało ich do góry. Ugne popuścił trochę liny. Czuł, jak ręce Wajdy zaciskają się na jego barkach i szyi. Poczul piekący ból. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma. Po chwili wylądowali znowu na kamiennej ścianie kościoła. Jakies pół metra niżej. Ugne znowu popuścił liny. Kolejne *bam!* zwiastowało, że znowu zostaną poderwani do góry. Jeszcze trzy razy w górę i trzy razy w dół i lina się skończy. Ugne rozwiązał pętlę i chwycił koniec sznura. *Bam!* Znowu wyrzuciło ich w górę. Chwila w stanie nieważkości. I w dół. Gdy opadali, Ugne ponownie opuścił się na linie. Lwowiak już nie był w stanie dłużej trzymać się towarzysza. Puścił Galanta. Obaj runęli na bruk. Przez chwilę nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje. *Bam!* Dźwięk dzwonu i krzyki mężczyzn. Ugne wstał. Miał rozerwane spodnie. Z łydki płynęła mu krew. Chwycił silnymi rękoma Wajdę i postawił na równe nogi.

– Kazik, nie ma czasu cierpieć. Spadamy!

Lwowiak kulał. Z kościoła wybiegła grupa wiernych i ruszyła w ich kierunku. Ugne odwrócił się. Do samochodu mieli może dziesięć metrów. Na twarzach mężczyzn rysowała się furia. Ugne przeskoczył murek i pociągnął za sobą Wajdę. Lwowiak poruszał się z trudem, o mały włos nie potknął się o wystający z muru kamień. Zrobił jednak kilka kroków i utrzymał równowagę. Wskoczyli do samochodu. Ugne oczami wyobraźni widział przekręcany w stacyjce kluczyk i tę odbierającą całą nadzieję ciszę. Stoewer go jednak nigdy nie zawodził. Ryk silnika poderwał przysypiające na drzewach kruki. Samochód ruszył, zostawiając za sobą tumany kurzu i zapach spalonej ropy. Ugne spojrzął w lusterko wsteczne. Tylko jeden z wiernych stał na murku i wbijał wzrok w tył samochodu. Te oczy. Było w nich coś dziwnego, niesymetrycznego. Wręcz upiornego.

[36] J 13, 33 Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu Wydawnictwo Pallottinum w Poznaniu, 2022 <https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=352>

[37] J 20,19, tamże

[38] hyckać (gw. lwowska) – skakać

Konferencja

Siedziba Prokuratury Wojewódzkiej, ul. Stośława 6, Szczecin, 5 lutego 1968 roku

– Mam przyjemność przedstawić państwu ministra Jerzego Majewskiego, stojącego na czele specjalnej komisji Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, powołanej do zbadania sprawy wypadku tramwaju linii numer sześć, do którego doszło siódmego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. – Prokurator wskazał mężczyznę siedzącego po jego prawej stronie. – Cieszę się również, że jest z nami zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej, towarzysz Głowacki, oraz naczelnik wydziału trzeciego towarzysz Jarosław Dukła, który prowadził śledztwo w tej sprawie. – Mężczyźni po jego lewej stronie skinęli głowami. – Ja nazywam się Artur Maruda i jestem prokuratorem wojewódzkim, odpowiedzialnym za to postępowanie. – Uśmiechnął się do dziennikarzy siedzących przed nim na szkolnych krzeselkach.

Mężczyźni zajmowali miejsca za długim stołem obłożonym zgniłozielonym sukniem. Nad ich głowami unosił się obłok siwego dymu papierosowego. Tylko Maruda nie palił. W sali panował tłok. Byli tam nie tylko dziennikarze szczecińskich mediów, ale również redakcji krajowych.

– Proponuję taki porządek konferencji. Na początek opowiemy o skutkach katastrofy, następnie przejdziemy do kwestii związanych z naszymi działaniami oraz wskażemy przyczyny wypadku. Na koniec zalecenia i decyzje. Czy odpowiada to towarzyszom? – Spojrzał na twarze osób siedzących za stołem. Wszyscy kiwnęli głowami. Maruda odchrząknął.

– W wyniku katastrofy piętnaście osób straciło życie. Siedem zginęło na miejscu, osiem kolejnych zmarło w szpitalach. Śmierć ponieśli tylko mężczyźni. Blisko stu pięćdziesięciu pasażerów zostało rannych.

– Pewnie za chwilę ogłoszą, że to była awaria i przyznają sobie medale – szepnęła Krauze. Opierały się z Basią o ścianę. Przed nimi siedzieli dziennikarze.

Głos zabrał Majewski z ministerstwa.

– Komisja ustaliła, że przyczyną wypadku było przepalenie się połączeń elektromagnetycznych między silnikami. Dlatego tramwaj nie mógł hamować. Już zdecydowaliśmy o wprowadzeniu wielu zmian w funkcjonowaniu komunikacji miejskiej. Zlikwidowaliśmy linię tramwajową na ulicy Wyszaka. Zastąpiliśmy ją nową na ulicy Parkowej.

– Zwróć uwagę, że połowa z tych, którzy tu stoją z tymi notesikami i długopisami w dłoniach, to esbecy. – Krauze kiwnęła głową w kierunku drzwi, przy których stało dwóch mężczyzn w czarnych marynarkach. – Wystarczy jedno niewygodne pytanie i wyprowadzą delikwenta.

– Zarządziliśmy przegląd układów hamowania elektromagnetycznego we wszystkich tramwajach. Wprowadziliśmy zakaz doczepiania trzeciego wagonu. – Na czole pojawiły mu się kropelki potu. – Ministerstwo Gospodarki Komunalnej przydzieliło Szczecinowi dziesięć przegubowych autobusów marki Jelcz, które będą miały za zadanie wspomagać linie „szóstki” i „ósemki”. Jednocześnie podjęliśmy decyzję o wprowadzeniu do każdego wagonu napędów elektrycznych do zamykania i otwierania drzwi.

– Myślę, że marnujemy czas, uczestnicząc w tym przedstawieniu. – Basia spojrzała na rozbawioną twarz Joanny. Kątem oka zauważyła, że jedno z okien jest otwarte i nie ma w nim krat. – Martwię się, że Galant z Wajdą od wczoraj się nie odzywają.

– Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji w Szczecinie rozpoczęło wypłacanie odszkodowań. – Minister wyciągnął bawełnianą chustkę i otarł pot z czoła. – Zaliczki będą wynosiły dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych. Poza tym każda rodzina otrzyma pieniądze na pokrycie kosztów pogrzebu w wysokości osiemdziesięciu dziewięciu tysięcy złotych. Będą też wypłacane zaliczki dla rannych w wysokości osiemdziesięciu siedmiu tysięcy złotych.

– Kupują ich – wyszeptła Krauze.

– To nie wszystko. Za zagubione i zniszczone rzeczy wypłacimy dodatkowo pięćdziesiąt jeden

tysięcy złotych – kontynuował minister.

– Czyli był wypadek, nikt nie jest winny, ale i tak wam zapłacimy. – Krauze wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła jednego. – Dobra, pieprzyć to. Idziemy.

– Mam pytanie. – Silny męski głos dobiegł z okolicy okna. – Czy niedawny wybuch w laboratorium komendy wojewódzkiej milicji był związany ze śledztwem? – W sali zapanowała cisza, a wszyscy zebrani odwrócili się i przyglądali mężczyźnie. – Pytam, ponieważ informowaliście państwo, że to właśnie tam trafiły próbki ze zniszczonego w katastrofie wagonu. To nie wszystko. Skoro jestem przy głosie, to mam jeszcze kilka pytań – powiedział wysoki i szczupły mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni. Lekki zarost i prostokątne okulary dodawały mu dziennikarskiego uroku. – Czy prawdą jest, że kilku świadków, którzy uczestniczyli w akcji ratowniczej, zostało brutalnie zamordowanych? – Po sali przeszedł szmer.

– Przepraszam, towarzyszu, może byście się przedstawili i powiedzieli nam wszystkim, z jakiej redakcji jesteście? – Dukla zgasił papierosa w kryształowej popielnicy.

– Nazywam się Bożydar Zalewski, jestem redaktorem tygodnika „Tylko Polska”. – Mężczyzna poprawił okulary. – Czy prawdą jest, że dowody wskazują na tajemniczą organizację żydowską?

Dukla skinął na jednego z esbeków stojących przy drzwiach. Romanowska lekko szturchnęła łokciem Krauze.

– Dla niego warto było tu przyjść – szepnęła. – Nie wiem, jak to się zakończy, ale nie spuszczaćmy go z oczu.

Krauze kiwnęła głową.

Zalewski spostrzegł, że jeden z mężczyzn stojących dotychczas przy drzwiach ruszył w jego kierunku.

– I jeszcze jedno. – Podniósł głos i mówił teraz w kierunku dziennikarzy celujących w jego stronę mikrofonami. – To wszystko, co mówią ci ludzie, to kłamstwo.

Mężczyzna otworzył okno i wskoczył na parapet. Silny wiatr i padający deszcz targały jego ciemne kędzierzawe włosy. Odwrócił się jeszcze w kierunku uczestników konferencji, zrobił znak krzyża i krzyknął:

– Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli!

Odwrócił się i wyskoczył. Basia oderwała się od ściany i podbiegła do jednego z okien. Spojrzała w dół. Do ziemi były jakieś dwa metry. Mężczyzna biegł w kierunku bloków mieszkalnych. Do okien doskoczyła reszta dziennikarzy. W osłupieniu wpatrywali się w sylwetkę uciekającego mężczyzny do czasu, aż zniknął za drzewami. W sali zapanowała cisza. Owca

– Konferencja została zakończona – przerwał ciszę poirytowany głos Dukli. – Dziękujemy, że przyszliście i nas wysłuchaliście. Wychodząc, oddajcie wszystkie kasety, na których zostało nagrane to całe przedstawienie, tym dwóm miłym panom stojącym przed drzwiami. – Wskazał ręką dwóch mężczyzn w czarnych marynarkach przy wejściu. – Nie muszę chyba przypominać, że jeśli jakkolwiek nieautoryzowana informacja pojawi się w mediach, autor takiego paszkwilu zostanie oskarżony o zdradę państwa. I chyba nie muszę mówić, co to oznacza. – Rzucił okiem na Romanowską i Krauze. – Towarzysze, przodem proszę. – Przepuścił przed sobą ministra, prokuratora i komendanta i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Kukła

Teatr „Pleciuga”, al. Wojska Polskiego, Szczecin, 8 lutego 1968 roku

Siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Ugne wstał i kuśtykając, podszedł do komody, na której stało radio. Przekręcił włącznik. Chwilę trwało, zanim znalazł Radio Luxembourg. Wreszcie rozległ się dźwięk trąbki. Podkręcił głośność i usiadł na parapecie. Wyciągnął nogi i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po paczkę papierosów. Zapalił i głęboko się zaciągnął. Spojrzał na Wajdę i Kawalca, którzy siedzieli w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w tablicę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni emki i wyciągnął piersiówkę. Przechylił i wypił dwa łyki, po czym podał Wajdzie. Ten spojrział na niego tym samym wzrokiem, którym patrzył na niego za każdym razem, gdy Ugne podawał mu alkohol. Podniósł rękę i wskazał na zegarek.

– Ósma rano, Ugne... – wyszeptał z wyrzutem.

W drzwiach pojawiła się Basia.

– Serwus! – Machnęła ręką i usiadła na krześle. Jej wzrok przykuła czerwona plama na dżinsach Galanta. – Co się stało?

– Wiesz, w tym kraju bycie ateistą to spore ryzyko. – Uśmiechnął się i uniósł piersiówkę w kierunku Wajdy. – Katolicy stają się nerwowi, gdy niedzielna suma nieco im się przedłuża.

– Co ty gadasz, Ugne?! – Podeszła do niego i podwinęła mu nogawkę. Wzdłuż łydki ciągnęła się długa na jakieś dziesięć centymetrów otwarta rana. Z rozcięcia sączyła się krew. – Poczekaj. – Wstała i podeszła do komody. Wyciągnęła z niej apteczkę i wróciła do Galanta.

– Nie mam środków przeciwbólowych, ale widzę, że już nie trzeba. – Spojrzała na piersiówkę, którą Galant właśnie przechylał. – Trzeba zszyc tę ranę. Bądź tak łaskaw i usiądź na krześle.

Jej stanowczy ton podobał się Ugne. Wpatrywał się w nią lekko przymrużonymi oczami.

– Tak jest, pani oficer. – Zasalutował.

Romanowska przetarła ranę gazą, na którą wcześniej wylała trochę spirytusu. Ugne syknął.

– Takie marnotrawstwo dobrego alkoholu.

Z apteczki wyciągnęła igłę i nici. Galant śledził każdy jej ruch. Ukłucie nie zrobiło na nim wrażenia. Dopiero gdy Basia zrobiła pierwszy ścieg i zacisnęła ranę, syknął po raz drugi i cofnął nogę.

– Nie ruszaj się, do cholery! – Zrobiła jeszcze kilka ściegów i zabandażowała mu nogę. – Do wesela się zagoi. – Poklepała go po udzie i uśmiechnęła się zawadiacko.

W tym samym momencie w pomieszczeniu pojawiła się Joanna z termosem w dłoni, wnosząc ze sobą zapach świeżo zaparzonej kawy. Uśmiechnęła się pod nosem, widząc Basię kucającą przy nodze Galanta.

– Nie możecie się powstrzymać? – Romanowska wstała i zmierzyła Krauze wzrokiem. – Jeżeli macie ochotę na czarną kawę, to zapraszam. – Sama sięgnęła po kubek stojący na biurku i nalała gorącego płynu. – Proponuję złapać trochę świeżego powietrza. Zapraszam na balkon.

Na zewnątrz było nieco powyżej zera. Ciemne chmury nie zwiastowały nic dobrego. Balkon był ogromny. Dekoracyjne balustrady ze zdobieniami przypominały o dawnym blasku i chwale tego miejsca. Wajda lubił tu przebywać. Te wille na Wojska Polskiego przypominały mu podobne we Lwowie. Miał stąd też znakomity widok na swoje mieszkanie, które znajdowało się po drugiej stronie placu. Stanął w najbardziej oddalonym od drzwi wejściowych miejscu, w samym rogu balkonu. Ścisnął gorący kubek obiema dłońmi i podniósł go do ust. Dmuchając, przyglądał się budynkowi po drugiej stronie placu. W mieszkaniu paliło się światło. Uśmiechnął się. Jewgienija pewnie dopiero wstała i właśnie zabiera się do przygotowania sobie śniadania. Ciekawe, jak się dzisiaj czuje? Ostatnie dni nie były łatwe. Dawno nie miała tak intensywnych mdłości. Na szczęście w przyszłym tygodniu minie czternasty tydzień, a lekarz mówił, że po tym czasie wymioty i mdłości powinny ustąpić. Głośno siorbiąc, napił się kawy. Kątem oka zauważył, że z Buczka z dość dużą prędkością nadjeżdża ciężarowy jecz. Przejechał przez trzy pasy ronda i wtoczył się na skwer. Dopiero teraz dojrzał oznakowanie – wóz techniczny MZK. Co mu się tak śpieszy? Powędrował

wzrokiem w kierunku jazdy samochodu. Pośrodku skweru na latarni coś wisiało. Przyjrzał się bliżej. Mało nie zakrztusił się kawą. Skupił teraz cały swój wzrok na wiszącej postaci. Nie, to nie był człowiek, lecz kukła. Długi czerwony nos, broda i charakterystyczne nakrycie głowy, spod którego wystawały pejsy. Wajda przełknął ślinę. Kukła Żyda z tabliczką u szyi. Wajda poprawił okulary. Rozpoznał gwiazdę Dawida. Napisu nie mógł jednak odczytać.

– Galant! – krzyknął w stronę milicjanta, który właśnie zapalał papierosa. – Podejdź!

Ugne niechętnie skierował się w stronę kolegi. Piekła go rana i lekko utykał.

– Patrz!

Ugne spojrział we wskazywanym kierunku.

– O kurwa! Czy to jest to, co myślę?

– No. Tylko nie mogę przeczytać, co tam nabazgrali na tej tabliczce.

Ugne przysunął się do samej krawędzi balkonu.

– Judasz tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem – przeczytał głośno, sylabizując.

– Judasz? Nie rozumiem.

Na balkonie pojawiła się Joanna Krauze. Rzuciła okiem na kukłę, która właśnie lądowała na skwerze po odcięciu liny przez jednego z pracowników MZK.

– To taka nasza polska tradycja przedświąteczna. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Przed wojną to był bardzo popularny rytuał antysemicki. Kukłę wleczono przed domami Żydów, którzy wcześniej obchodzili „swoją Wielkanoc”, czyli Paschę, i na święta bielili ściany domów. Włokąc kukłę Judasza, tak ją okładano kijami, żeby ochlapać te ściany błotem. Po wojnie Żydzi zniknęli z powodu Holokaustu, ale zwyczaj pozostał. Wieszano kukły wysoko na drzewach nielubianych sąsiadów. Dzisiaj tymi sąsiadami jesteśmy my. Te ludzkie resztki, które słabo paliły się w piecach albo miały odwagę przyjechać do tego kraju. – Joanna spojrzała jeszcze raz w stronę skweru. – W tym roku jakoś wcześniej zaczynamy zabawę. – Zaciągnęła się papierosem tak mocno, że omal nie spaliła filtra. – Zostawmy to. Mamy ważniejsze sprawy. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Galant zamruczał coś pod nosem.

– Co mówisz? – zapytał Wajda.

– Zabawne. – Ugne wbijał wzrok w środek placu, na którym jeszcze przed chwilą wisiała kukła.

– Co?

– Wiesz, że w tym samym miejscu po wojnie składowali trupy ruskich żołdatów?

– Że co?

– No. Pionierzy nazywali to miejsce „placem sztywnych”.

– Dlaczego?

– Bo w tym miejscu ruscy urządzili dla swoich cmentarz polowy. – Ugne się odwrócił. – A teraz nasi wieszają Żyda...

Przeszli na środek balkonu. Krauze obróciła się, by upewnić się, że są wszyscy.

– Dzwonił Dukla. – Spojrzała w stronę Galanta i Wajdy. – Będzie tu za piętnaście minut. Chce z wami rozmawiać, chłopaki. Mówił, że sprawa dotyczy kościoła w Osowej. Co tam się stało? – Podniosła głowę. – I nie rozwodźcie się za bardzo, bo czuję, że zaraz będzie lało.

Galant zaciągnął się papierosem i sięgnął po piersiówkę. Upił spory łyk.

– Wiedzieliście, że patronem kościoła w Osowej jest niejaki William z Norwich? – Przebiegł po twarzach obecnych, ale nikt nie zareagował. – Nic dziwnego. Ja też nie czytam do poduszki *Żywotów świętych*, ale tym razem zrobiłem wyjątek. Niesamowite historie można tam znaleźć. – Uśmiechnął się pod nosem. – Wracając do naszego świętego. Otóż towarzysz William żył sobie w Anglii jakieś osiemset lat temu. Był synem bogatego chłopca. Tuż przed Wielkanocą zniknął, a po dwóch dniach jego zmasakrowane ciało zostało odnalezione w lesie nieopodal miasta. To była Wielka Sobota. Rodzina o śmierć oskarżyła Żydów. Motyw? Chcieli w ten sposób powtórzyć mękę Chrystusa. Po co mieliby to robić? Nieważne. Lud wiedział lepiej, lud się nie myli. – Ugne spojrział w wielkie oczy Basi. – To dopiero początek. Wkrótce wokół grobu zabitego zaczęły się dziać cuda, jakieś uzdrowienia, standard. Powstaje pierwszy żywot Świętego Williama męczennika. Spisuje go facet o imieniu Thomas, nazwiska nie pamiętam. Gość miał dar pisania. Wykrzesał z siebie aż siedem tomów i zatytułował je *Życie i cuda Świętego Williama z Norwich*. W jednej z ksiąg pojawia się informacja, że raz w roku w jakimś małym miasteczku we Francji, którego nazwy

również nie pamiętam, żydowska starszyzna zbiera się, by wylosować kraj, w którym ma być dokonany coroczny mord rytualny. Według autora Żydzi wierzyli, że nigdy nie powrócą do Ziemi Obiecanej, jeśli co roku nie będą składać ofiary z chrześcijanina, by „pogardzić Chrystusem”. W wylosowanym kraju zbiera się starszyzna i w taki sam sposób dokonuje wyboru miasta, z którego pochodzić ma ofiara. Osiemset lat temu wybór miał paść na Norwich. Według autora William został ukrzyżowany w domu najważniejszego Żyda w okolicy. Tak to sobie poskładali nasi chrześcijańscy pradziadowie. – Skrzywił usta w taki sposób, że właściwie trudno było określić, czy był to uśmiech, czy grymas bólu. – Do Norwich zaczęli przybywać pielgrzymi, a informacje o rzekomym spisku żydowskim rozpełzły się jak zaraza po całej Europie. Po kilku latach pojawiły się pierwsze oskarżenia o mord rytualny. – Ugne splunął na chodnik pod balkonem. – Zaczęło mnie to fascynować, więc pogrzebałem trochę w bibliotece. To wielkie kłamstwo okazało się niesamowicie skuteczne, a nawet zaczęło się rozwijać, rzekłbym: ewoluować literacko. Otóż sam mord rytualny nie wystarczał, szukano więc motywu, który wyjaśniałby w sposób łatwy do zrozumienia przez wioskowego buraka, po co Żydzi mordują biednych chrześcijan. I uwaga – wymyślono. Żydzi mordują dzieci chrześcijańskie dla pozyskania krwi potrzebnej im do celów kultowych i magicznych. – Ugne sięgnął po piersiówkę, przechylił ją, skrzywił się i kontynuował: – Sto lat później, gdzieś w Hesji, w pożarze młyna zginęło pięcioro dzieci. Rodzice byli wtedy w kościele. Kogo oskarżono?

– Żydów? – zapytał mimowolnie Młody.

– A jakże! Złapali dwóch Żydów, którzy nie zdążyli uciec, i poddali ich torturom. Gdy masz obcęgi na jajach, przyznasz się nawet do posuwania kozy. Przerażeni przyznali więc, że zabili dzieci, by zdobyć ich krew, którą następnie zebrali do worków impregnowanych woskiem, żeby później wypełnić nią mace. Młyn spalili, żeby zatrzeć ślady. Wszyscy Żydzi z wioski zostali wymordowani.

– Zaraz – przerwał mu Wajda – worki impregnowane woskiem?

– Tak pisali.

Wajda odstawił kubek na balustradę i wszedł do biura. Zbiegł na dół do laboratorium. Wszyscy spojrzeli na Galanta. Ugne wzruszył ramionami. Wajda wrócił po kilku minutach. W dłoniach trzymał worek. Basia wzięła go do ręki.

– Impregnowany woskiem?

– Tak.

– Skąd go masz? – Spojrzała mu w oczy.

– Młody znalazł na miejscu zbrodni.

– Co to znaczy? – Wszyscy spojrzeli na Galanta, który przechylił teraz piersiówkę w taki sposób, by cała jej zawartość spłynęła mu do gardła. Trzymał ją tak, dopóki ostatnia kropla nie spadła mu na język.

– No, kurwa! Nie mogę! – skomentowała postępek Galanta Krauze.

Ugne wytarł usta i wyszczerzył się do Joanny.

– Pardon, nie wiedziałem, że masz ochotę. – Wcisnął metalowe cacko do tylnej kieszeni spodni.

– W tym kościele w Osowej czułem się tak, jakbym trafił na jakąś czarną mszę do Salem. Uczestnikami byli sami faceci, którzy najpewniej ubierają się u jednego krawca. Ten ksiądz bardziej przypominał spadochroniarza z Batalionu Szturmowego z Dziwnowa niż pokornego baranka Bożego. Poza tym był tam ktoś jeszcze. – Ugne wyciągnął papierosa i zapalił. – Widziałem już gdzieś tego faceta. Ma coś z oczami. Jakby jedno było martwe...

– Faktycznie było coś dziwnego w tym kościele – wtrącił Wajda. – Szczególnie po tym, co znalazłem w wieży kościelnej. – Jego śpiewny akcent nadal pozostawał mocno wyczuwalny. – To wyglądało jak jakieś miejsce odpraw. Niemalże jak u nas. Mapy, plany i zdjęcia przyklejone do tarcz.

– Plany? – zainteresowała się Basia.

– Tak, plany przedstawiające rozkład pomieszczeń w jakimś budynku. Oprócz tego mapa Szczecina z zaznaczonymi czerwonym krzyżykami i kartka z zapisanymi ilościami jakiegoś materiału. Muszę to głośno powiedzieć, to wyglądało jak plan kolejnej dywersji...

– Dywersji? Chcą wysadzić kolejny tramwaj? – Joanna podniosła głos. – Dlaczego tak myślisz?

– Te składniki materiału...

– Pamiętasz, gdzie były te krzyżyki? Jaki obszar był zaznaczony? – Basia najwyraźniej wywnioskowała ze słów Wajdy więcej niż reszta.

– To był fragment Starego Miasta, od Bramy Królewskiej do mostu, z bocznymi ulicami

dochodzącymi do Wielkiej[39]. Było tam coś jeszcze...

– Co takiego?

– Na tablicy wielkimi literami napisany był numer.

– Jaki numer? – zainteresowała się.

– 25031144.

– Wiesz, co oznacza?

– No właśnie tego nie wiem, ale myślę, że jest bardzo ważny, bo został dwukrotnie podkreślony.

Lwowiak chciał dodać coś jeszcze, ale przerwał mu warkot parkującego pod budynkiem samochodu. Wszyscy spojrzeli w dół. To była milicyjna wołga. Z tylnego siedzenia auta wyszedł wysoki, chudy mężczyzna. Był ubrany w długi skórzany płaszcz. Na głowie miał mały kapelusz. Poprawił okulary i zadarł głowę.

– Dukla – wyszeptała Krauze. – Pakujemy się do środka.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić o posadzkę.

– Dobrze, bo i tak zaczęło padać – skwitowała Basia.

Weszli do środka. Ugne pokuśtykał do radia i je wyciszył. Reszta zasiadła na krzeselkach. Dukla nie pukał. Wszedł do środka jak do siebie. Nie przywitał się, tylko od razu skierował za biurko.

– Towarzysko – machnął do Romanowskiej – przynieście mi kawy.

Basia nawet nie spojrzała na niego, tylko dalej wertowała jakieś dokumenty w teczce.

– Towarzysko! – podniósł głos, ale to również nie zrobiło na niej wrażenia.

Krauze podeszła do termosu stojącego na biurku i naląła gorącego napoju do pierwszego lepszego kubka, który miała pod ręką. Dukla zmierzył ją wzrokiem. Sięgnął do skórzanej torby i wyciągnął z niej tekturową teczkę. Położył ją przed sobą i z namaszczeniem otworzył.

– Kapitan Ugne Galant z wydziału dochodzeniowo-śledczego i porucznik Kazimierz Wajda z wydziału techniki kryminalistycznej. – Powiódł wzrokiem po sali, jakby szukał ich w jakimś ogromnym tłumie ludzi. Przed nim siedział tylko Ugne, Lwowiak, Młody i Basia. Ugne, jak zwykle, na parapecie okna. Palił i puszczał kółka z dymu.

– Dotarło do nas zawiadomienie o najściu, jakiego dokonaliście na jedną ze świątyń katolickich. Ze zgłoszenia wynika, że zakłóciliście uroczystość, która tam się odbywała. – Podniósł głowę i zmierzył ich wzrokiem. – Galant, ja też uważam, że kościoły katolickie powinny w tym kraju zostać zrównane z ziemią, ale to nie wasza, kurwa, rola, żeby wpierdalać się w sprawy, o których nie macie pojęcia. Niepotrzebne nam są audycje specjalne w Radiu Wolna Europa, stawiające naszą ludową ojczyznę na równi z państwami, gdzie się księży wbija na bambusowe tyczki! – Ostatnie zdanie wycedził głośniejszym, zaciskając pięść.

W pomieszczeniu rozległy się brawa. To Galant wstał z parapetu okna i zaczął klaskać.

– Brawo, towarzyszu, brawo! Pięknie towarzysz to ujął. – Po Galancie widać było, że w piersiówce musiało znajdować się coś naprawdę mocnego. – Sam bym tego lepiej nie powiedział. Jak towarzysz nas poprosi, to my z Lwowiakiem i Młodym możemy ten kościółek jebut! – Dłońmi wykonał ruch przedstawiający eksplozję.

Dukla przez chwilę przyglądał się Galantowi z wyższością i zauważalną pogardą.

– Towarzyszu Galant, nie złożę raportu, że przebywacie w pracy pod wpływem alkoholu. Pańscy przełożeni zdają sobie doskonale sprawę z tego problemu. – Tu skierował wzrok w stronę Krauze. – Ale poinformuję przełożonych, że towarzyszka Krauze nie panuje nad zespołem. To nie wszystko. – Sięgnął po kubek z wciąż gorącą kawą. – Na jakiej podstawie członkiem zespołu został plutonowy Jakub Kawalec?

– No... – zaczęła Joanna, ale jej przerwał.

– Nie interesują mnie tłumaczenia trzeciorzędnego esbeka. Chcę mieć wyjaśnienia na piśmie. – Otworzył teczkę i przez chwilę przerzucał kartki. – I ostatnia sprawa. Porucznik Wajda. Ogólnie historia służby znakomita, ale znalazłem w dokumentach personalnych towarzysza niewyjaśnioną sprawę.

– Nie rozumiem. – Wajda przełknął ślinę.

– Mam tu przed sobą wezwanie na przesłuchanie, wystawione przez prokuratora wojskowego Ukrainiejskiej Socjalistycznej Republiki Ludowej. – Dukla sięgnął po cukiernicę i dosypał cztery łyżeczki cukru do kawy. Nie spuszczał wzroku z Lwowiaka. – Przez kilka lat to wezwanie wędrowało po naszej ludowej ojczyźnie, aż ostatecznie trafiło do archiwum. Wydobyłem je z czeluści zapomnienia. – Uśmiechnął się, zadowolony z zastosowanej konstrukcji słownej. – Skontaktowałem się przez naszego łącznika

z naszymi sojusznikami w prokuraturze wojskowej w Związku Radzieckim. Otóż chodzi o sprawę zabójstwa radzieckiego żołnierza, doszło do niego niedaleko uniwersytetu, do którego uczęszczał towarzysz Wajda. Sprawa została umorzona ze względu na niewykrycie sprawców. Koledzy z radzieckiej prokuratury gotowi byliby wznowić sprawę, gdyby okazało się, że pojawiły się jakieś nowe okoliczności.

Kazik zbladł. Na plecach poczuł zimny pot. Wstał, żeby odstawić kubek, tak by nikt nie dostrzegł jego drżących rąk.

– Nie wiem nic o zabójstwie jakiegokolwiek ruskiego żołnierza.

– Radzieckiego, towarzyszu, radzieckiego, proszę liczyć się ze słowami. – Dukla zamknął teczkę i wstał. – Chcę, byście mieli jasność. Zadarliście z nieodpowiednim człowiekiem. Może minister spraw wewnętrznych nie miał wystarczającej wiedzy, powierzając wam to zadanie, może został wprowadzony w błąd? – Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił. – Szczecin to moje miasto. Nic się tu nie dzieje bez mojej wiedzy. Zapamiętajcie to sobie.

Na te słowa Basia parsknęła śmiechem. Wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Zapewne każdy w duchu śmiał się z Dukli, ale parsknąć? Na głos? Zrozumiałe by to było w wykonaniu Galanta, ale Basi? Zdyscyplinowanej, poukładanej funkcjonariuszki Milicji Obywatelskiej?

– Przepraszam – wyszeptała i zakryła usta dłonią.

Dukla zmierzył ją wzrokiem.

– Byłbym zapomniał. Wystąpiłem do komendy wojewódzkiej milicji w Gdańsku o przekazanie mi kopii teczki osobowej towarzyszki Romanowskiej. Zobaczmy, kto będzie się śmiał...

[39] obecnie ul. Wyszyńskiego

Jewgienija

Mieszkanie Kazimierza Wajdy, pl. Lenina, Szczecin, 17 lutego 1968 roku

Zawsze, jak tylko się obudziła, jeszcze przed poranną kąpielą i śniadaniem, szła do dużego pokoju, zapalała lampkę stojącą na biurku i w blasku ciepłego światła machała w kierunku balkonu „Pleciugi”. Wiedziała, że tam stoi. Nieraz było tak ciemno, że nic nie było widać, ale i tak robiła to małe przedstawienie dla swojego Miśka. Zastanawiała się, czemu oni wszyscy wystają na tym balkonie w deszczu i zimnie, ale nie drażyła. Machała rękami i wysyłała te swoje całuski na drugą stronę placu. Tak było od kilku tygodni. Kazik nie mówił jej, co właściwie badają, a ona nie dopytywała. Po tej historii z sektą ze Wzgórza Kupały wolała nie znać szczegółów. Coraz częściej jednak Kazik wracał z pracy późnym wieczorem. Miał dla niej coraz mniej czasu. Zdarzało się, że chodziła spać sama. Najczęściej ostatnim obrazem, który widziała, była przygarbiona postać ukochanego, siedzącego nad mikroskopem przy biurku w dużym pokoju. Martwiła się. Wiedziała, że stres może źle wpływać na dziecko, więc odsuwała od siebie złe myśli i zatapiała się w swej nowej pasji – szydełkowaniu. Zrobiła już gwiazdki świąteczne i serwety. Teraz przyszedł czas na poważne wyzwanie. Szydełkowy kapelusz w technice półsłupków. Namówiła ją na to sąsiadka z dołu. Zaoferowała nawet zapłatę. Mówiła, że nakrycia głowy w stylu retro wracają do mody. Jewgienija i tak miała sporo wolnego czasu, więc z chęcią przyjęła propozycję. Poprosiła nawet Kazika, by zdobył jej granatową włóczkę z bawełny merceryzowanej i metalowe szydełko. Z szydełkami nie było problemu. Kazik znalazł jej nawet te długie, trzynastocentymetrowe. Gorzej było z bawełną. Towar właściwie niedostępny na rynku. Na szczęście okazało się, że Galant znał kogoś w „Danie”, największym zakładzie odzieżowym w regionie, a może nawet w Polsce. I udało się. Jewgienija od tego czasu zasiadała na fotelu w dużym pokoju, zapalała lampkę na biurku, włączała radio i szydełkowała. Zazwyczaj pracowała do jedenastej, po czym ubierała się i szła na zakupy. Jak udało jej się zdobyć kurę, to robiła rosół z kluskami. Kazik za taką zupę dałby się porząbiać na kawałki. Jak nie było kury, to lepiła ruskie. A jak był problem z serem, to przygotowywała banosze. Kasza kukurydziana i śmietana zawsze były pod ręką.

Tym razem postanowiła go zaskoczyć. Poprosiła sąsiadkę, by kupiła jej duży kawałek boczku i słoniny. W tym tygodniu przypadała jej kolej stania w ogonkach. Postanowiła przygotować kulisz. Ulubione danie kuchni ukraińskiej Wajdy. Warzywa miała, ziemniaki i kaszę też. Czekala tylko na mięso. Jewgienija wiedziała, że sąsiadka jest rannym ptaszkiem i zapewne wyszła już po ósmej. Zakupy robiła na Turzynie, który był całkiem niedaleko od placu Lenina. Turzyn był największym targowiskiem w Szczecinie. Można tam było dostać nie tylko dobre mięso, ale i rarytasy, o których mieszkańcy centralnej Polski mogli tylko pomarzyć. To tam trafiały przemycane przez marynarzy produkty, które kupili w zachodnich portach.

Jewgienija stwierdziła, że nie będzie marnować czasu, czekając na Gabrysię. Wiedziała, że jak pójdzie na Turzyn, to zjedzą jej ze dwie albo trzy godziny. Usiadła zatem w fotelu i postanowiła popracować trochę nad kapeluszem. W radiu śpiewał Czesław Niemen. Jewgienija lubiła tę piosenkę. Szydełko w jej palcach stuknęło, przekładając włóczkę. Nie przestawała nimi wywijać, nucąc sobie cicho pod nosem.

Od Twoich listów pachniało w sieni

Gdym wracał zdyszany ze szkoły

A po ulicach w lekkiej jesieni

Fruwały za mną jasne anioły...

W pewnym momencie ktoś zapukał do drzwi. Dziwne, pomyślała. Gabrysia zazwyczaj nie puka, tylko wchodzi jak do siebie. Może jednak ciągle prośby o to, żeby pukała, w końcu zadziałały. Odłożyła robótkę na biurko i skierowała się w stronę drzwi. Nie marnowała czasu na spoglądanie przez judasza. I tak by nic nie zobaczyła. Ostatecznie wiedziała, na kogo czeka. Otworzyła drzwi i lekko się cofnęła do środka.

– Dzień dobry, jesteśmy kolegami Wajdy. Przysłał nas po próbki. – W drzwiach stało dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach i małych kapeluszach na głowie. Na klatce było ciemno. Od czasu gdy

spalił się jeden z korków, w całej kamienicy na korytarzach nie działało oświetlenie. Kobieta przez krótką chwilę zastanawiała się, co zrobić.

– Możemy wejść? – zapytał ten niższy.

– Tak, proszę. – Otworzyła szeroko drzwi i wpuściła mężczyznę do środka. – Zaraz ma wrócić moja koleżanka z zakupów – dodała, właściwie nie wiedząc czemu.

– To potrwa tylko chwilę – powiedział wyższy, rozglądając się po mieszkaniu.

Kobieta wskazała im duży pokój.

– Proszę, usiądźcie. Podać herbaty?

– Nie, my tylko weźmiemy próbki i już nas nie ma. A gdzie Wajda trzyma dokumenty? – zapytał niski.

Jewgienija już miała wyjść do kuchni, ale się cofnęła. Chciała przyjrzeć się z bliska mężczyznom. Była doświadczoną urzędniczką. Zanim zaszła w ciążę, pracowała w urzędzie wojewódzkim. Miała doświadczenie w pracy z patentami. Potrafiła rozróżnić tych tępaków, z którymi zazwyczaj są problemy, od tych, którzy wiedzą, czego chcą. Ci wiedzieli, czego chcą, i nie znali Kazika. Jewgienija wiedziała, że milicjanci dali mu głupią ksywkę „lwowiak”. Nikt się do niego nie zwracał per Wajda czy Kazik. Zatem byli to ludzie z innej służby albo...

Ten niższy odwrócił się w jej kierunku. Był niski, ale krępy. Nawet przez płaszcz można było uchwycić, jak napina się materiał w miejscu, gdzie były bicepsy. Typ boksera, pomyślała. Wbity w twarz nos nie pozostawiał wątpliwości. Silnie podkreślony podbródek i kwadratowa szczęka. I ten wzrok. Nie patrzył na nią. A właściwie – patrzył, ale tylko jednym okiem, drugie wpatrywało się w sufit. Było w tym coś diabolicznego.

– Szklane oko. Pamiątka z partyzantki – powiedział niski, który zauważył zainteresowanie Jewgienii.

– Nie chcemy przedłużać. Proszę nam pokazać, gdzie Wajda trzyma dokumenty.

W tym samym czasie ten wyższy wrzucał już do torby próbki leżące obok mikroskopu. Był młodszy od boksera. Miał lekki ciemny zarost i prostokątne okulary. Wygląd intelektualisty, przemknęło jej przez głowę. Podeszła do biurka.

– Lwowiak mówił, o której dzisiaj kończy? – Jewgienija oparła się tyłem o biurko i próbowała wyciągnąć z robótki szydełko.

– Który lwowiak? – zapytał ten wyższy. Po chwili zrozumiał. Podniósł głowę znad otwartej szuflady i uśmiechnął się. Rzucił torbę na ziemię. – Brawo! Widzę, że nasz milicjant wyszkolił całą rodzinę. – Podeszedł do dziewczyny i położył jej rękę na brzuchu. – Tego małego niestety nie będzie miał okazji wyszkolić.

Jewgienija błyskawicznie wyciągnęła szydełko z robótki i zamachnęła się przed siebie. Nie widziała, ale poczuła, że wbiła je w coś miękkiego. Rozległ się skowyt zranionego mężczyzny. Dziewczyna przyjrzała się zgiętemu w pół napastnikowi. Z oczodołu wystawał mu kawałek metalu, który jeszcze przed chwilą tkwił w granatowej włócznie. Jewgienija zerwała się i zaczęła biec w stronę drzwi wejściowych. Nagle poczuła silne uderzenie w tył głowy i w tej samej chwili zapadła ciemność.

Kiedy odzyskała przytomność, poczuła silny ból potylicy. Otworzyła oczy. Przez chwilę zwątpiła w trzeźwość swojego umysłu. Tuż nad nią pochylał się ten sam niski mężczyzna ze szklanym okiem. Przywiązywał jej jedną nogę do kaloryfera. Była naga. Dopiero po chwili dotarło do niej, że wisi na wysokości okna w dużym pokoju. Obie ręce ma przywiązane do drążka od karnisza. Na nogach umieszczono paski, które zamocowano do gałki kaloryfera i rury prowadzącej od kaloryfera do łazienki. Okno było przysłonięte zasłoną welwetową, tą samą, którą otrzymała w prezencie ślubnym od wujostwa z Gryfic. Czuła na swoim ciele aksamitną strukturę materiału. Wiedziała, jak to się skończy. Przeszło jej przez głowę, że jak odsłonią okno, wszyscy ją zobaczą. Wszyscy przechodnie na placu Lenina będą wpatrywać się w jej pulchne ciało. Ależ to będzie wstyd. A co z ich dzieckiem? Co będzie z ich maleństwem? Poczuła, jak po policzkach spływają jej ciepłe łzy.

Stanęli teraz obaj przed nią. Niski, ze szklanym okiem, sięgnął do torby i wyciągnął urządzenie przypominające małą skakankę. Spojrzał na drugiego, który stał z zawiązanym na jednym oku kawałkiem czarnego materiału, a drugim wpatrywał się w dziewczynę. To jest jakaś groteska, pomyślała. Wielki krasnal z piratem mnie zabiją. Tak ma umrzeć?

Wysoki sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej bagnet. Spojrzeli na siebie. Jewgienija zaczęła całą

dygotać. Brunet z bagnetem zrobił dwa szybkie kroki do przodu, gdy w tym samym momencie drzwi wejściowe się otworzyły i stanęła w nich Gabrysia z dwiema siatkami zakupów. Na moment jakby czas się zatrzymał. Wszyscy stanęli jak wryci. Po chwili donośny krzyk Jewgienii rozszedł się po budynku:

– Uciekaj!

Kobieta, krzycząc, rzuciła siatki przed siebie i zaczęła biec po schodach. Mężczyźni przez chwilę nie wiedzieli, co mają zrobić. Dopiero po kilku sekundach ten o posturze boksera złapał torbę i krzyknął do bruneta:

– Chodu!

Wysoki chwycił drugą torbę i pobiegł za partnerem. Przystanął jeszcze w drzwiach, odwrócił się. Jewgienija zobaczyła błysk ostrza w jego ręku. Uśmiechnął się, zamachnął i z całej siły rzucił bagnet w kierunku przerażonej dziewczyny.

Kontratak

Osowa, Szczecin, 18 lutego 1968 roku

Spojrzał na zegarek. Mniejsza wskazówka wskazywała szóstkę, duża dwunastkę. Już czas. Wokół panowała głucha cisza. Jedyna działająca latarnia uliczna, rytmicznie mrugając, oświetlała teren przed budynkiem plebanii. Mżyło. Oddychał ciężko, z ust ulatywały mu kłęby pary. W stoewerze temperatura zbliżała się do tej na zewnątrz, czyli jakieś trzy stopnie powyżej zera. Sięgnął do przełącznika. Dwa jasne snopy światła padły na budynek kościoła i plebanii. W tym samym momencie z dwóch zaparkowanych w pobliżu plebanii łazików wyskoczyły ciemne postacie. Pokonały niski płotek i wbiegły na schodki prowadzące do głównych drzwi. Pierwsza z nich uklękła i chwilę pogmerała przy zamku. Po chwili drzwi były otwarte. Ciemne postacie wślizgnęły się do środka.

Ugne miał dobry punkt obserwacyjny. Zaparkował niedaleko miejsca, w którym zatrzymał się po raz pierwszy z lwowiakiem. Zapalił papierosa. Żar palącego się tytoniu oświetlił na chwilę wnętrze kabiny. Twarz Galanta wyglądała upiornie. Jasny kilkudniowy zarost zamienił się w brodę, przykrywając, co prawda, niektóre blizny, jednak wory pod oczami i wyraźne zmarszczki mimiczne postarzały go o dobrych kilka lat. Wiedział, że ryzykuje wszystko. Jednak po tym, co zrobili kobiecie lwowiaka, nie pozostawało mu nic innego. Przemyślał to. Gambit budapesztański. Musiał zaryzykować. Poświęcić jednego, a może nawet dwa, żeby wygrać całą partię. Ten ruch z pewnością zmieni sytuację na szachownicy.

Mężczyźni rozdzielili się na dwie grupy. Jedni wbiegli po schodach na piętro, drudzy skierowali się do sypialni na parterze. Poruszali się jak koty. Cicho i precyzyjnie. Otworzyli drzwi do pomieszczenia obok kuchni. Wiedzieli, że ksiądz nie ma gosposi, tylko człowieka, którego bardziej można by nazwać asystentem. Mieli świadomość, że może być zdeterminowany i niebezpieczny. Cicho wślizgnęli się do sypialni. Przez chwilę wsłuchiwali się rytmiczny oddech mężczyzny. Spał. Jeden z cieni podszedł do wezglowia łóżka i błyskawicznie przydusił mężczyznę. Drugi położył mu rękę na ustach. Mężczyzna chwilę się szamotał, jak ryba wyrwana z głębi na powierzchnię, po czym nieprzytomny opadł na poduszkę. Cienie chwyciły go i równie cicho, jak weszły, tak cicho wyszły z budynku, niosąc ze sobą półnagie ciało mężczyzny.

Druga grupa wśliznęła się do sypialni na górze. Ksiądz spał. Podeszli do wielkiego łóżka z baldachimem. W pewnym momencie mężczyzna się obudził i usiadł na łóżku w półśnie. Jeden z cieni nie czekał na jego reakcję. Krótkim uderzeniem w potylicę spowodował, że duchowny opadł bezwładnie na łóżko.

Gdy już zapakowali obu mężczyzn do środka, do Galanta podszedł jeden z cieni.

– Zrobione. Jedziemy z nimi na Kaszubską. Macie czterdzieści osiem godzin. Więcej wam nie możemy dać. – Uśmiechnął się do Galanta i zasalutował. – Powodzenia, kapitanie.

– Dzięki. – Ugne odwdzieczył się równie szerokim uśmiechem. – To chyba jesteśmy kwita?

Mężczyzna, odchodząc, odwrócił się i rzucił:

– Nigdy nie będziemy kwita, Galant. Jestem twoim dłużnikiem do końca życia.

Ugne odwrócił się.

– Dobra, towarzysze i towarzyszki. – Przesunął wzrokiem po twarzach Basi, Młodego i Krauze, którzy siedzieli z tyłu auta. – Nie mamy za dużo czasu. Ja z Basią sprawdzamy kościół. Aśka z Młodym robicie kipsisz na plebanii. Musimy coś znaleźć.

Ugne biegł pierwszy. Za nim Romanowska. Drzwi do kościoła były uchylone. Ugne pchnął je delikatnie. Wielkie dębowe wrota otworzyły się ze zgrzytem. W środku panowała ciemność. Tylko wokół ołtarza paliły się świece. Basia rozejrzała się dookoła.

– Czegoś innego oczekiwałam. To nie ty wspominałeś o ukrzyżowanym dziecku? – Basia wskazała na krzyż znajdujący się w centralnej części kościoła.

Ugne podszedł do ołtarza i spojrzał w górę. Tuż nad nim faktycznie wisiał dwuipółmetrowy krzyż.

Nie różnił się niczym od tych w innych kościołach. Jezus Chrystus nadal cierpiał. W nadgarstkach tkwiły gwoździe, a z przebitego boku ciekła krew. Nic wyjątkowego. Spojrzał na figurkę chłopca stojącą obok ołtarza i wskazał ją Basi.

– To tyle pozostało z Salem. – Kąciki jego ust powędrowały w dół, wyrażając bezwarunkowe rozczarowanie. – Zdaje się, że już nic tu nie znajdziemy.

Odwrócił się i sadząc wielkie susy, skierował się w stronę schodów prowadzących na chór. Basia musiała podbiec, by za nim nadażyć. Wspięli się na górę. Minęli organy i weszli do wąskiego przejścia. Ugne zwrócił uwagę, że wcześniej znajdowały się tu drzwi. Teraz nie było nawet śladu obecności futryny. Uśmiechnął się pod nosem. Przeszli przez niski korytarz, by po chwili znaleźć się w pomieszczeniu z dzwonnica. Rozejrzał się. Pusto. Tylko dzwon i lina. Usiadł na schodku i wyciągnął paczkę giewontów. Zapalił. Zapach palonego tytoniu rozszedł się po pomieszczeniu. Basia usiadła obok. Sięgała mu teraz do ramienia.

– Jak noga? – Uniosła nogawkę jego spodni i sprawdziła, czy opatrunek się dobrze trzyma.

– Zapomniałem już o niej. – Ugne wypuścił dym z płuc. – Powiedz, Basiu, jakim trzeba być skurwysynem, żeby skrzywdzić kobietę w czwartym miesiącu ciąży.

Basia spojrzała mu w twarz. Podniosła jego silne ramię i wtuliła się w niego. Galant przyciągnął ją mocniej do siebie. Poczowała jego zapach. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu. Światło z rozdygotanej latarni wpadało przez niewielkie okno w wieży, odkrywając tańczące w powietrzu drobiny kurzu. Po chwili ich wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Pomieszczenie nabrało geometrycznych kształtów. Ugne skończył palić i już miał wyrzucić niedopałek, gdy zobaczył w rogu pomieszczenia pognieciony zwitek papieru. Wstał i podniósł go. Rozłożył i wyprostował końcówki. To była lista z ręcznie wypisanymi nazwiskami pracowników Pomorskiej Akademii Medycznej. Notatka była przerwana w połowie. Przy niektórych nazwiskach były krzyżyki, a przy innych ptaszki.

– Profesor Sima Wołyńska-Bochner, profesor Eugeniusz Łempicki, profesor Jerzy Gelber, profesor Marek Eisner i profesor Juliana Szenkelbach – czytał z przyśpieszonym biciem serca. – Czy to nie są wykładowcy PAM-u?

Basia wstała i podeszła do niego. Sięgnęła po kartkę.

– Wszyscy pochodzenia żydowskiego...

Do pomieszczenia wbiegli Młody z Krauze. Spojrzeli na siebie.

– Macie coś? – zapytał Galant.

– Wyczyszczone. Nic nie ma – odpowiedział Kawalec.

– A wy coś znaleźliście? – zapytała Krauze.

– To. – Basia wręczyła jej kawałek papieru. – To kadra naukowa Pomorskiej Akademii Medycznej.

Krauze szybko przebiegła nazwiska wzrokiem.

– Wszyscy z listy są pochodzenia żydowskiego albo przynajmniej inni tak myślą...

Przez chwilę zapanowała cisza.

– Krzyżyki na mapie umieszczono przy ulicy Wielkiej. Pomorska Akademia Medyczna znajduje się kilkadziesiąt metrów od tej ulicy. Może to właśnie PAM jest kolejnym celem – zasugerował Młody.

– Trzeba to sprawdzić. – Krauze zrobiła kilka kroków w stronę wyjścia, po czym zatrzymała się i odwróciła w kierunku pozostałych. – Galant, po pogrzebie widzimy się u ciebie. Każdy przyjeżdża osobno. Mylicie tropy i oglądacie się przez ramię. Samochody zostawcie przy „Pleciudze”. Poruszajcie się komunikacją miejską. Myślę, że jesteśmy coraz bliżej, a to oznacza, że Jewgienija jest dopiero początkiem... Pierwszą ofiarą polowania. Ktokolwiek kryje się pod szyldem Bractwo Sprawiedliwych, jest zdeteminowany i bezwzględny.

Krauze ciężko oddychała. Patrzyli na nią w milczeniu. Nie musieli nic mówić. Każdy z nich czytał list z pogroźkami. Pierwszy miał być Wajda. Uderzyli w najbliższą mu osobę. Jewgieniję. Kolejna na liście była Krauze...

Pogrzeb

Cmentarz Główny, Szczecin, 20 lutego 1968 roku

Ciężkie krople deszczu spadały na czarne brzuchy parasoli. Minęli bramę główną. Ludzi było na tyle dużo, że część z nich wystawała po obu stronach neogotyckich arkad odchodzących symetrycznie od bramy wejściowej. Ruszyli główną aleją w stronę kaplicy cmentarnej.

Galant, jako jedyny, nie miał parasola. Był ubrany w czarny płaszcz i golf tego samego koloru. Wąskie czarne spodnie przypominały stylem sposób ubierania się francuskich egzystencjalistów. Nie czuł się w tym dobrze. Brakowało mu kurtki wojskowej, białego podkoszulka i butów wojskowych. Musiał jednak jakoś przetrwać. Krauze się uparła, że go ubierze na pogrzeb. No to się zgodził dla świętego spokoju. Umył się i ogolił. Sam miał problem z rozpoznaniem facjaty tego faceta w lustrze. Odmiana była piorunująca. Odmłodził o jakieś dziesięć lat. Nie przypominał starego Galanta. Wysoki, szczupły i postawny facet górował nad tłumem. Blizny na twarzy dodawały mu teraz tylko uroku. Stojące w tłumie milicjantki i urzędniczki nawet nie ukrywały, że zerkają na niego. Zapalił papierosa i odszedł od głównej grupy. Stojąc z boku, zauważył trumnę i niosących ją żałobników z Wajdą na przodzie. Przed nimi szedł ksiądz z krzyżem. Śpiewali. Nie lubił ani pogrzebów, ani tych wszystkich ludzi elegancko wystrojonych, którzy podają ci dłoń i w konfidencjonalny sposób szepczą coś do ucha. Większości nie znał, ale odnosił wrażenie, że oni z jakichś nieznanych mu powodów znają jego.

Cmentarz Centralny jest najpiękniejszy, gdy pada deszcz i nie ma tam nikogo. Ugne był tutaj częstym gościem. Lubił to miejsce. Nikt się nie przypierała, gdy siadał z butelką wódki przy grobie swojego kumpla, Szymona Ferenca. Ale nie szedł tam od razu, wpierw robił sobie małą wycieczkę po parku. Niemcy, a właściwie przedwojenni szczecinianie, pieczołowicie tworzyli takie miejsca. Na ogromnym obszarze urządzili jedyny w swoim rodzaju Ogród Umarłych, w którym drzewa i krzewy, niepowtarzalne nagrobki i architektura tworzyły jedno wielkie dzieło sztuki. Zawsze przemierzał tę samą trasę. Z głównej alei skręcał w lewo, w ścieżkę, która prowadziła do pomnika poświęconego niemieckim żołnierzom 357. Pułku Piechoty. Nie mógł się zgubić, niezależnie od tego, w jakim był stanie. Znakiem rozpoznawczym był siedzący na nim orzeł. Ugne opróżnił tu część flaszki. Delektując się alkoholem, wczytywał się w tablicę umieszczoną na ścianach pomnika. Zapisano na niej lata i nazwy miejscowości, gdzie doszło do bitew, w których brali udział niemieccy żołnierze. W tym czasie, bez specjalnego pośpiechu, wypijał mniej więcej ćwiartkę. Następnie kierował się w stronę kaplicy cmentarnej. Rozkładał się na jednym ze schodków naprzeciwko budynku. Przez chwilę delektował się dziełem najslawniejszego architekta ówczesnego Szczecina, Wilhelma Meyera-Schwartaua. Psioczył w myślach, że neoromańska kaplica, taki skarb, dostatecznie już poraniona angielskimi bombami, stała tak pozostawiona sama sobie. Coś tam połatali, okna zabili dechami, ale tak naprawdę nikt się tym nie zajmował. Powoli umierała razem ze światem, którego była symbolem. Brał większy łyk gorzały, zapalał giewonta, zaciągał się i wypuszczając dym, zmieniał pozycję oraz obiekt swoich pijackich rozważań. Ten niewielki ruch ciała przenosił go do innej rzeczywistości. Ze schodów rozpościerała się panorama na aleje krzyży. Równiutko ustawionych wzdłuż alejek, przy których rósł przycięty na tę samą wysokość żywopłot z cisów. Wszystkie były takie same. Jak podczas przeglądu wojsk. Nad nimi górował monumentalny pomnik. Pamięta, ile było szumu, gdy go odsłaniali kilka miesięcy wcześniej. Limuzyny, faceci o nalanych twarzach, z podwójnymi podbródkami. Jaruzelski, towarzysze radzieccy, nożyczki, wstęgi. Wyjechali i zostawili osiemnastometrowy symbol komunistycznej gigantomanii, pomnik Braterstwa Broni Żołnierzy Polskich i Radzieckich. Dopijał resztę wódki, gasił papierosa na jednym ze schodów i szedł w kierunku kwatery 41f. Tak było zawsze, gdy kończyły się śledztwa.

Teraz przyglądał się tym wszystkim ludziom, którzy przyszli pożegnać Jewgienię Wajdę. Nie spodziewał się ich tak wielu. Pewnie nawet lwowiak nie przypuszczał, że ma tylu dobrze życzących mu ludzi. Ciemny tłum minął kaplicę i skręcił w parkową ścieżkę. Po przejściu kilkudziesięciu metrów

zatrzymał się w niewielkim zagajniku otoczonym świerkami. Grabarze w czarnych garniturach, jak gawrony wypatrujące jaszczurki, obsiedli skraj dołu. Żałobnicy zaczęli się gromadzić wokół niewielkiego terenu, na którym ustawiono trumnę. Nieustannie padający deszcz zamienił niewielki fragment cmentarza w grzęzawisko. Ludzie, ślizgając się, próbowali wszelkimi sposobami nie upaść. Chwyтали się gałęzi i pni drzew, byle tylko nie wylądować w dole. Ksiądz stanął na kawałku rozłożonej wcześniej wykładziny i rozpoczął ceremonię. Lwowiak nie podnosił głowy, stał nad trumną, a jego zazwyczaj czerwona twarz teraz przybrała barwę kredy, nie wyrażała żadnych emocji. Tuż za nim stały dwie kobiety w podobnym wieku i zanosily się płaczem. To były siostry Jewgienii, które przyjechały z Gryfic. Ugne oparł się o młodą sosnę i przyglądał się z bezpiecznej odległości ludziom, którzy zgromadzili się w zagajniku. Poczul dotyk na swoim ramieniu. Odwrócił się. To była Basia. Miała na sobie czarny płaszcz do kolan. Na głowie kapelusz w tym samym kolorze. Na dłoniach czarne rękawiczki. Wcisnęła Galantowi w dłoń parasol. Spojrzał na nią i bez dyskusji podniósł go nad głowę. Po chwili dołączyła do nich Krauze. Też była ubrana w czarny długi płaszcz, przewiązany szerokim pasem z wielką klamrą. Na głowie miała gustowny czarny beret z delikatną woalką, która przysłaniała jej oczy.

– Jakies ciekawostki? – zagadnęła, obejmując ich ramionami.

– Nadal czekamy na dzień sądu ostatecznego. – Ugne uśmiechnął się, ukazując zadbane zęby.

– Przyszli prawie wszyscy z komendy. – Młody wyrósł za plecami Krauze i przyłączył się do rozmowy. – Reszta to urzędnicy. Wątpię, żeby ci z Bractwa się tutaj pojawili.

Krauze poczuła, że przeszedł ją dreszcz.

– O kurwa. Co on tu robi? – powiedziała cicho.

– Kto? – zapytał Ugne.

– On. – Wskazała palcem na chudego mężczyznę w szarym prochowcu i kapeluszu tego samego koloru. Ten poprawił binokle i zaczął dokładnie lustrować uczestników pogrzebu. – Borak.

– Kim, kurwa, jest Borak? – zapytał kpiąco Galant.

Krauze cofnęła się za Młodego.

– Dyrektorem trzeciego departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Krauze westchnęła głęboko. – Moim szefem...

Dom myśliwski

Osiedle Głębokie, Szczecin, 21 lutego 1968 roku

– No, tego się nie spodziewałem po was towarzyszu Galant, taka chawira? – Lwowiak wiedział, że Galant nie czuje się dobrze w roli gospodarza.

– Wajda, przed kilku dniami omal ci żony nie obdarli ze skóry, a jej trumnę dopiero co ziemią zasypaliśmy, więc może trochę więcej wstrzemięźliwości w żarcikach, co? – Ugne skrzywił się i postawił butelkę wódki na drewnianym stole.

Siedzieli w wielkim pokoju, stylizowanym na salon myśliwski. Na ścianach wisały obrazy przedstawiające polowania i głowa jelenia, nad kominkiem poroża i skóry dzikich zwierząt. Podłogę wykonano z dębowych desek. Ściany wyłożono boazerią. Salon był ogromny, połączony z aneksem kuchennym, a właściwe barem z długą ladą, przy której stały wysokie stołki. Najbardziej okazała była jednak jego część wschodnia. Znaczną część ściany zajmowały okna w drewnianych ramach oraz wielki taras, z którego rozpościerał się niesamowity widok na las oraz Jezioro Głębokie.

Lwowiak i Krauze siedzieli na wielkiej skórzanej kanapie. Młody rozpałał w kominku. Basia stała oparta o ścianę i wpatrywała się w ogień. Było ciepło. Ugne jak zwykle miał na sobie ulubiony biały podkoszulek, który podkreślał jego szeroką klatkę piersiową i umięśnione ramiona. Wajda, który rzadko rozstawał się ze swoim szarym prochowcem, tym razem dał za wygraną. Przerzucił go przez kanapę, ale co jakiś czas jednak zerkał, czy jest na swoim miejscu. Siedział jak na szpilkach w tej swojej flanelowej koszuli w kratę, która ledwie zakrywała jego wielki brzuch. Jewgienija nie lubiła, gdy ją wkładał.

Krauze nie byłaby sobą, gdyby nie chciała udowodnić całemu światu, że wie, jak się ubierać. Siedziała z założonymi nogami w niebieskiej rozkloszowanej spódnicy z bawełny oraz w krótkim topie wiązonym pod biustem. Wyglądała, jakby wyszła z sesji zdjęciowej dla „Przyjaciółki”. Basia, gdy tylko Joanna pojawiła się w domu Galanta, przyglądała jej się z zazdrością. Nie pierwszy raz zresztą. Skąd ona brała te ciuchy? Romanowska nie tylko nie miała takich sukienek, spódniczek i koszul, ale nie wiedziała, gdzie mogłaby je kupić. A poza tym nie była na bieżąco z modą końca lat sześćdziesiątych. Nie czytała kobiecej prasy. Pozostała w świecie bigbitu. Czarne, wąskie spodnie nad kostki i tego samego koloru wąski golf załatwiał sprawę. Tak było, dopóki nie poznała Joanny Krauze. Widząc, jak Galant wodził za nią wzrokiem, zaciskała zęby. Postanowiła to zmienić. Coraz częściej wybierała się do pedetu i na stragany z odzieżą przemycaną z Zachodu. Wydała swoją całą pensję na garderobę, którą widziała na zdjęciach w zagranicznych czasopismach, skrywanych pod ladą na stoiskach pokątnych handlarzy. Na wizytę w domu Galanta ubrała się w sukienkę mini z długimi rękawami w kolorze czerni. Zawiązała wstążkę na szyi, rozpuściła włosy i włożyła długie buty na obcasie. Galant, od chwili gdy ją zobaczył w drzwiach swego domu, nie spuszczał z niej wzroku.

Panowała cisza. Ugne w końcu nie wytrzymał.

– Przecież wiecie, że to nie jest mój dom. – Sięgnął po paczkę giewontów, wyciągnął jednego i zapalił. – To znaczy mój, ale tylko na papierze. Nie mieszkam w nim. To jest dom mojej mamy. Przed wojną była konsulem Litwy w Polsce. Po wybuchu wojny wyszło na jaw, że ukrywała Żydów. – Ugne zaciągnął się mocniej i wypuścił dym. – Niemcy skazali ją na śmierć. Po wojnie okazało się, że jesteśmy bohaterami, no i przydzielili nam ten dom. Wcześniej mieszkali w nim jacyś wysocy funkcjonariusze NSDAP. Przez chwilę zakwaterowany był też jakiś ruski generał. Nie chciałem w domu nic zmieniać ani mieszkać, więc wszystko jest tak, jak było dwadzieścia lat temu.

– Ciekawe – zastanawiała się głośno Krauze.

– Co ciekawe? – przerwał jej Galant.

– Wiesz, że ten twój piękny dom znajduje się w najbardziej przez nas obserwowanej dzielnicy Szczecina?

– Co to znaczy?

– To znaczy, że znajdujemy się w pierdolonej zatoce artystów. Jak pewnie pamiętasz – spuściła wzrok – przyglądałam się przez jakiś czas niektórym wpływowym twórcom. Pod koniec lat czterdziestych pojawił się taki pomysł, żeby przekonać znanych pisarzy, poetów i artystów do komunizmu, rozdając im wille z wielkimi ogrodami na Głębokim. Nazywaliśmy ich „pryszczatymi”. Pionierzy cisnęli się w kilka rodzin w niewielkich mieszkankach, a artyści urzędowali w domach z sześcioma pokojami. Nie wiem, jak ich delikatne i wrażliwe na ludzką krzywdę sumienia sobie z tym dylematem moralnym poradziły, ale nie protestowali. A my robiliśmy swoje. Nie wiedzieli, że ich piękne domy są przez nas odrutowane bardziej niż ambasady imperialistów. Mielśmy na widelcu Andrzejewskiego, Woroszyńskiego i Różewicza. – Krauze westchnęła. – Wyobraź sobie, że nawet Borowski zakosztował w wygodach oazy na Głębokim i często tu przyjeżdżał. Lepszego prezentu nie mogli nam zrobić.

Ugne nalał wódki do kieliszków.

– Zatem na pohybel poetom! – Uniósł kieliszek.

– Galant, ale my nie przyszliśmy tu pić z tobą wódki – zachnęła się Krauze – tylko porozmawiać o tym, co dalej.

– Tę chwilę musimy jednak uczcić. – Galant skinął na Wajdę, który krzyknął coś w tym swoim lwowskim narzeczu w stronę schodów prowadzących na piętro. Zapanowała konsternacja. Wszyscy spojrzeli w kierunku schodów, po których schodziła kobieta o obfitych kształtach. Ubrana była w czerwoną spódnicę w białe grochy i białą koszulę z wysokim kołnierzem. Pod szyją miała bordową apaszkę. Rozpoznali ją, dopiero gdy stanęła przed nimi i szeroko się uśmiechnęła.

– Żenia! – krzyknęła Basia i poderwała się, by uściskać koleżankę.

Krauze spojrzała na lwowiaka, a później na Galanta. Nic nie powiedziała, ale nietrudno było odnieść wrażenie, że z trudem powstrzymuje się przed wyrzuceniem z siebie potoku niecenzuralnych słów.

– Chyba należą nam się wyjaśnienia – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Ugne uśmiechnął się szeroko.

– Przyznaję, to był mój pomysł, ale niech to oni się tłumaczą. – Wskazał na parę, która przyłgnęła do siebie w gorącym uścisku.

Jewgienija usiadła obok Wajdy i położyła mu rękę na udzie. Przez chwilę przyglądała mu się z czułością, po czym skierowała wzrok na pozostałych. Czekali. Na ich twarzach malowało się oczekiwanie i zniecierpliwienie.

– Cóż, zabili mnie i uciekłam. – Jeszcze szerzej się uśmiechnęła, a to jedno zdanie, które wypowiedziała, zadziało jak igła, która przebija balon wypełniony emocjami. Potrzebowali tego. Pożegnali ją już na zawsze. Pogodzili się z utratą żony lwowiaka. Niektórzy jej nie znali osobiście, ale poznali ją dobrze z opowieści Wajdy. Teraz wróciła i była jak promień słońca na zachmurzonym niebie. Nie jest tak źle, jak myśleli. Skoro ona żyje, to ta historia może fatalnie się nie skończy.

– Dobrze, opowiedz nam, co się wydarzyło w tym mieszkaniu. – Joanna usiadła obok niej i poklepała ją po udzie.

Kiedy Jewgienija zaczęła mówić, Ugne wstał i skierował się na taras. Był już wieczór. Lekko mżyło. W oddali rozbłysły żółte punkciki. Rozsunął drzwi. Do pomieszczenia wdarł się zapach jeziora i lasu. Wyszedł na zadaszony taras. Oparł się o drewnianą balustradę. Chwilę wpatrywał się w ciemność, po czym wyciągnął paczkę papierosów i zapalił. Po chwili poczuł czyjaś dłoń na swoich plecach. Odwrócił się. To była Basia. Wyglądała zjawiskowo.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – Zabrzmiało jak pretensja, jednak nią nie było. Rozumiała, dlaczego to zrobił. Zapewne postąpiłaby podobnie.

– Nie mogłem. Tak postanowiliśmy z lwowiakiem. Wiedziałem, że to nie potrwa długo. Nie mogliśmy jednak ryzykować. – Ugne zaciągnął się papierosem i długo wypuszczał dym, jakby potrzebował czasu, by się zastanowić nad kolejnymi słowami. – Mielśmy szczęście, że sąsiadka zachowała się przytomnie i zadzwoniła od razu do Wajdy. Przybiegliśmy. Żenia wisiała nieprzytomna. Nóż wbił się w ramę okna. Centymetr od głowy. Zabójcy nie mogli wiedzieć, że przeżyła. Postanowiliśmy ją ukryć i zainscenizować jej śmierć. Łzy i autentyczne cierpienie były potrzebne, by ci, którzy przyjdą na cmentarz, mieli pewność, że dokończyli dzieła. Liczyliśmy, że ktoś się pojawi.

– I co?

– I ktoś się pojawił. Tylko teraz nie wiemy, co z tym zrobić.

– Mówisz o Boraku?

– Tak.

– Jewgienija rozpoznała zabójców?

– Tak. Dokładnie ich opisała. – Ugne nie mógł oderwać wzroku od Basi. – Jeden z nich to wasz kolega, którego poznałyście na konferencji prasowej w prokuraturze. Karol Wagner. Wydaje gazetkę nacjonalistyczno-antysemicką. Esbecy mają na niego całą kartotekę. Współpracuje z nimi od dawna. Jak władza chce przyjechać starozakonnym, wyciągają towarzysza Karola. Teraz im się zerwał ze smyczy. Zniknął. Poszukują go.

– A ten drugi?

– To człowiek widmo. Z opisu Żeni wynika, że to typ boksera z połamanym nosem i szklanym okiem. Na pierwszy rzut oka – cyngiel do wynajęcia. W rejestrze nie mamy żadnego takiego typu, który by łączył w sobie tyle bandyckich cech. Niemożliwe, aby był stąd. Milicja ma rysopis. Jego facjata trafi też do wszystkich naszych tajniaków i osobowych źródeł informacji. Jeżeli jest w Szczecinie, znajdziemy go.

– Co robimy z księdzem i tym drugim?

– Wypuszczamy. Nie mamy podstaw, by ich trzymać. Nawet gdybyśmy chcieli to zrobić, prokurator nie zaryzykuje, boi się awantury z Episkopatem. Będą ich pilnować.

– I co teraz?

– Czekamy.

Basia zaczęła lekko drżeć. Ugne objął ją ramieniem i przytulił. Poczul zapach jej perfum. Były inne niż zazwyczaj. Wcześniej nie zwracał na to uwagi, ale teraz mu się podobały. Właściwie wszystko mu się w niej podobało. Do tego dzisiaj wyglądała inaczej niż zwykle. Lubił ją w tych spodniach i z zaplecionym warkoczem, nie spodziewał się, że może wyglądać jeszcze lepiej. Nietrudno było dostrzec, że jest szczupła i w świetnej kondycji fizycznej, ale nie wiedział, że ma tak zgrabne nogi. Pochylił się. Basia podniosła głowę, a jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Przytulił ją jeszcze mocniej, zamknął oczy i już miał dotknąć jej ust swoimi wargami, gdy na taras wszedł Młody.

– Chodźcie, ustalamy plan działania.

Basia zmieszała się. Poprawiła sukienkę i szybkim krokiem weszła do salonu. Ugne zaklął tylko pod nosem i przechodząc obok Młodego, delikatnie klepnął go w bark.

– Kurwa, Młody, ty to masz wycucie czasu.

Po chwili wszyscy już siedzieli wokół stolika, tylko Joanna i Galant stali.

– Jest kilka spraw, które musimy sprawdzić. – Krauze trzymała w dłoni mentolowego papierosa. – Po pierwsze, lista profesorów. Ugne, zajmij się tym. – Spojrzała w kierunku Galanta, który skinął głową. Po drugie, dokopmy się do informacji na temat tego kościoła w Osowej. Kto go założył? Skąd się znalazł tam ten Międlak? Kim jest ten człowiek? Czy istnieje jakaś organizacja, kółko modlitewne czy różańcowe, które opiekuje się tym obiektem? Wiemy, że formalnie podlega parafii na Warszawie. Lwowiak i Młody, sprawdźcie to. Dwudziestego trzeciego musimy zameldować się u Dukli. Ja, Basia i Galant. Ma nam coś do zakomunikowania. Czuję, że nie będzie to nic dobrego.

Rebelia

Szczecin, 14 marca 1968 roku

Zęby szorował tak długo i intensywnie, że aż poczuł metaliczny smak w ustach. Splunął. Spojrzał w lustro. W odbiciu zobaczył twarz zmęczonego życiem czterdziestolatka. Gęsta jasna szczecina przysłoniła mu pół twarzy. Nie golił się już jakieś dwa, może trzy tygodnie. U fryzjera też nie był od... Nie pamięta, kiedy właściwie się strzygł. Jasna grzywka opadała mu na oczy. Trzy pierdolone tygodnie i nic. Książdz odprawia msze. Cyngiel ze szklanym okiem zapadł się pod ziemię, a jego świętoszkowaty kumpel z antysemitki gazetki razem z nim. Nie mają nic. Same gówniane znaki, liczby, mapki, które nic im nie mówią. Może tamci siedzą gdzieś w jakiejś norze i czekają, żeby zadać kolejny cios. Okoliczności im sprzyjają. Zaraz będą wieszać Żydów na latarniach. Część tego chorego kraju tylko czeka, aby podłożyć pochodnie i przerzucić sznury przez gałęzie drzew.

Nalał wody do musztardówki i wyplukał usta. Wszedł do kuchni i otworzył okno. Wychodziło na oficynę. Poczł zapach wilgoci i uryny. Sięgnął po butelkę wódki stojącą na parapecie. Odkręcił i nalał do połowy tej samej musztardówki. Przechylił, przełknął i się skrzywił. Poczł, by powoli kontemplować tę chwilę. Poczł, jak błogie ciepło rozchodzi się po trzewiach. Jego wewnętrzny zły dostał to, czego się domagał od przebudzenia. Jeszcze jedna i będzie gotowy. Nalał i przechylił. Tak. Teraz ten szary dzień w tym szarym mieście nabierze kolorów. Ugne poszedł do pokoju, otworzył szafę i wyciągnął biały podkoszulek. Miał ich całą półkę. Zbliżył do nosa i powąchał. Świeży. Nałożył. Na łóżku leżały dzinsy. Rozejrzał się, jakby czegoś szukając. Jak on wczoraj położył się spać? Spojrzał pod łóżko. Jest. Pistolet leżał w kaburze przypiętej do pasa. Wyciągnął się i sięgnął po broń. Sprawdził, czy jest zabezpieczona. Pistolet był mały i dobrze leżał w dłoni. Wolał swoją starą tetetkę, ale mu ją zabrali i wymienili na to małe cacko, P-64, zwaną potocznie czakiem. Nie protestował. Ważne, że pistolet spełniał swoją funkcję. Zabijał ludzi.

Zarzucił emkę na ramię i zbiegł po schodach. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do stoewera. Nie ścigał dachu, bo jak zwykle padało. Odpalił. Silnik zaryczał. Spojrzał, czy nic nie jedzie z prawej, i ruszył. Włączył wycieraczki. Nie przejechał nawet trzystu metrów, gdy w radiostacji odezwał się kobiecy głos.

– Zero siedemdziesiąt osiem do wszystkich radiowozów. Kod czerwony na osiedlu Politechniki Szczecińskiej. Powtarzam: kod czerwony na osiedlu Politechniki Szczecińskiej. Obstawić obiekt, ale nie wchodzić do środka. Powtarzam: obstawić obiekt, ale nie wchodzić do środka.

Co znowu? Czyżby jednak ktoś w tym kraju odważył się protestować? Powinien jechać do „Pleciugi”, ale stwierdził, że jednak przyjrzy się, jak zorganizowani są w tym mieście studenci. Miał świadomość, że trzy dni wcześniej odbyło się wielkie pałowanie studentów na Uniwersytecie Warszawskim. Nie mówili o tym w radiu ani telewizji, ale milicyjne radiostacje grały się od emocji wściekłych psów polujących na ulicach stolicy na chudych i wystraszonych inteligencików. W Szczecinie wszyscy czekali na powtórkę z Warszawy. Od kilku dni trwała zażarta dyskusja na temat pałek, których używali ORMO-wcy. W przeciwieństwie do milicyjnych białych, były długie i czarne. Po każdym uderzeniu w plecy odkształcały się. Nie sprężynowały i nie powracały do pionu jak gumowe milicyjne. Okazało się, że na kilka dni przed wielkim pałowaniem w warszawskich Zakładach Mechanicznych imienia Marcelego Nowotki na polecenie partii przygotowano metalowe pręty o długości sześćdziesięciu centymetrów, które następnie oblane czarną gumą. Milicjanci ze Szczecina też takie chcieli, jednak nikt nie był w stanie w tak krótkim czasie ich wykonać. Niektórzy nabijali na swoje metalowe ćwieki, ale to nie było to samo.

– Tu wóz czterysta dwadzieścia siedem, jesteśmy na miejscu, wyszedł jeden z naszych po cywilnemu, ale nie wpuszczili go do środka.

– Czterysta dwadzieścia siedem, dlaczego nie wpuszczili go do środka?

– Centrala, bo... studenci obawiają się prowokacji i nie wpuszczają obcych. Każdy, kto wchodzi na

osiedle, musi rozwiązać zadanie matematyczne, aby udowodnić, że jest z politechniki...

– Czterysta dwadzieścia siedem, i co zrobiliście?

– Centrala, no... nic, nie znaleźliśmy odpowiedzi, więc musieliśmy się wycofać.

Ugne wybuchnął śmiechem. A jednak studenci nie zawodzą. Gdy przejeżdżał przez plac Kościuszki, radiostacja ponownie się odezwała.

– Do wszystkich radiowozów: wychodzą! Powtarzam! Wychodzą!

Ugne wykręcił na rondzie i zawrócił. Zatrzymał się przed jedną z bram na Piastów. Czekał. Po chwili ich zobaczył. Szli środkiem Piastów. Z bocznych uliczek dołączały gromady młodych ludzi. Wyglądali na uczniów pobliskich szkół średnich. Były ich tysiące. Skręcili w Krzywoustego.

– Do wszystkich jednostek: na wysokości „Kaskady”[40] rozkazuję rozpędzić demonstrację studentów. Powtarzam: na wysokości „Kaskady” rozkazuję rozpędzić demonstrację.

No to się zaczyna, pomyślał i ruszył w kierunku największego w Szczecinie pawilonu handlowego. Zaczęło padać. Ciężkie granatowe chmury zawisły nad aleją Niepodległości. Ugne zatrzymał się tuż przy „Bajce”. Tłum nadszedł od strony Obrońców Stalingradu[41]. W tym samym czasie od strony placu Żołnierza zaczęły nadjeżdżać milicyjne suki. Auta ustawiły się w poprzek ulicy Wyzwolenia. Z samochodów zaczęli się wysypywać milicjanci w hełmach i kaskach ochronnych, wyposażeni w bojowe kamizelki przeciwuderzeniowe i pałki szturmowe. Ustawili się tyralierą i ruszyli w kierunku studentów. Spotkali się na wysokości „Kaskady”. Ze szczekaczek nawoływano do rozejścia się. Ale tłum szedł zwarty przed siebie. W pewnym momencie milicjanci ruszyli w kierunku protestujących. Wbili się klinem w samo czoło demonstracji. Uderzenia pałką trafiały w głowy, szyje, kręgosłupy maszerujących. Demonstrujących ogarnęła panika. Ludzie rozpierzchli się. Uciekali w popłochu w różnych kierunkach. Część biegła w stronę Wyzwolenia, inni uciekali do Bramy Portowej. Na bruku zostawali ci, którzy nie mogli się sami podnieść.

No i po wszystkim, pomyślał Galant. Pokrzyczeli, postraszyli, dostali dwa razy pałką i uciekli. Wystarczyły dwa plutony tępych blacharzy, by zdławić tę ich całą rewolucję. Ugne splunął, zamknął okno i wykręcił. Ruszył w kierunku Pomorskiej Akademii Medycznej. Wiedział, że jeszcze nikt nie sprawdził listy profesorów. Zostawił ją sobie na koniec. Wjechał w Rewolucji Październikowej. Chciał jeszcze rzucić okiem na pobojozisko. Ponownie zatrzeszczała radiostacja.

– Do jednostek biorących udział w przywracaniu porządku w okolicach „Kaskady”: legitymować uczestników demonstracji, organizatorów o obco brzmiących nazwiskach aresztować. Powtarzam: aresztować osoby o obco brzmiących nazwiskach!

O obco brzmiących nazwiskach? Ożeż, kurwa, kobieto, tym tępym psom trzeba jasno powiedzieć, że mają aresztować mošków. Jeszcze wsadzą do paki jakichś rusków i będziesz się wtedy tłumaczyła. Ugne uśmiechnął się półgębkiem. Machnął legitymacją służbową przed nosem milicjanta blokującego przejazd. Na chodnikach po obu stronach ulicy leżeli pobici studenci. Niektórzy mocno krwawili. Ugne jechał powoli. Spoglądał na zakrwawione twarze młodych ludzi. Połamane nosy i powybijane zęby były najczęstszym widokiem. Milicjanci zbierali leżących i wrzucali do suk. Ugne sięgnął pod fotel kierowcy i wyciągnął pierśiówkę. Łyknął porządnie i schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Stoewer z Wojska Polskiego skręcił w Wielką. Galant przejechał obok kościoła garnizonowego i gdy zbliżał się do Bramy Portowej, spojrzął w prawo. Wokół żydowskich sklepików, tuż obok pedetu, zawsze krzątało się mnóstwo ludzi. Wchodzili, wychodzili, targowali się, kłócili. Teraz było cicho i pusto. Ugne spojrzął na zegarek. Było po południu. O tej porze zwykle nie dawało się spokojnie przejść po chodniku. Spojrzął w lusterko. Żaden samochód za nim nie stał. Wrzucił wsteczny bieg i cofnął się jakieś dwadzieścia metrów. Zaparkował po drugiej stronie Bramy Portowej. Wzdłuż ulicy ciągnęło się kilkanaście niskich budynków, w których handlowano głównie ubraniami, galanterią skórzaną, butami i tym podobnymi. Ugne podszedł do pierwszego z nich. Był zamknięty. Podszedł do kolejnego. Również zamknięty. Następny tak samo. Tylko na oknie wystawowym ktoś namalował czerwoną farbą gwiazdę Dawida zawieszoną na szubienicy. Z jednego z lokali wyszła starsza kobieta, otworzyła parasolkę i zaczęła zamykać drzwi na kłódkę. Podszedł do niej.

– Dzień dobry. Co tu się stało? Dlaczego sklepy są pozamykane?

Kobieta zmierzyła go wzrokiem.

– Bo właściciele je zamknęli i wyjechali albo właśnie się pakują. – Włożyła kluczyk od kłódki do torebki i skierowała się w stronę ulicy Wielkiej.

– Zaraz, proszę pani, ale jak to? Dokąd wyjeżdżają?

Kobieta odwróciła się.

– Jak to dokąd? Do Izraela. A o sklepy proszę się nie martwić, niedługo znowu będą otwarte. Zmieniają się jedynie właściciele, ale czy to takie ważne?

* * *

Ugne zaparkował przed samą bramą rektoratu. Po brukowanej uliczce, pamiętającej zapewne jeszcze czasy carycy Katarzyny, płynął potok. Woda deszczowa spływała z całej Podgórnej na Rybacką, tworząc rwący nurt, który zabierał ze sobą wszystkie nieczystości z okolic Starego Miasta, niewielkiego fragmentu, które przetrwało bombardowania angielskich lancasterów. Pociągnął zdobioną klamkę zabytkowej dębowej bramy, która prowadziła do budynku rektoratu Pomorskiej Akademii Medycznej. Wbiegając po schodach na pierwsze piętro, zwrócił uwagę na dozorcę, który zdejmował ze ściany korytarza okazałych rozmiarów obraz, przedstawiający mężczyznę ubranego w togę profesorską. Galant na chwilę się zatrzymał, by przyjrzeć się innym obrazom. Domyślił się, że przedstawiały profesorów, rektorów i dziekanów uczelni, którzy wpisali się w jakiś sposób w historię tego miejsca. Obraz, który woźny postawił teraz obok drabiny, najwyraźniej nie był pierwszym, który zniknął ze ścian. Nad schodami było już kilka pustych miejsc. Ugne pobiegł po schodach i wszedł do sekretariatu rektora uczelni. W dużym pomieszczeniu z wielkimi oknami znajdowały się dwa biurka. Przy głównym siedziała tęga platynowa blondynka w zielonym żakiecie. Podniosła głowę znad magazynu, ale jedna dłoń nadal spoczywała w miseczce z ciasteczkami. Nie odezwała się, tylko czekała na to, co powie Galant.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparła oschle.

Galant sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął zmięty skrawek papieru. Przez chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, czym w dość wyczuwalny sposób irytował sekretarkę, która jeszcze częściej sięgała do pojemnika z ciasteczkami.

– Gdzie znajduje profesora Juliana Szenkelbacha?

– Nie pracuje już tu u nas.

– Jak to nie pracuje?

– Po prostu, złożył wypowiedzenie i nie pracuje.

Ugne spojrzał ponownie na kartkę.

– To może profesora Eugeniusza Łempickiego?

– Nie pracuje.

Ugne spojrzał na wciskającą w siebie kolejne ciastko kobietę.

– Rozumiem, że też złożył wypowiedzenie?

– Tak. Będzie pan tak mnie pytał o każdego pracownika uczelni?

Ugne sięgnął do wewnętrznej kieszeni emki. Wyciągnął legitymację służbową i ustawił ją otwartą przed urzędniczką. Gdy jej dłoń z nadgryzionym ciastkiem zatrzymała się w połowie drogi do ust, położył przed nią skrawek pomiętej kartki papieru z nazwiskami. Wyprasował go jeszcze dłońmi.

– Czy w takim razie może towarzyszka łaskawie odpowiedzieć mi na pytanie, który z obecnych na liście profesorów nie złożył wypowiedzenia, a jednocześnie wskazać mi drzwi do gabinetu osoby, która przyjmowała, zapewne z niechęcią i żalem, te wypowiedzenia? – W kącikach ust pojawiło mu się coś na kształt uśmiechu. – Partia będzie towarzyszyć wdzięczna.

Kobieta odłożyła ciasteczko i z nieukrywaną niechęcią dwoma palcami podniosła kartkę. Przebiegła wzrokiem po nazwiskach i podniosła wzrok na Galanta.

– Jeszcze jest profesor Jerzy Gelber, ale... – Zawiesiła głos, jakby chciała dobrać właściwe słowa. – Szykuje się do złożenia wypowiedzenia.

Ugne nie był jakimś znawcą materii. Rzadko kiedy się leczył. Właściwie wszystkie jego kontakty ze służbą zdrowia sprowadzały się do szycia ran, nastawiania nosa czy leczenia złamań, jednak i on słyszał o profesorze Gelberze. Od czasu gdy został kierownikiem Poradni dla Matki i Dziecka Szpitala Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, jego sława wybitnego specjalisty od chorób zakaźnych u dzieci obiegła Szczecin. W tej części kraju nie było też lepszych specjalistów od choroby Heinego-Medina, wirusowego zapalenia wątroby i błonicy.

– Oj, towarzysze nie będą szczęśliwi, że jeszcze jakiś syjonista wciąż psuje naszą młodzież. – Ugne próbował przyjąć poważny ton. – Kto za to odpowiada?

Sekretarka chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Rektor?

– No, a jakże, rektor. – Ugne mało nie zaczął jej bić brawa. – Towarzyszko, zapowiadajcie.

Urzędniczka sięgnęła po aparat telefoniczny i wcisnęła guzik.

– Towarzyszu sekretarzu. – Próbowała przyjąć oficjalny ton. – Kapitan Galant z komendy wojewódzkiej milicji do towarzysza.

Kobieta nie zdążyła odłożyć słuchawki, gdy w drzwiach gabinetu, który był połączony z sekretariatem, stanął mężczyzna. Ubrany był w szary garnitur, białą koszulę i grafitowy krawat. Szczupły, raczej niewysoki, choć przy Galancie każdy wyglądał na niskiego. Rzadkie siwe włosy cesał na lewy bok. Wąsy miał tego samego koloru co włosy. Wyciągnął rękę do Galanta.

– Adam Krechowieski, rektor – nerwowo oświadczył mężczyzna.

– Galant.

– Proszę wejść, podać coś do picia?

– A macie starke?

Krechowieski spojrział na Galanta, nie wiedząc, jak ma się zachować. Ugne machnął ręką.

– Żartowałem. – W istocie wcale nie żartował. Przeszło mu przez myśl, że w piersiówce kończy się samogon, który rano kupił na melinie u Stefanowej, więc szklanka dobrej starki trochę by go rozruszała.

Usiedli na kanapie przy stoliku kawowym.

– No i jak, towarzyszu, z tym Gelberem będzie? – Ugne nie przestawał odgrywać swojej roli.

Mężczyzna, który siedział przed nim, próbował podnieść filiżankę z herbatą, ale dłonie zaczęły mu tak drżeć, że odstawił ją z powrotem.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, towarzyszu. Ustaliłem już termin kolejnego zebrania na uczelni, w czasie którego oczekiwane jest, że profesor Gelber potępi Izrael, jednocześnie oznajmiłem profesorowi, że nie ma szans na uzyskanie samodzielnej katedry oraz że przygotowujemy się do redukcji etatów, w której wyniku zostanie zwolniony z pracy. – Siedzący przed nim siwy człowiek w swym szarym garniturku wyraźnie był przerażony. Galant rozumiał, że bał się, że jeżeli nie zrobi porządku z Żydami na swojej uczelni, skończy jak oni. A tego nie chciał. Ugne brzydził się takimi ludźmi.

– Poza tym był tu od was ten człowiek, który potwierdził, że wobec profesora Gelbera i innych prowadzona jest akcja o kryptonimie „Pediatria” i że z waszego śledztwa wynika, że zamierzają dokonać dywersji. Dlatego wzmogliśmy czujność i konsekwentnie pozbywamy się... – zawahał się – problemów.

O czym ten człowiek mówił? Kto podaje kryptonimy spraw obcym ludziom? Jakiej dywersji? Ugne sięgnął po paczkę papierosów. Nie pytając o zgodę, wyciągnął jednego i zapalił. Rektor, widząc to, podsunął mu kryształową popielniczkę.

– Kto tu był? – Ugne zaciągnął się i wpatrywał się w każdy gest rektora. – Kto z panem rozmawiał?

Krechowieski lekko się zmieszał. Rozejrzał się wokół, jakby szukał pomocy opatrności Bożej albo upewniał się, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Nie pamiętam nazwiska. To był wysoki rangą funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa.

– Skąd pan to wie? Pokazał panu legitymację służbową?

– Nie. – Rektor spojrział mu prosto w twarz. – Ale przedstawił mi list uwierzytelniający od samego ministra spraw wewnętrznych.

Ugne poczuł lekki zawrót głowy. Zaciągnął się. Tylko nie teraz. Musiał nad tym zapanować.

– Gdzie jest toaleta?

– Dla pracowników jest zaraz obok, tylko niech pan weźmie klucz od sekretarki.

Ugne wyszedł szybkim krokiem z gabinetu i sięgnął po klucz leżący na biurku sekretarki. Pobiegł do toalety. Nerwowo przekręcił klucz w zamku i wpadł do środka. Ledwie wszedł do pomieszczenia, runął na posadzkę i poczuł, jak wszystko wokół zaczyna pulsować, a delikatne światelko umieszczone nad lustrem zaczyna gorzeć żywym ogniem. Ciemna postać ze szklanym okiem stanęła nad nim na szeroko rozstawionych nogach. W dłoniach trzymała garotę. Z cienkiej struny spływały krople krwi. Ugne poczuł, jak ściska go w płucach i brakuje mu tchu. Po chwili człowiek z garotą zniknął. Teraz Ugne był w kościele. Panował mrok. Tylko długie świece stojące wokół filarów rzucały słabe światło. Było zimno i wyczuwało się

woń zgnilizny. W pewnej chwili spod ławek zaczęły wypęłzać ludzkie cienie. Oplatały filary i zostawiały na nich czarną maź. Ugne starał się wstać, ale nie mógł ruszyć się z miejsca. Spojrzał w dół. Znajdował się w balii wypełnionej czarną mazią. Próbował chwycić się czegośkolwiek, ale stracił tylko jakąś książkę z modlitewnika stojącego przy ławie. Kątem oka zauważył złote litery na okładce. Pismo Święte. Istota odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. Jej żółte tęczęwki z poziomymi źrenicami nie ruszały się, przenikały go, jakby chciały wdrzeć się głęboko w jego duszę. Podniosła łeb i zaczęła wyc. Cienie rzuciły się w jego kierunku jak stado hien, które dopada ranną antylopę. Otoczyły go. Ugne spojrzął za siebie. Nie siedział już w balii wypełnionej czarną mazią. Tuż za nim znajdowała się ciemna czeluść, z której wychodziły dziesiątki łap ze szponami. Wbijały się w jego ramiona, szyję, barki. Szarpiąc do krwi, ciągnęły go za sobą. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kierują się do krypty. Smród zgnilizny stał się intensywniejszy. Ugne podniósł głowę i zobaczył przed sobą ogromny krzyż, z którego spoglądał uśmiechnięty i spokojny chłopiec. Wpatrywał się w Galanta, a na twarzy malowało mu się współczucie i życzliwość. Mówił coś, ale jego słowa znikwały w donośnych dźwiękach organów. Ugne próbował wyczytać z ruchu warg słowa wypowiedane przez chłopca, ale ciężka kamienna płyta zaczęła się nad nim zasuwać. Zanim objęła go ciemność, spojrzął jeszcze raz w stronę krzyża. Chłopiec wypowiadał jedno słowo. Wigilia.

Ugne ocknął się. Leżał na zimnej podłodze w męskiej toalecie. Złapał za umywalkę i z trudem się podniósł. Spojrzał w lustro. Z kącika ust spływała mu wąska strużka śliny. Odkręcił kran i włożył głowę pod lodowatą wodę. Obmył twarz i włosy. Splunął i wytarł się papierem toaletowym. Jeszcze raz spojrzął w lustro. Wigilia? Co ten mój pokręcony mózg chce mi powiedzieć? Zaraz, o czym rozmawiałem z tym przestraszonym hipokrytą? To niemożliwe, żeby dysponował tym samym listem żelaznym, który otrzymali od ministra Moczara. Ten list otwierał wszystkie drzwi w tym kraju. Nie mógł go dostać byle chłystek z urzędu. To musiał być ktoś ze służb. Tylko po co to wszystko opowiadał temu nic nieznaczącemu człowieczkowi?

Otrzeptał się, otworzył drzwi i skierował w stronę biura. Ominął sekretarkę, która próbowała coś do niego powiedzieć, i pchnął drzwi gabinetu rektora. Krechowieski siedział w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawił. Na jego widok wstał, ale Galant nawet nie zareagował na ten przejaw kurtuazji. Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po paczkę giewontów i wyciągnął jednego. Paczkę rzucił na stolik. Zapalił i głęboko się zaciągnął. Przez chwilę zastanawiał się, jak poprowadzić dalszą część rozmowy.

– Jak wyglądał ten funkcjonariusz?

Rektor przez chwilę przyglądał się poznaczonej bliznami twarzy milicjanta, jakby szukając w niej weny. Najwyraźniej szybko się pojawiła, ponieważ jego opis był dość szczegółowy. Począwszy od stroju, fryzury, kształtu twarzy, po opis tatuażu na zewnętrznej części dłoni.

– To było chyba jakieś godło – doszedł do wniosku rektor.

Ugne wstał i podszedł do biurka. Złapał pierwszy lepszy kawałek papieru i długopis i usiadł z powrotem. Chwilę coś kreślił, po czym podał Krechowieskiemu.

– Czy tak wyglądało?

Profesor nie przyglądał się długo.

– Tak, to był ten tatuaż.

Ugne wstał i już miał wyciągnąć dłoń na pożegnanie, ale po chwili zastanowienia zrezygnował.

– Do widzenia, profesorze. Przekażę na górę, żeby jakiś solidny medal wam wręczyli za... – chwilę się zastanowił – bohaterską postawę w walce z żydowską zarazą.

Wychodząc, trzasnął drzwiami.

Krechowieski stał jeszcze chwilę. W końcu usiadł na fotelu i jeszcze raz rzucił okiem na wzór naszkicowany przez milicjanta. Rysunek przedstawiał orle skrzydła na tle rozpiętej czaszy spadochronu.

[40] Kombinat gastronomiczny „Kaskada” w Szczecinie (do 1945 niem. *Haus Ponath*) – lokal gastronomiczno-rozrywkowy, który znajdował się przy zbiegu ul. Edmunda Bałuki (dawniej ul. Obrońców Stalingradu) i al. Niepodległości, w bezpośredniej bliskości pl. Żołnierza Polskiego. W 1981 roku spłonął.

[41] obecnie ul. Bałuki

Bractwo Sprawiedliwych

Plebania kościoła św. Antoniego z Padwy, ul. Sarnia 35, Szczecin, 20 marca 1968 roku

Mżyło. Mgła była tak gęsta, że pasażerowie nie widzieli niczego poza światłem reflektorów, które przecinało mleczną poświatę. Na szczęście droga na Warszewo nie należała do specjalnie uczęszczanych, więc ryzyko, że dojdzie do kolizji, było niewielkie. Kawalec nie był też typem rajdowca. Jechał przepisowe czterdzieści na godzinę.

– Rozmawiałeś z tym proboszczem? – Wajda wołał się upewnić, że Kawalec przygotował grunt pod ich wizytę w parafii.

– Tak. Miły człowiek. – Młody jak zwykle był w pogodnym nastroju. – Powiedział, że przygotowuje nam wszystkie niezbędne informacje.

Z Rostockiej skręcili w Czeską. Po lewej minęli ogrody działkowe, a po prawej kawał sporego pola, na którym pasły się krowy. Trzysta metrów dalej skręcili w Sarnią. Po obu stronach wąskiej drogi stały ponemieckie bliźniaki. Po lewej zauważyli willę. Różniła się od pozostałych wiejskich domów wielkością i stylem. Balkoniki, łuki, małe okienka i olbrzymie okna, do tego dwa tarasy. Zaparkowali na chodniku przed budynkiem. Wajda ruszył przodem. Przed domem rósł stary kasztanowiec.

Weszli po szerokich schodach i zapukali w dębowe drzwi. Po chwili w wejściu pojawiła się kobieta. Od razu Wajda pomyślał, że musi ważyć ze sto trzydzieści kilogramów. Uśmiechnął się. Miała na sobie fartuch kucharski, a palce umazane klejącym się ciastem.

– Dzień dobry. Nazywam się... – Wajda nie zdążył się przedstawić, gdy kobieta machnęła na niego ręką.

– Buty! – Wskazała wycieraczkę. – Od razu powiem, że nie cieszę się z waszego przyjścia – stwierdziła głębokim basem. – To nie jest miejsce dla takich jak wy, ale skoro ksiądz proboszcz zgodził się was przyjąć, to trudno.

Mężczyźni szli w milczeniu za gospodynią. Przeszli przez korytarz, minęli sporą kuchnię i znaleźli się w dużym gabinecie. Za ogromnym biurkiem siedział starszy mężczyzna w szarym sweterku z koloratką pod szyją. Za nim, na ścianie wisiał ogromny drewniany krzyż. Mężczyzna wstał i podszedł do milicjantów. Był dobrze po siedemdziesiątce. Idąc, podpierał się laską.

– Witam, panowie. – Wyciągnął w ich kierunku dłoń. – Proszę, usiądźcie. – Wskazał im drewnianą ławę, ustawioną pod ścianą. Kawalec i Wajda przywitali się i usiedli we wskazanym miejscu. Tuż za nimi wisiał obraz przedstawiający klęczącego i modlącego się mnicha, który wpatruje się w małego Jezuska siedzącego na chmurce.

– Przygotowałem dokumenty, o które prosiliście. – Starzec mówił powoli. Widać było, że nie przychodzi mu to łatwo. – Nie jest tradycją, że przekazujemy dokumenty kościoła przedstawicielom władzy. Szczególnie tej władzy. – Proboszcz zawiesił na chwilę głos. – Jednakże podjąłem tę decyzję ze względu na dobro sprawy. Wiem, z czym się mierzycie. A my od dawna przyglądamy się działaniom naszego brata, księdza Międlaka, i nie zamierzamy wam przeszkadzać w poszukiwaniu prawdy.

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Co ksiądz proboszcz ma na myśli? – zapytał Kazik.

– Kościół w Osowej został odbudowany ze zgliszczy. Dawniej w tym miejscu był żydowski cmentarz. W tej małej wiosce pod Szczecinem było niewielu wiernych. Właściwie prawie nie było katolików. Kościół wybudowali pionierzy, którzy przyjechali ze wschodu jednym z pierwszych transportów. Trzymali się razem, a przewodził im młody ksiądz wraz ze swoim wujem. Dobrze mówili po niemiecku, więc Hlond powołał młodego na stanowisko administratora tego terenu. Los tych ziem był niepewny. Ojciec święty blokował powołanie polskiej administracji kościelnej w nowych granicach, więc przyjeżdżali przedstawiciele różnych zakonów, by zaklepać teren. Najpierw kapucyni, później franciszkanie

i chrystusowcy. Międlak ze swoimi wyznawcami był pierwszy w Osowej. I tak już zostało. Zbudowali piękny kościół. Dochodziły do nas pogłoski o jakichś dziwactwach, ale nikt w to się wtedy nie zagłębiał. Kilka razy miałem z nim styczność. Przypominałem mu o nauce Jezusa Chrystusa. On wiedział swoje. Kiedy ostatecznie powstała diecezja szczecińsko-kamieńska, rozmawiałem z biskupem, ale moje argumenty nie trafiały. Międlak miał sukcesy. Nie tylko zbudował piękny kościół, ale również go rozwijał. Pod koniec lat pięćdziesiątych była to najdynamiczniej rozwijająca się rodzina w naszej diecezji. Nie ma co ukrywać, że wierni z tej dzielnicy Szczecina byli bardzo związani ze swoją parafią, a zatem bardzo hojni. A to miało znaczenie w ocenie pracy księdza. – Duchowny wyciągnął z szuflady fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. – Czy możesz, synu, wpuścić tu trochę świeżego powietrza? – Wskazał na wielkie okno ukryte za bordową zasłoną. – Jak wpadnie tu ta baba i wyczuje dym, to zrobi z nami wszystkimi porządek.

Kawalec wstał i otworzył okno. W gabinecie pojaśniało. Mgły już nie było, ale nadal mżyło. Okno wychodziło na ogród, pośrodku którego stał stary kasztanowiec.

– Skąd oni właściwie przyjechali? – zapytał lwowiak.

– Trudno powiedzieć, ale ludzie gadali, że większość z nich przybyła z Dalekiego Wschodu. Wszyscy siedzieli w jednym łagrze. Komendantem obozu miał być jakiś Żyd. – Ksiądz popykał fajkę i dodał: – Ale kto wie, jaka była prawda. To była wojna. Ludzie zachowywali się w różny sposób i nie miało znaczenia, jakiej są wiary czy narodowości.

– Czy w parafii w Osowej funkcjonuje jakaś grupa parafialna, koło różańcowe?

Proboszcz się zaśmiał. Po chwili zaczął kaszleć. Plutonowy się zerwał i podał księdzu wodę stojącą na biurku.

– Jesteście katolikami?

– Ja jestem – odpowiedział Kawalec.

– A pan? – Spojrzał na lwowiaka.

– Ochrzczony, ale nie bardzo praktykujący – przyznał Wajda.

– Przy parafii działa rada parafialna. Jak chcecie, mam listę jej członków. – Wstał i podszedł do dużej dębowej szafy stojącej za biurkiem. Pochylił się i otworzył jedną z szuflad. Wyciągnął z niej skórzaną teczkę. Chwilę ją przeglądał, po czym podniósł pożąłką stronę maszynopisu. Podał ją Wajdzie. Lwowiak rzucił na nią okiem. Na liście było kilkanaście nazwisk.

– Czy mogę ją pożyczyć?

– Proszę, nie ma to już większego znaczenia.

Lwowiak wstał. Włożył kartkę do teczki z materiałami, które otrzymał od księdza.

– Nie będziemy już księdzu głowy zawracać. – Kazik zauważył, że duchowny sprawiał wrażenie zmęczonego. – Mam jednak ostatnie pytanie. Mogę?

– Pytaj.

– Czy mówi księdzu coś nazwa Bractwo Sprawiedliwych?

Proboszcz podniósł wzrok na milicjanta i odłożył fajkę.

– Nie wiem, gdzie usłyszałeś tę nazwę, młody człowieku, ale skoro już się z nią spotkałeś, to znaczy, że to się znowu dzieje... – Zakaszłał.

– Co się znowu dzieje? – Wajda przystanął z ciekawioną miną.

Proboszcz sięgnął po fajkę. Popykał. Zapach tytoniu ponownie rozniósł się po pomieszczeniu.

– Bractwo Sprawiedliwych jest z nami od setek lat. Wcześniej służyło władcom i magnatom. Było zawsze tam, gdzie trzeba było wzniecić płomień nienawiści. Na piersiach krzyże, a w rękach miecze i topory. To ortodoksyjna organizacja, której celem była obrona wiary. Później, w dziewiętnastym wieku, dopisano jeszcze obronę polskości. Teraz? Nie wiem, komunizmu? Mówi się, że Bractwo było inspiratorem większości pogromów na ziemiach polskich. Tak było w Warszawie w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym i tysiąc osiemset piątym roku. Tak było w Turku w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym. Byli coraz lepiej zorganizowani i skuteczni. Pogromy w miastach Królestwa Polskiego były poprzedzone silną, ale prostacką agitacją. Wcześniej zawsze pojawiały się rękopiśmienne ulotki, czy nawet nowe pieśni, które szły w lud. To zawsze były dobrze zorganizowane i przygotowane akcje. Szczególnie krwawe żniwo zebrały pogromy w guberniach ukraińskich. W zaborze pruskim, w Chojnicach, w tysiąc dziewięćsetnym roku, wymordowano całą wieś, powodem miało być oskarżenie o rzekomy mord rytualny. Te ostatnie, w Rzeszowie, Przemyślu, Krakowie i Kielcach, też nie były przypadkowe.

Spojrzał na milicjantów. Stali jak na apelu, bez słowa, bez ruchu, wpatrzeni w poorly bruźdami twarz księdza. Zapanowała cisza. Z zewnątrz dochodził tylko delikatny odgłos kropli deszczu, które rozбивały się na gałęziach kasztanowca.

– Te akcje zawsze służyły ówczesnej władzy. Na początku królom, później książętom i wpływowym magnatom. Niezależnie od tego, czy były to państwa zaborcze, później okupacyjne, czy też władza ludowa. Zawsze kończyło się tak samo. Przypadek? Czy w tysiąc osiemset piątym roku w Warszawie na przechodzącą procesję w dniu Bożego Ciała spadła przypadkowa dachówka, co uznano za celowy atak na Najświętszy Sakrament? Może. Czy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku, gdy doszło do paniki w kościele w czasie świąt Bożego Narodzenia, stało się to również przypadkiem? Może. Jednak w efekcie zginęło kilkanaście osób, a o jej wywołanie oskarżono Żydów, co zakończyło się łapanką na ulicach Warszawy. A Kielce dwadzieścia lat temu? Może to również był przypadek, że tak szybko i sprawnie rozniosła się wieść o rytualnym zamordowaniu chłopca, czego ponoć dokonali Żydzi. – Proboszcz spojrział w stronę okna. Ciemne chmury ponownie zawisły nad Szczecinem. Powiew lodowatego wiatru poderwał kartki papieru leżące na biurku. Starzec odłożył fajkę.

– A może, tak naprawdę, nie ma żadnej tajnej organizacji i w rzeczywistości nigdy nie istniała, tylko w nas siedzi jakieś pierwotne zło, które wyłazi, by przypomnieć o sobie. I nic nie jest w stanie tego powstrzymać. – Ksiądz zakaszlał i pobałdł. – Lepiej już zamknijcie okno. Zimno się robi.

Do mężczyzn przez chwilę nic nie docierało, dopiero po jakimś czasie zareagował Kawalec. Podeszedł do okna i je zamknął. W pomieszczeniu panował lodowaty chłód. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i do salonu weszła gosposia.

– Co tu się dzieje?! – Wypieki na jej twarzy nie zwiastowały niczego dobrego. – Przecież tu jest zimno jak w psiarni! – Spojrzała z wyrzutem na mężczyzn i podbiegła do księdza. – No ładnie! – Otworzyła szafę, wyciągnęła z niej koc, który zarzuciła na plecy siedzącego duchownego i jeszcze raz spojrzała na lwowiaka. – Panowie już wychodzą!

– Tak, oczywiście – odparł zgodnie Wajda. – Dziękujemy księdzu za pomoc.

Zanim jednak drzwi się za nimi zamknęły, lwowiak odwrócił się jeszcze w kierunku duchownego, który podniósł palec i wyszeptał:

– Tam gdzie pojawia się Bractwo, giną niewinni ludzie i triumfuje zło.

Układanka

Teatr Lalek „Pleciuga”, al. Wojska Polskiego 64, Szczecin, 22 marca 1968 roku

Ugne zapalił światło i podszedł do tablicy, na której wisiały zdjęcia, mapy i inne materiały ze śledztwa. Przez chwilę wpatrywał się w nie, lekko się chwiejąc, po czym zaczął je po kolei zrywać i rzucać na podłogę. Następnie podszedł do tablicy, na której kredą zapisano różne informacje. Zmazał je wszystkie. Kiedy obie tablice były już czyste, włączył radio. Upewnił się, że jest nastawione na Radio Luxembourg. Kiedy usłyszał głos Jima Morrisona, wiedział, że dobrze trafił. Spojrzał na zegarek. Druga dwadzieścia trzy. Przysunął sobie krzeselko, odwrócił je w taki sposób, by móc położyć ręce na jego oparciu, usiadł i spojrzął na puste tablice. Sięgnął po opróżnioną w jednej trzeciej butelkę wódki i upił spory łyk. Skrzywił się i wyjął papierosa. Wyciągnął zapalniczkę. Zapalił. Dym rozniósł się po pomieszczeniu. Ugne wstał i sięgnął po kredę. Na środku tablicy napisał drukowanymi literami kilka słów: BRACTWO SPRAWIEDLIWYCH, a pod spodem WIGILIA. Wokół tego ostatniego zakreślił koło. Usiadł i wpatrując się w swoje dzieło, zaciągnął się papierosem.

Po chwili wstał i dopisał 25031144. Podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyciągnął z niej książkę. To były *Żywoty świętych*. Wiedział, że Basia będzie chciała poznać historię Williama z Norwich u źródła. Usiadł i otworzył ją na rozdziale dotyczącym świętego, który miał zostać zamordowany przez Żydów. Przebiegł wzrokiem po tekście, by po chwili krzyknąć:

– Jest! Kurwa, jest!

Do pomieszczenia wpadła Basia, a za nią Krauze.

– Co ty tu robisz? – Basia była ubrana w białą piżamę w czarne kropki i Galantowi od razu skojarzyła się z małą, chudą krówką. Powstrzymał się jednak, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Wiem! – Ugne wskazał kredą numer na tablicy. – Wiem, co to oznacza!

Krauze ominęła Basię i weszła do środka. Miała na sobie tylko aksamitną podomkę, którą spokojnie można byłoby nazwać wyzywającą, gdyż miejsca na obfity biust było w niej niewiele. Niczego nie ukrywała.

– Mów!

W tym samym momencie w drzwiach stanął Wajda. Był w przyciasnym szlafroku, spod którego wystawało gęste, ciemne owłosienie... Galantowi przyszło na myśl, że cała trójka wygląda jak bohaterowie jednej z powieści Bułhakowa.

– A ty co tu robisz? – zapytał Ugne.

– Nie mogę tak sam w tym mieszkaniu. – Chwycił krzeselko i usiadł przed tablicą.

Basia oparła się o kaloryfer i kątem oka przyglądając się garderobie Joanny, zapytała:

– Już nie udajemy? – Zrobiła gest palcami, jakby kręciła loki.

Ugne wstał i sięgnął do żyrandola. Wyciągnął niewielkie urządzenie, rzucił je na ziemię i zdeptał. To samo zrobił z resztą podsłuchów.

– Jesteśmy przed wielkim finałem, więc czas na decydujące posunięcia. – Sięgnął po butelkę i pociągnął łyk. – Jeżeli prawdą jest to, co powiedział proboszcz, mamy do czynienia z ludźmi, którzy zrobią wszystko, żeby sprowokować mieszkańców Szczecina do przeprowadzenia największego w historii pogromu. Nie wiem, ilu w tym mieście pozostało Żydów, ale z pewnością nie będą mogli czuć się bezpiecznie. Ten numer na tablicy to nie jest żaden tajny kod ani hasło. – Podszedł do tablicy, wziął do ręki kredę i postawił dwie kropki. Jedną po liczbie 25, drugą po 03. – Dwudziesty piąty marca tysiąc sto czterdziestego czwartego roku. Dzień, w którym doszło do zamordowania Williama z Norwich. Wigilia Zmartwychwstania Pańskiego... – Ugne rzucił kredą w kąt.

Basia aż przysiadła na podłodze. Wajda uśmiechnął się pod nosem, a Krauze nerwowo wyciągnęła z kieszonki paczkę mentolowych. Nie zapaliła, tylko trzymała ją w dłoni.

– To oznacza, że zostały nam trzy dni... – wyszeptała po chwili.

– To nie wszystko – odezwał się Wajda. – Podobnie, jak tysiąc lat temu, wypada w Wielką Sobotę. Wszyscy spojrzeli na siebie.

– Co to znaczy? – zapytała Krauze.

– Wielka Sobota jest ostatnim dniem Wielkiego Tygodnia, poprzedzającego święto Zmartwychwstania. – Młody stał w drzwiach i recytował. – Obchodzone jest przez chrześcijan obu tradycji, wschodniej i zachodniej.

– Co wy, kurwa! Wszyscy tu nocujecie? – wyrzucił z siebie Galant.

Młody podszedł na środek sali i usiadł na krzeselku.

– Może to nie jest ważne, ale ostatnio tyle dziwnych rzeczy usłyszałem, że może warto wspomnieć, że jest to czas żałoby po ukrzyżowanym Jezusie Chrystusie. Jest to również czas pokuty przed największym świętem chrześcijańskim, jakim jest Wielkanoc. Pokuty. Być może o to tu chodzi?

– Pokuty, mówisz – zastanawiał się na głos Galant. – Co mogłoby sprowokować dobrych chrześcijan do chęci odwetu na Żydach?

– Zamordowanie dobrych katolików – odezwała się Basia. – Okazja jest przednia. Wyobrażacie sobie dzieci ubrane na białą ze święconkami w rękach...

– Mapa, lwowiak, mapa! Przypomnij mi jeszcze raz, co widziałeś na mapie miasta w tej wieży kościelnej?

– To był fragment Starego Miasta.

– Jaki dokładnie?!

– Od Bramy Królewskiej do mostu Cłowego.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Ugne wstał i podszedł do kąta, schylił się i podniósł kredę. Powoli, jakby chciał sobie wszystko poukładać, lekko chwiejnym krokiem zbliżył się do tablicy. Zmazał wszystko, co wcześniej napisał.

Wielkimi drukowanym literami napisał:

KATEDRA

W matni

Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, ul. Małopolska 47, Szczecin, 23 marca 1968 roku

Wbiegli po szerokich schodach na pierwsze piętro. Przodem funkcjonariuszki, tuż za nimi Galant. Tylko on był po cywilnemu. Basia i Joanna miały na sobie regulaminowe mundury. Nie było już potrzeby się ukrywać. Poza tym szli na spotkanie z przełożonymi. Na pierwszym poziomie skręcili w lewo. To w tej części budynku znajdowały się biura pracowników Służby Bezpieczeństwa. Ugne unikał tego skrzydła. Szedł ze spuszczoną głową, nie patrząc na numery wiszące na drzwiach. Ciemny korytarz wydawał się nigdy nie kończyć. W pewnym momencie poczuł silny ucisk w klatce piersiowej. Serce mocniej zabiło, a puls przyspieszył. Przełknął ślinę. Nie widział tych drzwi, bo były za daleko, ale wiedział, że wisi na nich przekrzywiony numer 29. Tu spotkał się z Garbusem po raz pierwszy. Tu trafił po opuszczeniu obozu pracy Gemeinschaftslager Schiesspark przy Bandurskiego. Przyszedł do służby. Pełen wiary i nadziei. Jego litewskie nazwisko i tajemnicza przeszłość zadziały jak lep na muchy na naczelnika wydziału śledczego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Aleksandra Merza. Jeszcze wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy, jakim człowiekiem jest Garbus. Merz torturował go przez siedem dni i siedem nocy, a po wszystkim po prostu pogratulował i wydał pozytywną rekomendację. Ugne wyrzucił to wszystko z głowy. Jedyne te blizny na twarzy przypominały mu o tym, co przeszedł w pokoju numer dwadzieścia dziewięć.

– Ugne, co się tak wleciesz?!

Krauze była wyraźnie zdenerwowana przed spotkaniem z Duklą. Wiedziała, że musi tę rozmowę przetrwać i wrócić do ważniejszych spraw. Miała świadomość, że ma za sobą ministra, a już na pewno dyrektora departamentu trzeciego. To byli najmocniejsi ludzie w kraju. Nie mogła jednak bagatelizować Dukli. Był prawą ręką szefa Służby Bezpieczeństwa w województwie szczecińskim. Ambitny i wpływowy. Mógł jej bardzo zaszkodzić. Dlatego czuła, jak po ciele spływają jej krople potu. Po chwili stanęli wszyscy przed drzwiami obitymi brązowym materiałem. Basia podniosła wzrok. Na tabliczce była wyraźna informacja, gdzie trafili: *Jarosław Dukła – Naczelnik Wydziału Trzeciego Służby Bezpieczeństwa*. Weszli do środka. Gabinet nie był zbyt duży. Właściwie mieściło się w nim biurko, niewielka szafka i wieszak. W środku nie było nikogo. Dopiero po chwili zorientowali się, że z gabinetu prowadzą boczne drzwi do małej sali odpraw.

– Zapraszam, towarzysze! – Krauze od razu rozpoznała głos Dukli.

Weszli do pomieszczenia. W pokoju panował półmrok. Pośrodku stał długi stół z krzesłami. Nie było okien. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny portret pierwszego sekretarza PZPR. Na ścianie obok mniejsze zdjęcia w ramkach, przedstawiające w sposób chronologiczny kolejnych szefów bezpieki. Począwszy od Stanisława Radkiewicza, pierwszego ministra bezpieczeństwa publicznego, po obecnego ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara. W najdalszej części stołu siedziało dwóch mężczyzn. Ku zdumieniu Joanny jednym z nich był dyrektor Borak. Stanęli, nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

– No co tak stoicie? – Dukła nogą odsunął jedno z krzesel stojących przy stole. – Siadajcie.

Pierwszy ruszył Galant. Idąc, wyciągał z tylnej kieszeni spodni paczkę giewontów. Zatrzymał się przed Duklą, zapalił papierosa, po czym usiadł na wysuniętym krzeselku. Sięgnął po popielniczkę stojącą pośrodku stołu, odsunął się z krzesłem tak, by dobrze widzieć mężczyzn i postawił popielniczkę przed sobą. Obok niego usiadły Basia i Joanna.

– Wiecie, dlaczego was tu wezwaliśmy? – zapytał esbek.

– Zaprosiliśmy... – poprawiła Krauze.

Dukła zmierzył ją wzrokiem.

– Chcę was poinformować, że prowadzimy postępowanie sprawdzające, w jakich okolicznościach doszło do aresztowania i zamknięcia księdza Międlaka. – Dukła otworzył teczkę i chwilę przyglądał się jej zawartości, poprawił okulary, po czym podniósł wzrok na Joannę. – Niezależnie od wyników tego

postępowania, po konsultacji z ministerstwem – esbek spojrzął na siedzącego obok niego w milczeniu mężczyznę, jakby chciał się po raz ostatni upewnić, że ma jego poparcie – informuję, że rozwiązuję wasz zespół ze skutkiem natychmiastowym.

Krauze poczuła, jak kropelka potu zaczyna jej spływać po plecach. Chciała coś dodać, ale nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Galant nie patrzył na mężczyznę, tylko podniósł wzrok i wpatrywał się pocziwą twarz pierwszego sekretarza partii, Władysława Gomułki. Zaciągnął się mocno, aż poczuł, jak mu wilgotnieją oczy. Wypuścił dym i zgasił papierosa.

– To nie wszystko – kontynuował Dukla. – Zgodnie z decyzją ministra spraw wewnętrznych, towarzyska Krauze zostaje wydalona ze służby. – Podniósł wzrok, by sprawdzić, jak zareagowała na tę informację. Nie odnotowawszy żadnej zmiany na jej twarzy, mówił dalej: – Odebrane zostają jej również wszystkie przywileje związane z pełnieniem funkcji kapitana Służby Bezpieczeństwa oraz inspektora w departamencie trzecim Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, takich jak: mieszkanie służbowe, dostęp do darmowej komunikacji miejskiej oraz możliwość robienia zakupów w sklepach dla mundurowych. Broń, legitymacja i dowód osobisty. – Wyciągnął rękę w kierunku Joanny. Nie protestowała. Miała świadomość, że na nic by się to zdało. Sięgnęła do płaszcza i wyciągnęła dokumenty, które rzuciła na stół. Podciągnęła sukienkę i sięgnęła do pasa z kaburą. Wyjęła niewielki pistolet, odbezpieczyła i sprawdziła, czy w komorze nie ma naboju, po czym położyła go na stole.

Dukla sięgnął po broń i dokumenty.

– Jednocześnie w związku z antypolską działalnością towarzyski Krauze zostaje cofnięte jej prawo do posługiwania się paszportem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i wręczony dokument podróży. – Dukla sięgnął do leżącej przed nim teczki i wyciągnął z niej zieloną książeczkę, którą rzucił na stół przed Joanną. – Macie miesiąc na opuszczenie kraju.

Krauze wyglądała, jakby właśnie świat jej się zawalił. Wpatrywała się w jeden punkt na stole. Na zieloną książeczkę. Wiedziała, co to oznacza. Tysiące Żydów w tym kraju dostawało takie książeczki. Zastępowały paszport. Był w nich wpisany tylko jeden punkt docelowy – Izrael. Drżącymi dłońmi sięgnęła po dokument. Powoli go podniosła i otworzyła. Przeczytała nagłówek i ją zmroziło. *Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim.* Nigdy nie czuła się Żydówką. Była Polką. Jej rodzicami byli komuniści, którzy nie przyznawali się do żydowskiego pochodzenia. Nie uznawali szabat, nie świętowali Paschy, Jom Kippur czy Chanuki. W ich domu nikt nie czytał Tory. Ich religią był komunizm, a biblią *Manifest komunistyczny*. Zgodnie z nim uważali, że każda religia to opium dla ludu. Nie rozumiała, dlaczego partia uderza w jej kolegów, ale po latach pracy w służbach nauczyła się przyjmować z pokorą wolę przełożonych. Teraz było inaczej. Wstała i bez pożegnania skierowała się do drzwi wyjściowych. Zanim jednak do nich doszła, te otworzyły się i stanęło w nich dwóch milicjantów z kałasznikowami w rękach. Minęła ich bez słowa. Ugne przez chwilę odprowadzał wzrokiem Joannę, po czym odwrócił się i wyrzucił z siebie:

– Brawo, towarzysze, pięknie zagrane. – Sięgnął po kolejnego papierosa. – A kolega nie bierze udziału w przedstawieniu, robi za suflera? – Skinął głową w stronę Boraka.

Siwy w garniturze milczał. Raz na jakiś czas przez jego ciało przebiegał tik nerwowy, który powodował, że głowa mu podskakiwała. Tak też zareagował po słowach Galanta.

– Do ciebie zaraz wrócimy, towarzyszu Galant – odburknął Dukla. – Zanim to jednak nastąpi, chcielibyśmy porozmawiać z pańską koleżanką.

Ugne zaciągnął się mocniej i poczuł, że zaczyna się w środku gotować.

– Towarzyszko Romanowska, otrzymaliśmy komplet dokumentów personalnych z komendy w Gdańsku. – Dukla sięgnął do kolejnej teczki i ją otworzył. – Okazuje się, że nasza porucznik Barbara Romanowska jest wyjątkowo ambitną i zdolną funkcjonariuszką, ale niestety skrywa przed nami tajemnice.

Basia wpatrywała się w esbeka swoimi wielkimi oczami, skubiąc pod stołem skórę kciuka. Ugne czuł, że cała ta sytuacja zmierza w złym kierunku. I to w takim momencie. Zostało dwa dni do rocznicy śmierci Williama z Norwich. Wszystkie poszlaki wskazują na to, że celem jest katedra. Domyślają się, kto za tym stoi. Zamiast przewencyjnie pozamykać wszystkich członków Bractwa, marnują czas na formalne gadki z jakimś esbeckim łachem w towarzystwie tego ministerialnego wymoczka. W takim momencie kasują szefa zespołu? Rozwiązują zespół śledczych? Aż trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się przez przypadek.

– Dlaczego towarzyska nie poinformowała swoich przełożonych o tym, co się wydarzyło

w sierocińcu w Gdańsku? – Dukła uśmiechnął się pod nosem, kierując wzrok na piersi Romanowskiej.

Basia zbladła. Poczowała, jak jej dłonie stają się mokre od potu i zaczynają drżeć. Galant spojrział na Basię. Do czego ten skurwiel dąży?

– Przecież ja miałam wtedy niespełna trzynaście lat, ale skąd wy o tym...

– Oskarżyliście sojusznika, towarzysza radzieckiego, o to, że was molestował, tak? – Uśmiech nie schodził z twarzy esbeka.

– Co to, kurwa, jest? – Ugne wstał i rozłożył ręce.

– Ale on mnie... – Oczy Basi się zaszkliły.

– Wiem, co to jest syndrom sieroty; wiem, że oczekiwałyście, by ktoś zwrócił na was uwagę; domyślałam się, jak bardzo chciałyście pojechać do Związku Radzieckiego na obóz, ale żeby tak niewinnego człowieka... Zaraz, o co dokładnie go oskarżyłyście? – Pochylił się nad dokumentami. Basia schowała twarz w dłoniach.

Ugne nie czekał. Przeskoczył przez biurko, odepchnął Boraka, który zaskoczony nawet nie próbował go powstrzymać. Silnym kopniakiem przewrócił krzesło, na którym siedział Dukła. Ten upadł, ale momentalnie się podniósł.

– Straż! – krzyknął piskliwie w stronę podrywających się do biegu milicjantów.

Ugne doskoczył do niego, chwycił go za poły marynarki i wymierzył precyzyjne uderzenie bykiem w twarz mężczyzny. Nos Dukli eksplodował, a krew chlusnęła na białą koszulkę Galanta. Esbek poleciał na ścianę. Wiszący tam obraz spadł na podłogę. Zanim podbiegli do niego milicjanci, Ugne zdążył podnieść Dukłę i wyprowadził potężny podbródkowy. Uderzenie było na tyle silne, że gdy tylko pięść trafiła w szczękę mężczyzny, wyłamała mu dwie przednie jedyńki i pozbawiła świadomości. Esbek legł jak długi. Wszystko przebiegło tak szybko, że gdy Basia otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą nieprzytomnego Dukłę leżącego na ziemi z roztrzaskanym nosem. Nad nim stał Ugne w zakrwawionym podkoszulku, a w ich kierunku biegło dwóch strażników z bronią.

Milicjanci podbiegli do kipiącego z wściekłości Galanta i chwycili go za ręce. Brutalnie rzucili na biurko i założyli mu kajdanki. Borak podszedł bliżej i chwycił go za jasną grzywę. Podniósł mu głowę i wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Gratuluję, właśnie załatwiłeś sobie kilkudniowy wypoczynek w klatce na Kaszubskiej. – Mężczyzna przysunął się do Galanta i wyszeptał mu do ucha: – I zamknąłeś dochodzenie. Jesteś równie przewidywalny jak to, że w tym pierdolonym mieście zawsze pada. Już nie jesteście potrzebni. – Borak obrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia.

Ugne zacisnął szczęki i spojrział na Basię. Nie płakała. Nie okazywała żadnych emocji. Wyglądała na zdecydowaną, pewną siebie i zdeterminowaną. Ugne widział ją taką tylko raz, wtedy na Wzgórzu Kupały, gdy pomagała mu wydostać się z bunkra.

Borak otworzył drzwi i odwrócił się w stronę milicjantów i Romanowskiej.

– Wy dwaj zabierzcie go na dołek i przyślijcie tu jakąś pielęgniarkę, niech ocuci tego błazna. – Wskazał na leżącego pod ścianą Dukłę. – A wy jutro zameldujecie się w swojej macierzystej jednostce w Gdańsku – rzucił do Basi, ale patrzył w kierunku Galanta. – Tu już nie jest towarzyszka do niczego potrzebna. – Po tych słowach wyszedł.

Basia wstała i czekała, aż strażnicy pozbierają Galanta. Stanęli po jego obu stronach i zaczęli go ciągnąć za sobą, ale przychodziło im to z ogromnym wysiłkiem. On, blisko dwa metry wzrostu, milicjanci w okolicach metra siedemdziesięciu, i to w milicyjnych butach z grubą zelówką.

– Ruszaj się! – krzyknął do Galanta zasapany milicjant.

Ostatecznie Ugne zlitował się nad funkcjonariuszami. Opór w tej sytuacji był bezsensowny. Zrobił dwa kroki do przodu i spojrział bezsilnym wzrokiem w kierunku Romanowskiej. Gdy mijali stół, za którym stała Basia, ta błyskawicznie chwyciła krzesło, uniosła je i z całej siły uderzyła jednego z milicjantów w głowę. Mężczyzna osunął się na podłogę. Drugiego, zanim zdążył zareagować, podciął Galant. Upadając, mundurowy uderzył głową o kant biurka i momentalnie stracił przytomność. Basia kucnęła i wyciągnęła mu z kieszeni kluczyki od kajdanek. Podbiegła do Galanta i go rozkuła. Ugne chwycił ją i mocno przytulił do siebie.

– Przykro mi – wyszeptał.

Basia podniosła głowę i spojrzała w oczy Galanta. Były wilgotne. Położyła swoje drobne dłonie na

jego zarośniętej twarzy i stanęła na palcach, Ugne nie czekał, wpił się w jej usta i całował tak długo, aż oboje usłyszeli metaliczny dźwięk. Odwrócił się. To jeden z milicjantów ocknął się i próbował przyciągnąć do siebie kałasznikowa. Galant schylił się i wymierzył silny cios w jego potylicę. Głowa milicjanta opadła na podłogę. Ugne podniósł broń i złapał Basię za rękę.

– Wiesz, że teraz już nic nie będzie takie samo. – Uśmiechnął się szeroko i pociągnął ją za sobą w kierunku drzwi wyjściowych.

Ogień

Osiedle Głębokie, Szczecin, 23 marca 1968 roku

Stoewer przejechał przez chodnik i z piskiem opon zatrzymał się przed schodami głównymi teatru. Z terenówki wyskoczyli Ugne i Basia.

– Mamy mało czasu! – krzyknął do Basi, pchając ciężkie dębowe drzwi. – Tylko najważniejsze rzeczy: dowody, zdjęcia i notatki, zbieramy ekipę i jedziemy do mnie!

– Gdzie do ciebie? – Basia spojrzała zaskoczona na Galanta.

– Jak to gdzie?! Przecież nie do mieszkania. – Ugne stawiał wielkie susy, przeskakując co drugi stopień schodów. – Tam pewnie już wysłali patrol. Jedziemy do domu na Głębokie!

Oboje wpadli do głównej sali. Przy tablicy stali lwowiak i Młody. Jeden rysował kredą jakieś znaczki na tablicy, a drugi stał, przysłuchując się jego wywodom.

– Zbierajcie się! Zaraz tu będą! – Ugne wpadł do środka i zaczął zrywać zdjęcia z tablicy. – Pakujcie najważniejsze rzeczy do wozu!

– Co?! Co się stało? – Wajda rozłożył ręce i patrzył, jak Ugne zwija się jak w ukropie. – Dlaczego mamy się pakować?

– Zaraz tu będzie milicja, chcą aresztować Galanta. – Basia stanęła przy biurku i zaczęła z niego zbierać jakieś drobne rzeczy. – I zapewne również mnie.

Młody nie zastanawiał się, tylko zbiegł na dół do laboratorium i zaczął wrzucać do skrzyni próbki i dokumenty. Wiedział, że jeżeli on tego nie zrobi, to Wajda z pewnością nie zdąży.

– Dlaczego? Co zrobiliście? – Wajda stał jak sparaliżowany.

– Lwowiak, kurwa, rusz dupę, przyjdzie czas na wyjaśnienia! – Drewniana skrzynia, do której Galant wrzucał materiały, była już prawie pełna.

Z oddali doszedł ich dźwięk syreny milicyjnej.

– Co z Krauze? – Wajda ściągnął z wieszaka chlebak i otwierając kolejne szafki, wrzucał do niego jakieś urządzenia.

Ugne przystanął na chwilę. Dobre pytanie, pomyślał. Co z Aską? Nie ma dokumentów. Nie ma mieszkania. Właściwie to nie ma nic. Przez lata służyła wiernie jak pies temu choremu systemowi. Wyrzekła się wszystkiego. Zasad moralnych, rodziny, wiary i szacunku do samej siebie. A teraz? Porzucili ją jak zbędny bagaż. Tylko dlaczego teraz? Przecież mogli poczekać do końca śledztwa. Po co właściwie Borak przyjechał do Szczecina? Dlaczego się tak zaangażował? Przecież to wszystko nie trzymało się kupy. Tworzą specjalny zespół, by wyjaśnić przyczyny katastrofy, po czym gdy rozwiązanie jest tak blisko, kasują go. Kim właściwie jest ten Borak?

Wycie syren stawało się coraz donośniejsze.

– Dobra, wychodzimy! – Ugne chwycił skrzynkę pod pachę i pociągnął lwowiaka za sobą. – Baśka! – krzyknął do zbierającej teczki Romanowskiej.

Po chwili Ugne pakował kolejne przedmioty do bagażnika, była tam już broń i wyposażenie przeniesione przez Młodego z łazika. Spojrzał w niebo. Grantowa chmura nie zwiastowała niczego dobrego. Ściągnął dach, by zrobić więcej miejsca wskazującym pasażerom. Basia usiadła obok Galanta. Młody i Wajda wskoczyli na tył wozu. Ugne spojrzał za siebie. Od strony Buczka zamigotały niebieskie światła. Już są. Uruchomił silnik i ruszył w kierunku Głębokiego. Jechał pod prąd. Gdy minął Sorrento, ostro skręcił w prawo. Terenówka uderzyła w krawężnik i wylądowała na torowisku. Przez chwilę jechał po torach, po czym znowu skręcił w prawo i wskoczył przed ciężarówkę, której kierowca przyhamował i zatrafił.

– Dobra, dobra! – Ugne spojrzał w lusterko wsteczne. Czy mu się udało, czy go zauważyli? Przed „Pleciugę” zajechały dwa wozy milicyjne na sygnale. Z warszawy wyskoczyło trzech milicjantów w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmach i z kałasznikowami w rękach. Udało się! Wcisnęła pedał gazu. Gdy po kilku

minutach mijali po lewej fabrykę „Polmo”, na szybko pojawiły się pierwsze krople deszczu.

– Młody! Dach! – zawołał.

Kuba i Wajda odwrócili się i zaczęli szarpać z konstrukcją służącą do naciągania dachu. Pęd samochodu i padający deszcz nie pomagały. Po chwili, przy akompaniamencie jęków i stęków lwowiaka, mężczyznom udało się go założyć.

Ugne, trzymając jedną ręką kierownicę, drugą sięgnął pod fotel i wyciągnął wypitą do połowy butelkę wódki. Zębami wyrwał korek i wypluł na deskę rozdzielczą. Podniósł flaszkę, by każdy mógł ją zobaczyć.

– Ktoś chce? – Spojrzał w lusterko. Siedzący z tyłu mężczyźni pokręcili głowami. Basia obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

Ugne pociągnął z butelki dwa łyki i skrzywił się.

– Alkoholicy mają taką dziwną przywarę, że żyją i żyją, a do tego cieszą się odpornością jak karaluchy. – Ugne wyszczerzył się w stronę siedzącej obok kobiety, następnie sprawnie zakorkował butelkę. Spojrzał na siedzącą obok Basię i uśmiechnął się.

Samochód wskoczył na wiadukt, pod którym przejechał właśnie parowóz ciągnący za sobą cztery wagony pasażerskie. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce, na której wisiał wyraźny szyld Szczecin – Łęčno.

– To może łaskawie dowiemy się, dlaczego musimy siedzieć z tym chirusem[42] za kierownicą i jechać tą szwabską konserwą na jakiś wygwizdów? – Wajda wychylił się i oparł rękoma na przednich siedzeniach.

Ugne spojrział w lusterko wsteczne.

– Tylko nie szwabska konserwa...

Basia spojrzała do tyłu.

– Posłuchajcie, sytuacja się skomplikowała. – Próbowała mówić spokojnie i powoli, choć głos jej lekko drżał. – Ten dyrektor z MSW i Dukła rozwiązali nasz zespół i zamknęli sprawę. To nie wszystko. Chcieli aresztować Galanta – rzuciła spojrzenie na siedzącego obok niej mężczyznę – ale im w tym przeszkodziłam. Jak się domyślam, jesteśmy teraz osobami poszukiwanymi za przestępstwo...

– Tak. Czynna napaść. Kto narusza nietykalność cielesną funkcjonariusza publicznego lub osoby do pomocy mu przybranej podczas lub w związku z pełnieniem obowiązków służbowych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat trzech – wyrecytował z pamięci Kawalec.

Basia przez chwilę przyglądała się jego pocziwej twarzy. W co my pakujemy tego chłopaka? Spojrzała w lewo. Na płytę boiska WKS „Wiarus” wbiegła grupa chłopców. Mieli może po dziesięć lat. Wszyscy w czerwonych koszulkach z białą nazwą ich drużyny. Deszcz i rozmokła płyta boiska, która już przypominała grzęzawisko, w niczym im nie przeszkadzały. Starszy, łysiejący mężczyzna w bluzie dresowej podniósł gwizdek do ust i dmuchnął w niego z całej siły. Dzieciaki rzuciły się w pogoń za skórzaną piłką. Basia się uśmiechnęła. Minęli strzelnicę i tor crossowy. Gdy zbliżyli się do skrzyżowania z Arkońską, usłyszeli ryk syreny. Od strony Klonowica puły dwa wozy strażackie. Ugne zwolnił i je przepuścił.

– Gorący dzień – skomentował pod nosem i dodał gazu.

Gdy zbliżali się do skrzyżowania Miodowej z Zegadłowicza, odezwał się Młody.

– Hej, patrzcie tam po lewej. – Wyciągnął dłoń i wskazywał punkt przed sobą. – Gdzieś się pali!

Wszyscy spojrzeli w miejsce, które wskazał chłopak. Od strony jeziora unosiły się kłęby ciemnego dymu. Ugne przeszedł dreszcz. Wrzucił niższy bieg i przycisnął jeszcze mocniej pedał gazu. Odrzucał teraz wszystkie złe myśli, ale wiedział, że instynkt go nie myli. Na pełnej szybkości skręcił w lewo i wjechał w szutrową, błotnistą ulicę. W samochodzie zapanowała cisza. Smród spalenizny wypełnił kabinę wozu. Stoewer podskakiwał na wybojach i ślizgał się na mokrej powierzchni. Ugne wyminął kilka mniejszych wozów straży pożarnej, biegnących gapiów i wjechał w las, nie zważając na gałęzie, które teraz objęły się o maskę samochodu.

– O Jezu... – Szept Młodego zmaćcił głuchą ciszę panującą w wozie. – Przecież to jest dom...

Las był wypełniony czerwonymi świetlikami, które tańczyły rzucane podmuchami wiatru. Samochód zatrzymał się przed tym samym domem, w którym jeszcze kilka dni temu siedzieli przed kominkiem i planowali kolejne działania. Teraz przypominał rozpaloną pochodnię. Strażacy stali z wycelowanymi w stronę płonącego dachu sikawkami i kierowali strumienie wody przed siebie. Nieustannie padający deszcz

powodował, że grzęźli w kałużach błota.

Ugne wyskoczył z wozu i podbiegł do furtki, która prowadziła na posesję. Jakiś strażak próbował go powstrzymać, ale ten odepchnął go i zaczął się szarpać z metalową kłamką. Poślizgnął się i przewrócił. Chwycił się metalowej siatki, ale od płonącego domu bił taki żar, że musiał się cofnąć. Nie wstawał. Odpychając się nogami, brodził w błocie, próbując odpełznąć choć na kilka metrów od parzącego powietrza. Po chwili podbiegł do niego lwowiak. Na jego twarzy rysowało się przerażenie. Odwrócił się w stronę jednego z wozów strażackich, zrobił kilka kroków i sięgnął po strażacki topór, który porzucił jakiś strażak. Jednym silnym uderzeniem roztrzaskał łańcuch wiszący na bramce. Kopnął metalowe drzwiczki i wbiegł na teren posesji.

– Człowieku, gdzie tam, kurwa, leziesz?! – krzyknął próbujący zapanować nad strumieniem wody stojący najbliżej nich strażak.

Wajda nawet się nie odwrócił. Wbiegł na ganek i z całej siły zaczął uderzać toporem w drzwi.

– Nie! Nie rób tego!

Topór przebił drzwi, tworząc w nich wyrwę. W tym samym czasie potężny słup ognia wydostał się z pomieszczenia, odrzucając drzwi wraz z lwowiakiem kilka metrów dalej. Czerwone jęzory płomieni wydostały się na zewnątrz, oplatając budynek płonąca kokardą, by po chwili pełznąć po ścianach i walczyć z coraz silniejszym deszczem.

Basia z Młodym podbiegli do nieprzytomnego lwowiaka. Miał osmoloną twarz i nie dawał oznak życia. Galant podniósł się i podbiegł do leżącego przyjaciela. Ukłął przy nim. Położył dwie dłonie w okolicach mostka, zaczął rytmicznie uciskać mu klatkę piersiową. Po kilku uciskach lwowiak otworzył oczy i nabrał głęboko powietrza. Ugne uśmiechnął się i usiadł na ziemi. Do mężczyzn podbiegło dwóch ludzi w białych kitlach. Po chwili położyli lwowiaka na noszach, żeby zanieść do karetki. Ugne szybko sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów i wyciągnął z niej skrawek papieru. Wcisnął go lwowiakowi w otwartą dłoń. Zamknął ją i powiedział mu coś na ucho. Basia podeszła do jednego z pielęgniarzy.

– Dokąd go zabieracie? – zapytała ścisłym głosem.

– Na Arkońską – odpowiedział młody chłopak, który raczej wyglądał na stażystę w pobliskim szpitalu niż doświadczonego lekarza.

Karetką na sygnale ruszyła w stronę miasta. Basia, Ugne i Młody usiedli na ziemię i oparli się o nadkole jednego z wozów strażackich. Nie rozmawiali, siedzieli tylko ze spuszczonej głowami. Deszcz przerodził się w prawdziwą ulewę.

Po kilku godzinach ogień przygasł, wyrzucając ogromne kłęby jasnego dymu, który wznosił się nad pogorzelskiem i lasem. Wokół zgromadziło się sporo gapiów, a po chwili podjechał wóz patrolowy. Milicjanci, którzy wyskoczyli z warszawy, od razu zajęli się tłumem, który trzeba było uspokoić i rozgonić do domów.

Ugne podniósł głowę i spojrzał w stronę pożogi. Właściwie wiele się nie zmieniło. Tylko te osmalone ściany elewacji, stopione szyby, wyrwane drzwi i dziura w dachu świadczyły o tym, że jeszcze przed chwilą budynek był trawiony jęzorami ognia. Bał się wejść do środka. Wiedział, co tam na niego czeka. Bestia znowu się upomniała o bliską mu osobę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął piersiówkę i przechylił. Zadbął, by każda kropla wódki trafiła do gardła. Potrząsnął nią jeszcze kilka razy i rzucił przed siebie. Wyjął zmiętą paczkę papierosów, ale wszystkie były mokre. Zgniół je w dłoni i wyrzucił. Poczł lekkie mrowienie w palcach. Gdzie była, gdy zaczął się pożar? Czy jej zwłoki leżą spętane gdzieś na spalonej kanapie? Czy może zamknęła ją w łazience i tam umarła od zaccadzenia? Nie miał wątpliwości, że to zrobili. Zabili ją. Kim są ludzie, którzy posuną się do usmażenia kobiety w ciąży? Na chwałę jakiego boga posuwają się do takiego bestialstwa?

Basia wstała pierwsza. Poprawiła mundur. Gest ten właściwie był zbędny, bo bluza była cała utyłana w błocie. Brakowało kilku guzików, a jedna z kieszeni wisiała na kilku ostatnich szwach. Twarz miała czarną od sadzy. Tylko czerwone usta i wielkie brązowe oczy wskazywały, że kobieta, która przed nim stoi, to Basia. Jego Basia.

– Musimy to zrobić. – Odchrząknęła i ruszyła powoli w stronę spalonego domu.

Przestało padać. Na kąpielisku nieopodal zapaliły się pierwsze latarnie miejskie. Strażacy zaczęli pakować sprzęt. Niektóre wozy z rykiem silników ruszały z miejsca. Ugne podał rękę Młodemu i pomógł mu wstać, poklepał go po plecach i pchnął do przodu.

– Gdzie ją znaleźliście? – zapytał jednego ze strażaków.

Strażak chwilę patrzył na niego. Był niższy o głowę od Galanta. Miał twarz czarną od sadzy i mokrą od potu lub wody, która ściekała teraz z każdego miejsca w budynku. Ściągnął hełm i przełożył go sobie pod ramię. Ugne wiedział, co to oznacza.

– O czym pan mówi?

– O kobiecie, a właściwie zwłokach kobiety... – odpowiedział cicho Ugne.

– W środku nikogo nie było – odparł strażak i wyszedł z budynku.

Ugne poczuł, jak serce przestaje mu bić. Wszystko się zatrzymało. Złapał głęboki oddech i ruszył do przodu. Wyprzedził Basię i wbiegł po schodach na górę. Musiał sam się przekonać. W miejscu, gdzie kiedyś była sypialnia, zionęła teraz wielka, czarna otchłań. Na podłodze, tam gdzie stało łóżko, znajdowała się wielka kałuża brunatnej wody, a pośrodku niej powyginana metalowa rama w kolorze rdzy. Wcześniej śnieżnobiałe ściany pokrywała brunatna maź, po której spływała wciąż sącząca się z góry woda. Ugne przełknął ślinę i pobiegł do kolejnego pomieszczenia. Wszystko wyglądało podobnie. Jednak ciała nie było. Zbiegł na dół. Basia zadarła głowę i spojrzała na niego pytająco.

– Nie ma jej! – krzyknął. Basia schowała twarz w dłoniach.

– Czy wy jesteście z kryminalnej?

Ugne odwrócił się w kierunku, z którego dochodził głos. Mężczyzna stał w drzwiach prowadzących do piwnicy. Ubrany był w bluzę moro i miał czapkę na głowie. Dwie gwiazdki i belka świadczyły o tym, że musi być wyższym rangą oficerem straży pożarnej.

– Tak – odparł Ugne.

– Jamroz jestem. Pozwólcie ze mną.

Piwnica. Kurwa, piwnica. Jeszcze tam nie sprawdzili. Niepotrzebnie wzniecał w sobie tę okrutną nadzieję. Zawsze go zawodziła.

Wchodząc, musiał mocno się pochylić, bo stropy były nisko zawieszzone. Gdy zeszli na dół, w końcu mógł się wyprostować. Zwisająca z sufitu żarówka słabo oświetlała wnętrze. W pomieszczeniu nic się nie zmieniło. Przy ścianie stały stojaki na wino. A po drugiej stronie, na całej długości ściany, znajdowały się półki ze słoikami.

– To było podpalenie – zwrócił się do niego Jamroz. – W salonie znaleźliśmy kanistry po benzynie. Dziwne, że nawet nikt nie starał się tego ukryć.

Bo nie muszą, pomyślał Galant. Oni nic nie muszą. Rządzą tym krajem, więc kogo mają się bać?

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiem, ale mam wrażenie, że pan będzie wiedział, o co z tym chodzi...

– Z czym?

– Z tym. – Mężczyzna wyciągnął rękę, w której trzymał latarkę i skierował snop światła nad siebie. Ugne powędrował wzrokiem za ręką mężczyzny.

Punktowe światło latarki oświetliło napis wykonany czerwoną farbą. Ugne przeczytał na głos.

Kobieta brzemienna ofiarę poniesie, gdy pierwszy promień Dnia Odkupienia w świątyni Pana ołtarz z ciemności wyzwoli.

– Świeża sprawa. Musiał to napisać ten sam człowiek, który podpalił obiekt – dodał strażak. – Tylko skąd wziął tyle krwi?

– Krwi? – Ugne zbladł.

[42] chirus (gw. lwowska) – pijak

Plebania

Osowa, Szczecin, 23 marca 1968 roku

Wskoczyli do wozu. Ugne przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zaterkotał. Włączył światła pozycyjne. Dwa jasne snopy oświetliły zgliszcza budynku. W samochodzie panowała przeraźliwa cisza. Ugne sięgnął po paczkę papierosów leżących na desce rozdzielczej. Zgrzyt kamieni w zapalnicze i pomarańczowy ogień rozświetlił kabinę stoewera. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Skoro blacharze jeszcze tu nie zjechali, znaczy, że nie mają pojęcia o tej miejscówce. – Wydmuchnął dym, otworzył okno i splunął. – To nie Dukla.

– Co robimy? – spytał szeptem Młody, jakby nie chciał zakłócać toku myślowego Galanta.

– Jeżeli to nie esbecy, to kto mógł wiedzieć o domu na Głębokim? Przecież tam nawet nie ma nigdzie mojego nazwiska?

– Może to Bractwo jest mocniejsze, niż myślimy? – wtrąciła Basia. – Może naprawdę tu chodzi o jakieś żydowskie porachunki?

Ugne spojrział na Basię. Nawet z buzią osmaloną sadzą, bluzą wyglądającą jakby ściągnęła ją pod monopolowym z jakiegoś menela, wyglądała z klasą. Wciąż wierzyła. Ukrywała to. Jednak wciąż wierzyła, że ten pierdolony system jest najlepszy. Miała wryte w podświadomość, że ludzie w partii mogą popełniać błędy, ale nie partia. Nie ma lepszej drogi niż socjalizm. Nawet teraz mówiła językiem tych ludzi, którzy w imię własnych interesów krzywdzą innych. Dziś Żydów, jutro pedałów. Była naiwna, ale w tej swojej naiwności w przedziwny sposób niewinna. W tym sierocińcu z pewnością wydarzyła się jakaś straszna rzecz, która miała wpływ na jej życie. Czy ma z nią o tym porozmawiać? Ale jak o tym rozmawiać? Jak Basia zareaguje? Nieraz się zastanawiał, skąd czerpie tyle siły. Skąd bierze się ta moc w tak wątłym ciele? Może się tylko domyślać, jak trudną drogę musiała przejść i ile wysiłku musiała włożyć w to, by znaleźć w swoim życiu jakieś światło. Najważniejsze, że jest obok niego.

Rozważania Galanta przerwał pisk hamulców samochodu, który zatrzymał się tuż za nimi. W ciemności trudno było rozpoznać markę. Światła reflektorów oświetliły wnętrze stoewera. Ugne sięgnął po broń. Przeladował i położył na udzie. W pewnym momencie usłyszał pukanie w szybę. W ciemności trudno było określić, kto stoi na zewnątrz. Powoli otworzył okno, trzymając prawą dłoń na swoim P-64. Przez otwarte okno do środka wetknęła głowę... kobieta. Dopiero po chwili do wszystkich dotarło, że to Krauze.

– Dobry wieczór, towarzysze – powiedziała w tym swoim flirciarskim stylu, który szczególnie drażnił Basię. – Czekaliście na mnie?

Ugne uśmiechnął się i schował pistolet do kabury.

– Wsiadaj!

Joanna wrzuciła torbę sportową do tyłu samochodu i usiadła obok Młodego.

– Możemy jechać! – Klepnęła Galanta w ramię. – Dzięki moim przełożonym miałam chwilę, aby zrobić rachunek sumienia, i zdecydowałam, że przed wyjazdem zamknę kilka spraw.

Ugne spojrział w lusterko wsteczne. Krauze miała zaciśnięte usta i patrzyła w jeden punkt przed sobą.

– Zanim pożegnasz zmyry przeszłości, pomożesz nam uratować kilku dobrych chrześcijan.

Wrzucił wsteczny bieg i wycofał. Po chwili pruć szutrową Majową, by zaraz wskoczyć na asfaltową Zegadłowicza. Na skrzyżowaniu z Wojska Polskiego skręcił w lewo w Miodową. Droga prowadziła pod górę. W ciemności tańczyły światła reflektorów stoewera, oświetlając wąską ścieżynkę prowadzącą przez ciemny las.

– Dokąd jedziemy? – W głosie Basi dało się słyszeć lekką niepewność. – Mam nadzieję, że nie chcesz zrobić jakiegóż głupoty...

Basia domyślała się, co on zamierza. Zbyt dobrze go znała. Gdyby nie procedury, sama by tak

postąpiła. Ugne sięgnął do skrzyni pod fotelem kierowcy i wyciągnął butelkę wódki.

– Nie, Ugne, nie teraz. – Basia położyła mu dłoń na udzie i spojrzała na niego tymi wielkimi piwnymi oczami. Ugne uśmiechnął się do niej i skierował flaszkę do ust. Przez chwilę siłował się z korkiem. Wyrwał go zębami i wypluł na deskę rozdzielczą. Pociągnął dwa głębokie łyki i podał do tyłu.

– Ktoś chętny?

Młody z Joanną spojrzeli na siebie. Krauze wyciągnęła rękę po butelkę.

– Właściwie co nam pozostało. – Lekko przechyliła butelkę i upiła trochę. Skrzywiła się i przekazała flaszkę Kubie. Ten chwilę się jej przyglądał, po czym westchnął i oddał ją Basi. Romanowska otworzyła okno i wyrzuciła ją na zewnątrz. Butelka poszybowała w ciemność.

– Coś ty zrobiła?! – Ugne obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

– Wiem, co planujesz. – Basia patrzyła przed siebie. – Jeżeli do tego dojdzie, chcę, żebyś był świadomy...

– Co planuje? – zainteresowała się Krauze.

– Niech sam ci powie.

– Krauze, jak na rasowego esbeka przystało, powinnaś zauważyć, że nie wszyscy są w wozie. – W jego głosie słychać było irytację.

– Przepraszam, nie było czasu... Gdzie jest lwowiak i co się stało z...

– No właśnie. – Ugne wyciągnął papierosa i go zapalił. – Domyślam się, kto wie.

Stoewer szybko pokonał blisko dwukilometrowy odcinek leśnej drogi, po czym wjechał do niewielkiej wsi. Niskie stare ponemieckie domy wychodziły niemalże na ulicę. Minął sklep monopolowy i po kilkuset metrach ostro skręcił w lewo. Wszyscy znali to miejsce. Osowa. Stoewer przejechał przez pusty plac i zatrzymał się tuż przed wejściem do kościoła.

– Młody, przypomnij mi jeszcze raz, co tam było napisane. – Ugne otworzył okno i zaciągnął się głęboko papierosem.

– Kobieta brzemienna ofiarę poniesie, gdy pierwszy promień zwiastujący Dzień Odkupienia w świątyni Pana ołtarz z ciemności wyzwoli – powoli wyrecytował Kawalec.

– O której wszędzie słońce dwudziestego piątego marca? – Spojrzał w lusterku wstecznym na Kawalca.

– No, jakoś tak około szóstej...

– Kurwa! Około szóstej to możemy mieć trupa ciężarnej rozciągniętego na jakimś ołtarzu w byle wiejskim kościele. Czy możesz łaskawie być bardziej precyzyjny?

Młody chwilę przeliczał coś w głowie.

– Według moich obliczeń wschód słońca nastąpi o godzinie... piątej pięćdziesiąt dwie.

– Pewny jesteś?

– Tak!

Ugne sięgnął po latarkę. Włączył ją, a światło skierował na cyferblat zegarka.

– Jest pierwsza trzydzieści siedem. Zostało nam niespełna dwadzieścia osiem godzin. – Ugne zaciągnął się papierosem. Potrzebował krótkiej chwili, by pozbierać myśli. – Po pierwsze musimy się dowiedzieć, gdzie przetrzymują Żenię. To jest najważniejsze. Nie możemy czekać, aż ją przykują do jakiegoś betonowego stołu w kościele, bo wtedy już nic nie zrobimy. Po drugie, musimy dokładnie się dowiedzieć, co to pierdolone Bractwo zamierza zrobić w katedrze. Po trzecie, jeżeli okaże się prawdą to, co przypuszczamy, musimy poznać wszystkie szczegóły tej operacji. Czyli: w jakich miejscach zainstalowali ładunki? Ilu mają ludzi? Jak wygląda ich droga ucieczki? No i po czwarte: kim oni są i kto za nimi stoi?

– Tylko tyle? – Krauze się zaśmiała. – I jak zamierzasz tego dokonać, Sherlocku?

– Chodzi mi jeden pomysł po głowie. – Ugne wyłączył silnik i wyskoczył ze stoewera. Przebiegł kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się przed ogrodzeniem plebanii. Pasażerowie w milczeniu, jak widzowie w teatrze pantomimy, przyglądali się temu, co robi. Galant w pewnym momencie podskoczył i zawiesił się na ogrodzeniu, wyciągnął rękę przed siebie, chwycił kawałek siatki, przytrzymał się i po drugiej stronie zeskoczył na ziemię. Schylił się i podniósł z trawy spory kamień. Dwoma silnymi uderzeniami wyłamał zamek w drzwiach. Odrzucił kamień, otworzył szeroko drzwi i wbiegł do środka. W samochodzie zapadła konsternacja. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Ostatecznie milczenie przerwała Basia.

– Znowu bez zgody prokuratora... – wyszeptała pod nosem, wysiadła z samochodu i pobiegła

w stronę plebanii.

– Ty zostajesz. – Joanna powstrzymała Młodego, który właśnie zamierzał biec za Basią. – Siedzisz tu i masz oczy dookoła głowy.

Młody niechętnie na to przystał. Krauze sięgnęła do skrzyni znajdującej się pod fotelem pasażera i chwilę w niej gmerała.

– Tu się ukryłeś – powiedziała cicho i przez chwilę przyglądała się znaleźniku. To był młotek ciesielski ze stalowym trzonkiem. Zważyła go w rękę i uśmiechnęła się do siebie. Cicho otworzyła drzwi stoewera i pobiegła w kierunku plebanii. Przed samym wejściem do budynku przykucnęła i skręciła w prawo, by po chwili zniknąć w ciemności.

Ugne przeszedł przez długi korytarz i zaczął wbiegać po schodach do sypialni znajdującej się na piętrze, gdy nagle wyrósł przed nim mężczyzna z pogrzebaczem w rękę. Był równie wysoki jak on, jednak dwa razy szerszy i lepiej zbudowany. Galantowi przeszło przez myśl, że to nie może być przypadek. Musiał na niego czekać. Cofnął się dwa kroki. Ciekawe, czy jest sam? Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując równe, jakby spiłowane, żółte zęby.

– No i pojawił się w końcu nasz budrys, psia mać. – Wielkolud przerzucił pogrzebacz z jednej ręki do drugiej.

Ugne przez lata ćwiczył boks. W młodości reprezentował nawet Stettin na mistrzostwach Niemiec młodzików. Tyle że to było dwadzieścia lat temu. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli dojdzie do wymiany ciosów, nie ma szans. Ale miał wciąż jedną przewagę. Jego umysł w sytuacjach stresowych pracował kilka razy szybciej niż przeciętnego Kowalskiego. Instynktownie przestawiał go w „tryb szachownicy” i rozgrywał partię na biało-czarnych polach. Tak się stało i tym razem. Jego celem był mat w trzech ruchach. Adrenalina zaczęła pompować krew do mózgu. Obejrzał się za siebie. Ciemny korytarz. Żywej duszy. Dobrze, pomyślał. Jesteśmy sami. Spojrzał do góry. Sufit był za wysoko. Kątem oka zobaczył, że na ścianie wisi metrowej długości drewniany krzyż. Mężczyzna schodził ze schodów i machał przed nim pogrzebaczem. Ugne powoli stawiał kroki. Spojrzał na schodki, na których rozłożony był dywanik. Wąski pasek materiału, zapewne importowanego z Turcji, ciągnął się od parteru na samą górę. Poszurał butami. Materiał leżał luźno. Podniósł głowę. Byli mniej więcej w połowie schodów. Ugne wyprostował się i stanął w miejscu. Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Zmęczyłem się. Przerwa na fajkę?

Wielkolud najwyraźniej nie miał poczucia humoru, bo ruszył w kierunku milicjanta, rycząc jak wściekły dzik. Zeskoczył z dwóch schodków i zamachnął się pogrzebaczem, tak by trafić Galanta w głowę. Gdy metal już dosięgał jasnych włosów milicjanta, ten błyskawicznie się pochylił i z całej siły pociągnął dywanik do siebie. Mężczyzna, który właśnie miał postawić nogę na materiale, siłą rozpędu wyrzucił nogi przed siebie i runął na plecy. Gruchnęło. Ugne w tym czasie podskoczył i zerwał ze ściany drewniany krzyż. Upadając na ziemię, zamachnął się i z całej siły walnął w głowę rozłożonego na schodach napastnika. Pogrzebacz wypadł wielkoludowi z dłoni, a głowa uderzyła o schodek. Ugne zrobił dwa kroki do tyłu. Zauważył, że spod czaszki mężczyzny rozlewa się czerwona strużka. Pochylił się i przyłożył mu dwa palce do tętnicy szyjnej. Chwilę pozostał w tej pozycji, po czym uśmiechnął się i ruszył ponownie do góry.

Wbiegł na piętro. Było ciemno. Wymacał włącznik, ale światło się nie zapaliło. Dziwne, pomyślał. Najwyraźniej partia szachów nie dobiegła końca. Wyciągnął latarkę i oświetlił nią drzwi. Delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z charakterystycznym skrzypieniem.

* * *

Basia weszła do środka. Odwróciła się jeszcze, by sprawdzić, kto został w samochodzie. W środku siedział tylko Młody. Najwyraźniej Krauze postanowiła dołączyć. Poczowała się trochę pewniej, gdy pomyślała o wsparciu. Rozejrzała się po podwórzu, lecz nigdzie nie zauważyła Joanny. Może pobiegła od drugiej strony. Zrobiła kilkanaście kroków do przodu i o mało nie potknęła się o coś dużego. Kucnęła. To był mężczyzna. Niewielka plama krwi obok jego głowy nie pozostawiała wątpliwości, do czego tu doszło. Dla Basi nie było to nic nowego. Tam gdzie pojawiał się Galant, tam były albo trupy, albo prawie trupy.

Sprawdziła mu puls. Żył. Spojrzała w górę. Na schodach panowała ciemność. Nie była przekonana, czy aby na pewno chce tam wejść. Minęła balustradę i skierowała się na wprost. W korytarzu znajdowało się dwoje drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, które otworzyć. Zdecydowała, że sprawdzi te po prawej.

Otworzyła je i oniemiała. Zobaczyła wielki krzyż wiszący na przeciwległej ścianie, a na nim figurkę chłopca w miejscu zarezerwowanym zazwyczaj dla ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa. W pomieszczeniu nie było okna, ale blask wysokich świec ustawionych po obu stronach kanapy stojącej na samym środku pokoju rzucił niepokojące cienie. Zanim dotarło do Basi, co tak naprawdę widzi, przeszło jej jeszcze przez myśl skojarzenie z dzieciństwa, gdy z matką i ojcem chodzili na niedzielne sumy. Ministranci zapalali takie same świece tuż przed początkiem mszy. Po chwili dotarło do niej, że na skórzanej kanapie siedzi czterech mężczyzn. Na głowach mieli czarne worki z wyciętymi otworami na oczy i usta. Wpatrywali się w nią bez słowa. Chciała sięgnąć po broń, ale poczuła ciepły oddech na swojej szyi i już wiedziała, że nie zdąży nic zrobić.

* * *

Młody nie był szczęśliwy, że musi siedzieć w tym, jak to nazywał lwowiak, poniemieckim złomie. Przez całe jego życie było zawsze tak samo. Albo na nic mu nie pozwalano, dbając o jego bezpieczeństwo, albo go lekceważono. Za wszystkim rzecz jasna stały dobre intencje i troska. Rodzice byli szczególnie przeczuleni na tym punkcie. Nie dziwota. Gdy udało im się w końcu wyrwać z białoruskiej wsi, najpierw koczowali przez dwa tygodnie na dworcu w Mińsku, czekając na wyjazd do Polski, a później przetrwali dwadzieścia jeden dni, podróżując w listopadzie w otwartym wagonie bydłęcym jadącym przez pół Polski. Gdy zatrzymali się na dworcu niewielkiego miasteczka o nazwie Pырzyце, jakieś sto kilometrów od celu podróży, jakim był Szczecin, Kuba Kawalec zdecydował się ostatecznie powitać ten nieznany ziemski padół. Cóż, życie i zdrowie małego było najważniejsze. Rodzice Kawalca zdecydowali się więc pozostać w miejscowości oddalonej od Pырзыце godzinę drogi bryczką. Trafili do Barlinka, a właściwie Berlinchen. Taka nazwa wisiała na szyldzie spalonej stacji kolejowej. Później rodzice mu opowiadali, że gdy wjeżdżali do miasteczka, to sowieccy żołnierze, których mijali po drodze, robili sobie pamiątkowe fotografie, zakrywając ostatnie cztery litery na szyldzie.

Kuba na studia chciał wyjechać do Warszawy, ale według matki bezpieczniej było w Szczecinie. Nie protestował i rozpoczął studia na Politechnice Szczecińskiej zamiast na wymarzonej Politechnice Warszawskiej. Zawsze szedł na ustępstwa. A teraz siedzi w tej poniemieckiej puszczy, zamiast uczestniczyć w poważnej akcji. Był sfrustrowany. Sięgnął do klamki. Wysiadł z wozu i głęboko odetchnął świeżym i rześkim powietrzem. Przeszedł parę kroków i stanął przed bramą kościoła. Przez chwilę wpatrywał się w nią, zastanawiając się, czy wejść do środka, ale poczuł, jak lodowaty podmuch szarpie jego kurtkę, i zdecydował o powrocie do stoewera. Usiadł za kierownicą i spojrzał od niechcienia w lusterko wsteczne. W odbiciu zamajaczyła twarz mężczyzny, który świdrował go jednym okiem. Młody zamarł z przerażenia.

* * *

Ugne wszedł do środka ciemnego pomieszczenia. Pierwszy snop światła latarki padł na łóżko. Było puste. Skierował światło na komodę, potem szafę, następnie okna. Wszystko na swoim miejscu. Wyglądało na to, że nie ma tu żywej duszy. W pewnej jednak chwili zatrzymał się. Zdawało mu się, że w kącie sypialni coś się poruszyło. Gdy snop światła powędrował w kierunku ciemnego kąta, niespodziewania wyskoczył z niego mężczyzna. Galant cofnął się odruchowo, ale wtedy poczuł, jak ktoś zarzuca mu na szyję pętlę. Przechylił się całym ciałem do tyłu i wyprowadził potężnego kopniaka w kierunku pędzącego w jego stronę napastnika. Ten momentalnie zgiął się wpół. Pętla na szyi Ugne coraz bardziej się zaciskała. Oczyma wyobraźni snuł najczarniejsze scenariusze, w których struna garoty wchodzi w jego szyję jak nóż w masło, przecina mu mięśnie, a krew tryska, zalewając biały podkoszulek, tworząc na nim brunatną plamę. Ale to nie była struna, tylko sznur. Na szczęście. Przez chwilę próbował jeszcze wyswobodzić się z uścisku, jednak czuł, jak z każdą sekundą traci siły. Przymknął oczy na sekundę, uniósł powieki – raz i drugi. Po chwili pokój zamienił się w jedną ciemną plamę i poczuł, jak otula go nieświadomość, stracił przytomność.

Piwnica

Osowa, Szczecin, 24 marca 1968 roku

Ugne otworzył oczy. Ból rozsadał mu czaszkę. Uderzył go smród zgnilizny zmieszany z zapachem potu. Dygotał z zimna. Nic nie widział. Zrozumiał, że ma coś na twarzy. Worek? Przez jutę powoli zaczął dostrzegać kontury przedmiotów. Bezskutecznie próbował ruszyć rękami i nogami. Zaczęło do niego docierać, że leży skrępowany. Pod sufitem dostrzegł małe okienko. Skoro je widzi, musi to oznaczać, że już jest dzień.

Zaczął sobie przypominać wydarzenia z wczorajszej nocy. Pułapka? Dlaczego tego nie przewidział? Co z resztą? W pewnym momencie dotarł do niego jakiś szelest.

– Kto tu jest? Basiu, to ty?

– Nie – odpowiedział męski głos. – Kawalec.

– Dobrze, że żyjesz, Młody. Jesteś sam? Nic ci się nie stało?

– Nic nie widzę i boli mnie łeb.

Nagle w innej części piwnicy ktoś zaczął kaszleć.

– Basia, to ty?

– Tak.

Ugne odetchnął. Nie jest źle. Żyją.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała drżącym głosem Basia.

– Najprawdopodobniej w piwnicy plebanii. Wszystko wskazuje na to, że towarzystwo od Świętego Williama czekało na nas od dłuższego czasu. Wiedzieli, że spalenie domu i porwanie Żeni musi nas doprowadzić do tego miejsca. Tylko dlaczego, do kurwy nędzy, tego nie przewidziałem?

– Może dlatego, że jesteś ciągle na rauszu... – wysyczała Basia.

Galant przełknął ślinę.

– Fakt, napiłbym się czegoś... – Wiedział, że jeszcze bardziej zirytuje tym wyznaniem Romanowską. – No dobra, brakuje tu jeszcze jednej osoby. – Ugne zaczął szurać swoimi długami nogami po podłodze z nadzieją, że natknie się na skrępowaną Joannę.

– Kapitan Krauze wyszła z samochodu zaraz po tym, jak wybiegła porucznik Romanowska. – Donośny głos Młodego kontrastował z formą, z jaką się wypowiadał o przełożonych. – Wzięła ze sobą młotek i ruszyła do plebanii, ale nie weszła głównym wejściem, tylko... – Młody przez chwilę zastanawiał się, jak to określić – gdzieś zniknęła.

– Gdzieś zniknęła? – Basia podniosła głos. – Uciekła?

– Nie wiem, bo... kucnęła i już jej nie widziałem.

– Trudno. Pomyślmy, jak możemy się stąd wydostać. – Galant próbował wymacać rodzaj materiału, z którego wykonany jest węzeł, oraz do czego jest przywiązany. – Sprawdźcie, czy macie możliwość uwolnienia się. Mówcie też głośno, co widzicie, co wyczuwacie, jaki materiał? Miejsce, w jakim jesteście, na jakim podłożu siedzicie? Wszystko może mieć znaczenie.

Nagle usłyszeli odgłos ciężkich wojskowych butów. Po chwili dotarł do nich dźwięk klucza, który walczy ze starym zamkiem u drzwi. Skrzypienie zawiasów. Ugne skupił się na wszystkim, co docierało do jego uszu. Te ciężkie kroki musiał stawiać mężczyzna. Kawał chłopca, pomyślał. W tym samym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie, ktoś stanął pośrodku i postawił coś na podłodze.

– Jak się władza ludowa bawi? – usłyszeli głos z mocnym wschodnim akcentem. – Spokojnie, nie wrywajcie się aż tak do odpowiedzi. – Po dźwiękach, które wydawał, można się było domyślić, że podniósł jedną z rzeczy, którą przyniósł ze sobą. – Pewnie jesteście spragnieni? Dobry katolik nie pozostawia potrzebujących bez pomocy.

Nagle Młody zaczął krzyczeć jak poparzony, a po chwili dołączyła do niego Basia. Galant usłyszał

odgłos, jaki wydaje woda rozpryskująca się na betonie. Domyślił się, co go czeka. Zagryzł zęby i poczuł, jak lodowata woda zalewa jego ciało. Przyjął to w milczeniu, czym lekko zdezorientował oprawcę.

– To ty taki gieroj.

Nagle poczuł potężne uderzenie, które odrzuciło go na ścianę. Worek spadł mu z głowy. Gdy się ocknął, zobaczył przed sobą potężnego mężczyznę w czarnym swetrze i z czarnym workiem na głowie, w którym wycięto otwory. Zanim wielkolud ponownie go dopadł, zdążył rozejrzeć się po pomieszczeniu. To była zwykła piwnica. Po jednej stronie leżała góra ziemniaków. Duża część zgniłych. Zapewne stąd ten smród, przeszło Galantowi przez myśl. Po drugiej stronie znajdowała się ściana z czerwonej cegły. W jednym kącie leżała Basia, w drugim Kawalec. Oboje byli przywiązani do rury, która wychodziła ze ściany i biegła po podłodze. Znał te piwnice. Z tyłu musiało być jeszcze jedno pomieszczenie, w którym stał piec. W ścianie naprzeciwko znajdowało się małe okienko wychodzące na ogród. Było uchylone. Odwrócił się. Leżał pod drewnianymi drzwiami. Za nimi ciągnął się oświetlony korytarz i schody prowadzące na górę. Mężczyzna pochylił się, podniósł jutowy worek i nałożył mu z powrotem na głowę.

– Jak już się napiliście, to mam dla was dwie wiadomości. – Mężczyzna sapał. – Przeżyjecie, bo wuj nie pozwala zabijać psów. Zostaniecie wypuszczeni po zakończonym dziele.

Znowu ten wuj. Ugne próbował sobie przypomnieć, gdzie już spotkał się z tym sformułowaniem.

– Druga wiadomość nie jest tak dobra. – Mężczyzna zarechotał. – Musicie nas przekonać, że nie macie pojęcia, w co się wpakowaliście, ale ponieważ nie mamy zaufania do esbeków i blacharzy, będziemy musieli wykorzystać sprawdzone metody przesłuchań, jakie stosuje się w waszych aresztach.

W pewnym momencie z pomieszczenia obok dobiegł cichy kobiecy pisk. Mężczyzna przerwał swoją tyradę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Czyżby Jewgienija? – przeszło Galantowi przez myśl.

– Jak z wami? – Ugne dopiero teraz poczuł smak krwi w ustach.

– Nie powiem, spragniona już nie jestem, ale upał jakby zelżał – zażartowała Basia, szczękając zębami.

– Zimmmmmmmnoooooo – dobiegło z drugiego kąta.

Ugne poczuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie i wiedział, że za chwilę nastąpi atak. Zaczął uderzać nogami o posadzkę.

– Ugne, wszystko w porządku? – W głosie Basi słychać było lekką panikę.

Słowa Basi przepadły w mroku. Gdy się obudził, było już ciemno.

– Raport, proszę. Co się działo?

– Spałeś przez kilka dobrych godzin – odpowiedział Młody. – W tym czasie podjeżdżały jakieś ciężarówki. Słychać było, jak coś do nich wnoszą, a później odjechały.

– Wydaje mi się, że w pomieszczeniu obok przetrzymywali Żenię – powiedziała zrezygnowanym głosem Basia. – Zabrali ją.

– Dryblas nie było?

– Wszedł na chwilę, coś postawił na betonie i chwilę przy tym grzebał, ale zawołali go ci z góry i wybiegł – oznajmił Kawalec drżącym i cichym głosem. – Pewnie potrzebowali go do przeprowadzki. – Zaśmiał się cicho.

– Jak myślicie, ile zostało czasu?

– Według moich wyliczeń jakieś pięć godzin – odpowiedział Młody.

Ugne przeczołgał się w kierunku drzwi, a wtedy te się otworzyły.

– Oooo, jest i nasz robaczek. – Znowu ten sam wschodni akcent. – A ja już przygotowałem specjalny zestaw dla naszego żuczka. Chcesz zobaczyć?

Mężczyzna zapalił światło. Żarówka wisząca pośrodku pomieszczenia zalała piwnicę ciepłym światłem. Wielkolud zerwał z głowy Galanta worek i rzucił go na środek piwnicy. Pochylił się nad milicjantem. Chwycił go wielkimi dłońmi i posadził na krześle. Siedzenie było tak umiejscowione, że za plecami miał teraz drzwi wejściowe, a przed sobą okienko piwniczne. Naprzeciwko, jakiś metr od niego, siedział inny mężczyzna. Galant chwilę mu się przyglądał. Wysoki i szczupły, około trzydziestu pięciu lat, lekki zarost i prostokątne okulary. Jedno oko zakryte czarne opaską. Milczał. Wyraz jego twarzy się nie zmieniał.

Dryblas stanął za nim z szerokim uśmiechem i założył ręce na piersi. Na betonowej podłodze między nimi stał akumulator z przewodami. Chudy skinął na dryblas. Ten podszedł do Galanta i zerwał z niego

podkoszulek. Ugne dygotał. Jego szeroka klatka piersiowa falowała pod wpływem tłoczonego przez adrenalinę tlenu. Dryblas pociągnął przewody i zaczął podpinąć klemy. Jedną do ucha Galanta, drugą do jego sutka.

– Będę zadawał ci teraz pytania – oznajmił chudy łagodnie. – Jeżeli w ciągu trzech sekund nie odpowiesz, zostaniesz porażony prądem. Jeżeli odpowiesz właściwie na każde z pytań, prąd nie będzie potrzebny.

– A skąd będziesz wiedział, czy odpowiedzi są właściwe? – zapytał spokojnie Ugne.

– O to się nie martw. Mam doświadczenie. – Twarz przypominała teatralną maskę. – Czy możemy zaczynać? – Mężczyzna odchrząknął. – Co wiesz o organizacji Bractwo Sprawiedliwych?

– Przyznaję, trochę informacji pozbierałem. – Ugne wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu. – Dowiedziałem się, że jesteście bandą kastratów polujących na niewinne, bezbronne kobiety i dzieci, bo z facetami... – Nie zdążył dokończyć, gdy uderzyła go fala bólu. Czuł, jakby każda część jego ciała była przecinana tysiącem żyłek. Zacisnął zęby i dłonie. Ale zaczęło nim gwałtownie rzucać, a palce rąk wbiły się w udo. Po chwili wszystko ustało. Zapadła ciemność. Gdy się obudził, znowu był w piwnicy, a przed nim siedział ten sam chudy sadysta w asyście bezmózgiego drągała. Coś jednak się zmieniło. W okienku zamajaczyła jakaś postać.

– Powtórzę pytanie – chudy w okularach nawet nie modulował głosu. – Co wiecie o organizacji Bractwo Sprawiedliwych?

– Zaraz, zaraz. – Ugne spuścił wzrok i tylko kątem oka spoglądał w stronę okienka. – Powiem wszystko.

Wielkolud wyszczerzył zęby.

– Nie mówiłem, bracie, że akumulator jest najlepszy – zarechotał.

W okienku pojawiła się ubrana na czarno postać. Sprawnie wślizgnęła się przez okienko do środka. Rozpoznał ją, dopiero gdy delikatnie opadła na betonową podłogę. To była Krauze. W czarnym, przylegającym do ciała kostiumie wyglądała jak wielka kocica. Jakiś przedmiot błysnął w jej dłoni.

– Co nam chcesz powiedzieć? – Jednooki sadysta coraz bardziej się niecierpliwił.

– Właściwie to chciałem wam powiedzieć... – Nie zdążył dokończyć zdania. Z tyłu za drągałem pojawiła się czarna postać. Refleks metalu odbijającego się w świetle żarówki, zamach i uderzenie. Błyskawiczny cios młotkiem w tył głowy i wielkolud upadł jak rażony gromem. Zanim jednak upadł, Krauze ponownie uderzyła. Tym razem w siedzącego na krześle mężczyznę. Wszystko odbyło się tak szybko, że Ugne nawet nie zdążył zauważyć, kiedy Joanna dobiegła do niego i zerwała zwisające z jego ciała przewody. Pochyliła się i wpiła w niego ustami. Smakowała rumem i papierosami. Przytuliła go.

– Szkoda byłoby upiec tak fajnego faceta. – Uśmiechnęła się i pochyliła nad martwym sadystą. – O znalazł się i nasz dziennikarz.

Ugne spojrział na nią pytająco.

– Eee, właściwie nieważne. – Sięgnęła do jego paska od spodni, przy którym zwiślał w kaburze nóż bojowy. Wyciągnęła go i zaczęła przecinać kabel, którym spętany był Ugne. Gdy to zrobiła, podeszła do Basi i Młodego. Zerwała im worki z głowy i zaczęła ich uwalniać.

– Trochę ci to zabrało – skomentowała Basia.

– Przepraszam, musiałam poczekać, aż wszyscy wyjadą i zostanie tylko tych dwóch. Nie mogłam ryzykować.

– I zdążyłaś się w tym czasie przebrać? – Basia zlustrowała ją z dołu do góry.

– Basiu, prawdziwa dama zawsze znajdzie czas, by zmienić garderobę. – Uśmiechnęła się i spojrzała zalotnie w stronę Galanta.

Ugne w odpowiedzi wyszczerzył zęby, choć właściwie trudno było określić, czy był to uśmiech czy grymas.

– Pakujemy się!

Milicjant pochylił się nad martwym wielkoludem. Czerwona plama krwi obok jego głowy już zaschła i zaczęły się zlatywać muchy. Z wysiłkiem przewrócił go na drugą stronę. Przy pasku wisiała kabura. W środku był nietypowy pistolet. Podniósł go i obejrzał w świetle żarówki. Obrócił go. Jak jubiler oglądający cenny diament, tak Ugne obracał teraz zimny metal z każdej strony. To był kanadyjski browning HP. Wyjął magazynek. W kieszeni wielkoluda znalazł jeszcze dwa. Sprawdził, czy pas u spodni dobrze

trzyma. Zimna stał dotknęła jego rozgrzanych pleców.

– Nie powiem, jakaś koszulka by się przydała – mruknął pod nosem.

Delikatnie otworzył drzwi. W korytarzu paliło się światło. Machnął ręką na resztę. Ustawili się za nim gęsiego. Ugne wyciągnął browninga i skierował go przed siebie. Przepchnął Młodego, by ten przeszedł na drugą stronę. Poza nim tylko on miał broń, którą zabrał chudemu sadyście, i mógł go ubezpieczać. Wszedł po schodach na górę. Delikatnie pociągnął kłamkę i otworzył drzwi prowadzące do salonu. Pusto. Machnął na resztę. Weszli do środka. W pomieszczeniu panował bałagan – części garderoby walające się na kanapie, kubki po kawie pozostawione w różnych miejscach. Wzrok Galanta przyciągnęła jednak mapa, którą dostrzegł na dużym stole w jadalni. Obok niej w nieładzie leżały zdjęcia przedstawiające różne części kościoła.

Basia podeszła do Galanta, trzymając w ręku czarny podkoszulek i sweter. Sama miała już na sobie czarne taktyczne spodnie i ciemny sweter.

– Dużo tutaj tego. Nawet znalazłam twój rozmiar.

Ugne uśmiechnął się i zaczął się ubierać.

– Nie znalazłaś może jakiś fajek i... – Basia zmrużyła powieki i zaczęła go świdrować tymi swoimi brązowymi oczami. – Eee... nie było pytania.

Do stołu podeszedł Młody.

– To mamy plan gry.

Ugne nie odpowiedział, tylko pochylił się nad materiałami. Dopiero po chwili zrozumiał, że to, co przykuło jego wzrok, to nie tylko mapa, ale również rysunek przedstawiający rzut budynku.

– O kurwa! – Galant aż usiadł na krześle stojącym przy stole.

Z kuchni wybiegła Krauze. Basia i Młody stanęli za Galantem i zaczęli się wpatrywać w miejsce, na które patrzył Ugne.

– Co jest? – przerwała ciszę Basia.

– Kurwa! – Jeszcze raz, tylko donośniej, krzyknął Galant. – To nie katedra jest celem!

– Jak to?! – wyrzuciła z siebie Basia.

Młody przepchnął Galanta i sięgnął po rysunek.

– No...Przecież to jest kościół Świętych Piotra i Pawła w Szczecinie. – Uśmiechnął się i zbliżył rysunek do lampy wiszącej nad stołem. – Nie wiem, czy jesteście tego świadomi, ale był to pierwszy kościół zbudowany na tych terenach. O ile dobrze pamiętam, w tysiąc sto dwudziestym czwartym roku. Taki prezent szczecinian na powitanie wielkiego Ottona z Bambergu.

– Jakiego Ottona z Bambergu? Skąd ty, Młody, w ogóle tyle wiesz? – zapytała Krauze, która podeszła teraz do Kawalca i poklepała go po plecach.

– Dużo czytam. – Uśmiechnął się i spojrzał na zdjęcie przedstawiające ulicę przed kościołem. – Przecież to jest Wyszaka!

– No i? – zapytała Joanna.

– Na tej ulicy doszło do wypadku „szóstki” – dopowiedział Galant. – Myślisz o tym samym, co ja, Młody? Czyżby od początku chodziło im o ten kościół?

– Tak! To o tym mówił kapitan Wajda! – Kawalec z entuzjazmem zaczął stukać palcem w zdjęcie. – Jeden z ładunków nie odpalił! Gdyby tak się stało, tramwaj wyrzuciłoby na budynek, który rozsypałby się jak domek z kart.

– Celem nie był tramwaj, ale najstarszy kościół w Szczecinie... – dodał cicho Galant. – Teraz chcą dokończyć dzieła. Tylko dlaczego im tak na tym zależy? – Ugne spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem. Rozejrzał się po salonie. Na wieszaku, tuż przy wejściu, spoczywała jego wojskowa emka. Nie zastanawiał się, co ona tu robi. Po prostu chwycił ją i krzyknął do pozostałych. – Zwijamy się!

Wybiegł z budynku. Na zewnątrz lało jak z cebra. Do tego ten paskudny, przenikający do kości wiatr. Ugne zapiął kurtkę i podbiegł do stoewera. Wskoczył do środka. Odpalił. Wszystko działało. Uśmiechnął się. Na tylnej kanapie pojawili się Krauze i Młody, który układał teraz zdjęcia i rysunki zwinięte ze stołu. Na siedzeniu pasażera usiadła Basia. Spojrzeli na siebie. Ugne położył rękę na jej lodowatej dłoni.

– Wiesz, że za chwilę to wszystko się skończy. – Basia przyłożyła mu dłoń do ust.

– Jedź!

Starcie

Stare Miasto, Szczecin, 25 marca 1968 roku

Stoewer z wyłączonym silnikiem i bez świateł pozycyjnych zbliżył się do skrzyżowania Starzyńskiego z Zygmunta Starego. Ugne tak skręcił kierownicę, by samochód doturlał się na luzie na pusty plac przy ruinach dawnego kina „Urania”. Do kościoła mieli dobre pięćset metrów.

– Idziemy! – Ugne już otwierał drzwi od terenówki, gdy Basia powstrzymała go delikatnym gestem ręki.

– Ugne, znam ciebie i wiem, że już masz jakiś plan w głowie, ale nie jesteś sam. Ci ludzie – wskazała na siedzących z tyłu Joannę i Młodego – i ja także ryzykujemy nasze zdrowie i życie i chociażby dlatego powinieneś nam powiedzieć, jaką rolę w swoim teatryku nam powierzyłeś...

Galant usiadł zrezygnowany za kierownicą. Sięgnął do skrytki i wyciągnął pełną paczkę giewontów. Zapalił jednego. Spojrzał w lusterko wsteczne i na zegarek. Duża wskazówka właśnie dobijała północy, mała pokazywała czwartą.

– Za godzinę rozłożą tę biedną kobietę na ołtarzu. Teraz pewnie kończą instalować ładunki wybuchowe. Zamierzam wyciągnąć z bagażnika coś z dużym kalibrem i wejść przez główne drzwi do kościoła, waść we wszystko, co się ruszy, aż przestanie się ruszać... Taki mam plan. – Zaciągnął się mocno, aż żar palącej się bibuły i tytoniu dotarł z sykiem do połowy papierosa.

– Sprytnie – skomentowała uszczypliwie Joanna. – Rozumiemy, że chcesz ich zaskoczyć swoim szaleństwem? Może to nie potrwać długo, ale z pewnością będą zaskoczeni.

Ugne odwrócił się.

– Masz lepszy plan?

Krauze zwróciła się do Młodego.

– W których miejscach najlepiej jest zainstalować ładunki wybuchowe, by mieć pewność, że kościół zamieni się w kupę gruzu?

Młody przez chwilę przewracał zdjęcia i rysunek przedstawiający rzut budynku.

– Najlepsza byłaby implozja. – Podniósł głowę, by upewnić się, że wszyscy rozumieją, co do nich mówi. – Gdy zainstalują materiały wybuchowe w taki sposób, żeby wybić główne podpory pionowe budynku, wtedy ten zapadnie się od środka na zewnątrz. Ściany i słupy owinąłbym sznurami wybuchowymi, natomiast w pionowych częściach zamocowałbym trotyl lub dynamit. – Młody jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu kościoła. – Z tego, co widzę, korpus przykryty jest drewnianym stropem, a między przyporami z arkadami i niszami znajdują się wnęki kapliczne. Wszystkie ściany usadowione są na fundamencie wykonanym z głazów narzutowych. Ściany podzielone są lizenami... – Podrapał się po gładko ogolonej brodzie. – No tak, tak jak myślałem, lizeny... wysadzą lizeny.

Joanna jeszcze raz przyjrzała się Kawalcowi z niedowierzaniem.

– Nie wiem, co ty do mnie mówisz, ale ufam, że z sensem. – Spojrzała w kierunku Basi. – Słyszeliście? Co robimy?

Romanowska odwróciła się do pasażerów siedzących z tyłu. Oparła łokieć na kolanie, podparła brodę dłonią i zaczęła skubać dolną wargę.

– Musimy w jakiś sposób się tam dostać, i to tak, by nikt nas nie zauważył...

Przerwał jej Młody:

– Od strony południowej znajduje się wejście do podziemnej krypty umiejscowionej pod środkowym przęsłem nawy. Można tam się dostać przez szyby wentylacyjne, które zostały zamontowane – spojrział jeszcze raz na rzut graficzny – osiem lat temu. Wyobraźcie sobie, że kościół przeszedł gruntowny remont w roku sześćdziesiątym...

– Młody, po co nam to mówisz? Wystarczy – skomentowała Joanna. – Jak mamy się dostać

niepostrzeżenie do tych szybów wentylacyjnych?

– Trzeba odwrócić ich uwagę – włączył się do rozmowy Ugne. – Zajmę się tym, trochę hałasu postawi na nogi tych, którzy modlą się teraz w kościele...

– Że co? – Joanna najwyraźniej nie rozumiała jego słów. – Wierszem teraz zacząłeś mówić, Ugne? Może faktycznie za szybko odstawiłeś wodę.

Galant otworzył drzwi i wstał, obrócił się, położył ręce na dachu stoewera i wsunął głowę do środka.

– W porządku. Zróbmy tak. Młody, ty zostajesz w wozie. Dziewczyny, ładujecie się do środka przez kryptę, poszukajcie wejścia do szybów wentylacyjnych. Jeżeli uda wam się dostać do środka, dajcie znać. Ja w tym czasie zrobię trochę szumu przed wejściem głównym. Tylko pamiętajcie, w tym kościele siedzą prawdziwe szajbusy, które przeżyły gułag, tortury, pięćdziesięciostopniowy mróz i transport ze wschodu do Szczecina. Myślę, że od dawna przygotowywali się do tej akcji. Uważajcie na siebie i nie ryzykujcie niepotrzebnie.

Kawalec uderzył w przednie siedzenie stoewera.

– Dlaczego zawsze ja muszę zostawać?!

– Bo tylko ty możesz być naszym operatorem. – Ugne poklepał go po plecach. – Obserwuj, co się dzieje, i w razie czego dawaj znać.

– Jak mam dawać znać?

Ugne wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika. Otworzył go i zaczął wyciągać różne przedmioty. Po chwili wrócił z kilkoma krótkofalówkami w dłoniach.

– To są radiotelefony echo dwa. Operują na dystansie do dwóch kilometrów, więc powinno być dobrze. Zielony guzik – mówimy, czerwony – słuchamy. Rozumiesz?

– No – odpowiedział podniecony Kawalec.

Ugne rozdał radiotelefony. Kawalcowi jeden. Basi i Joannie jeden. Trzeci zostawił sobie.

– Pamiętajcie, gdyby coś się działo, dajcie znać.

Wyciągnął jeszcze dwa pistolety z dodatkowymi magazynkami i pomimo niechęci w oczach Basi wcisnął im je w dłonie. Sam sięgnął po karabin wyborowy Dragunowa i przerzucił go przez plecy.

– A, i jeszcze jedno! – Pochylił się do wewnętrznej skrytki w stoewerze i wyciągnął nożyce do metalu. – Przydadzą się wam, jak już będziecie w środku. Powodzenia!

Zgiął się w pasie i zaczął biec przyklejony do ogrodzenia z desek. Po kilkunastu sekundach minął ponury gmach komendy wojewódzkiej milicji i przebiegł na drugą stronę. Przeskoczył obok stojącego samotnie saturatora i dobiegł do łodzi rybackiej. Jakiś czas temu na wielkim placu przed komendą zainstalowano plac zabaw. Obok piaskownicy i kilku huśtawek ustawiono łódź, właściwie szalupę, która miała stanowić atrakcję dla dzieciaków. Teraz okazała się jedynym miejscem, w którym mógł się skutecznie ukryć. Padający deszcz zagłuszył dudnienie jego kroków. Wszedł po drabince i cichutko wśliznął się do drewnianej łajby. Łódka w jednej trzeciej była już wypełniona lodowatą deszczówką. Zaklął w myślach. Do głównej bramy kościoła miał jakieś pięćdziesiąt metrów. Przez chwilę leżał w bezruchu. Pewnie ustawili kogoś na wieży kościoła. Nie było lepszego miejsca obserwacyjnego w okolicy. Jeżeli strażnik go nie zauważył, to ma szansę. Zamknął oczy. Gardło miał suche jak papier ścierny. Odwrócił się i otworzył szeroko usta. Oddałby duszę diabłu za pięćdziesiątkę bimbru, ale musi mu wystarczyć deszczówka. Przez chwilę zastanawiał się, czy lwowiak go dobrze rozumiał. W przeciwnym razie wielkich szans nie mają...

* * *

Basia i Krauze przebiegły na drugą stronę ulicy i dla pewności, że nie zostaną zauważone, wybrały dłuższą trasę przez ulicę Henryka Pobożnego. Poruszały się w milczeniu, pochylone, trzymając się jak najbliżej ogrodzeń budynków. Dobiegły do Małopolskiej, chwilę obserwowały, czy po drugiej stronie ulicy nie dzieje się nic nietypowego. Gdy się upewniły, że jest spokojnie, przebiegły na drugą stronę i znalazły się w niewielkim zagajniku graniczącym od północnej strony z kościołem. Deszcz przybrał na sile. Kucnęły pod gęstym jałowcem. Basia się wychyliła. Do ściany kościoła miały jakieś dwadzieścia kroków. Wloty wentylacyjne były nisko zamontowane. Kątem oka spostrzegła jakiś ruch na wieży. Przykucnęła i dała znać Joannie. Przez chwilę obie przyglądały się ciemnej postaci, która obserwowała otoczenie. Gdy strażnik obrócił głowę w stronę placu, Basia klepnęła Krauze. Pochylone ruszyły w stronę kościoła. Przedzierały się przez gęsty zagajnik, aż dobiegły do północnej ściany budynku. Przyłgnęły do mokrej i zimnej powierzchni.

Przez chwilę próbowały zapanować nad oddechem. Basia pamiętała, że wejście do krypty znajduje się na ścianie południowej kościoła. Musiały niezauważone obejść kościół dookoła. Powoli, przyklejone do ściany świątyni, zaczęły się przesuwać w kierunku wschodnim. Po kilku minutach były już po drugiej stronie budynku. Basia się pochyliła. Kratka szybu wentylacyjnego znajdowała się na wysokości jej kolan. Dłonią zaczęła sprawdzać sposób mocowania. Śruby. Spojrzała na Krauze. Joanna wyciągnęła nóż, który zabrała chudemu sadyście na plebanii. i przykucnęła. Chwilę manewrowała ostrzem przy kratce, po czym wyciągnęła pierwsze śruby. Po blisko dwóch minutach droga była wolna. Basia sięgnęła po latarkę. Jasny snop światła oświetlił niekończący się tunel. Otwór miał jakieś pół metra szerokości i tyle samo wysokości. Ciasno, pomyślała. Wyciągnęła z bocznej kieszeni spodni krótkofalówkę i ją włączyła.

– Ugne, wchodzimy do środka. Słyszysz? Wchodzimy do środka. Odbiór.

– Jestem. Dobrze. Poczekam, aż wejdziecie, i wtedy zaprosimy kolegów do tańca. Bez odbioru.

Basia przewiesiła krótkofalówkę przez plecy i zaczęła wciskać się do szybu. Czołgała się z trudem, bo chociaż była filigranowa, ledwo mieściła się w tym ciasnym szybie, a do tego musiała trzymać rękę z latarką przed sobą. Po chwili usłyszała, jak do środka wciska się Joanna. Pewnie jej jest jeszcze trudniej. Nie dość, że była wyższa, to jeszcze miała większe piersi i szersze biodra. To był jedyny chyba moment, w którym jej tych walorów nie zazdrościła. Krauze ciężko sapała. Basia zacisnęła zęby. Bała się, że na jej drodze pojawi się jakiś pająk albo co gorsza szczur. To byłoby straszne. Bała się, że nie zapanuje nad swoimi odruchami i zacznie krzyczeć. Nienawidziła szczurów.

Setki myśli kłębiło jej się w głowie. A co będzie, jeżeli łącznik okaże się za wąski? Przecież nie mają najmniejszych szans, żeby się cofnąć. Co, jeżeli Krauze utknie? Starła się myśleć o czymś innym. Idź do przodu! – powtarzała sobie szeptem. Po przejściu dziesięciu metrów dotarła do ściany. Zaświeciła latarką. Szyb opadał jakieś pięć metrów w dół. Nie! To niemożliwe! Jak mają to zrobić? Chciała się odwrócić i przekazać tę informację Krauze, ale nie mogła odwrócić głowy.

– Aśka! Jak tam u ciebie?

– Nigdy bym się nie spodziewała, że kiedyś to powiem – oddech Joanny był ciężki i słychać było, że z trudem mówi – ale zazdroszczę babkom, które mają małe cycki i tyłek. – Próbowała się zaśmiać, ale z jej ust wydobył się tylko kaszel.

– To przygotuj się na lekkie przyspieszenie. Szyb schodzi w dół pod kątem prostym. Jakies pięć metrów. Wchodzę!

Już miała ruszyć w dół, gdy nagle latarka wyśliznęła jej się z dłoni i z hałasem spadła na samo dno, uderzając z hukiem o blachę. Dźwięk rezonował w ich uszach przez dobrą chwilę. Zamarły. Przez chwilę się nie ruszały, wsłuchując się w każdy dźwięk wydobywający się z kościoła.

– No, nie powiem – wyszeptała Krauze. – Potrafisz podkręcić atmosferę.

Basia wyciągnęła się do przodu i zaczęła powoli się zsuwać. Opierała się rękami i łokciami o boczne ściany szybu. Pokonała tak kilka metrów, ale w pewnym momencie mięśnie rąk nie wytrzymały i runęła twarzą w dół.

– Żyjesz?! – spytała Krauze.

– Tak, wszystko dobrze, na szczęście nie było wysoko.

Basia ujrzała przed sobą mniej więcej metrowy odcinek szybu i jaśniejszy punkt u jego wylotu. To musi być koniec, pomyślała. Zaczęła się czołgać. W ciemności wymacała latarkę. Była cała. Włączyła ją. Działała. Uśmiechnęła się pod nosem. Może jednak wyjdziemy z tego w jednym kawałku. Usłyszała, jak z tyłu powoli przeciska się Krauze. Przynajmniej teraz nie powinna mieć problemów.

Po chwili dotarła do kratki. Przełożyła zwinne palce na drugą stronę. I wyczuła śruby. No pięknie. I co teraz? Krauze już była tuż za nią.

– Aśka, zabijesz mnie. – Starła się mówić stłumionym głosem. – Nie pomyślałam, że z tej strony też będzie zamknięte. Nie wiem, jak to otworzyć.

– Robiłaś kiedyś pompki? – Krauze mówiła powoli.

– No tak.

– To teraz podnieś się tak, jakbyś robiła pompkę.

Basia zapała się łokciami i uniosła biodra, dotykając plecami górnej ścianki kanału. Nawet przez sweter czuła jej chłód. Po chwili usłyszała, jak po podłodze sunie w jej kierunku nóż. Zatrzymał się tuż przed brodą Romanowskiej. Położyła się i chwyciła broń. Oczka w kratownicy były na tyle duże, że spokojnie

mogła przełożyć przez nie nóż i dłoń. Przez chwilę mocowała się z jedną ze śrub, ale po kilku podejściach jej się udało. Kawałek metalu upadł z brzękiem na ziemię. Nie minęło dużo czasu, jak szybko wentylacyjny był otwarty. Basia zapaliła latarkę i wisząc u wylotu kanału, obejrzała miejsce, w którym się znalazła. Sklepienie krypty było umieszczone bardzo nisko, rekompensatę stanowiła natomiast wielkość pomieszczenia. Kopuła wspierała się na kilku niewysokich kolumnach. W środku czuć było intensywny zapach wilgoci. Krypta była podzielona na wnęki. W każdej z nich znajdowała się trumna. W jednej z wnęk leżała góra kości i czaszek. Basia spojrzała w dół. Wisiała jakiś metr nad ziemią. Wychyliła się i wyciągnęła ręce do przodu, odepchnęła się i wpadła do środka. Wstała i odwróciła się w kierunku szybu wentylacyjnego.

– Aśka, no ile będę czekać? – Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła umorusaną twarz koleżanki, i podała jej rękę. Po chwili obie stały na twardej powierzchni i rozprostowywały plecy. Basia sięgnęła po krótkofalówkę. Włączyła ją.

– Galant, jesteście. Słyszysz mnie? Galant, jesteście! Odbiór. – W słuchawce słychać było tylko szum. – Galant! Odbiór!

– Nic z tego. Jesteście za głęboko. – Krauze położyła Basi rękę na ramieniu. – Odezwiś się do niego, jak stąd wyjdziemy.

Joanna zaczęła się rozglądać. We wnękach znajdowały się pojedyncze trumny. Przed nimi leżały kamienne tablice z wyrytymi łacińskimi nazwami. Jedna szczególnie się wyróżniała. Wyglądała jak mała kapliczka, w której znajdowała się płyta nagrobna wykonana z piaskowca. Krauze nie była ekspertem z dziedziny historii sztuki, jednak czuła, że pomnik jest bardzo wartościowy. Przyjrzała się jeszcze raz z bliska. To była płaskorzeźba przedstawiająca rycerza w pełnej zbroi. Lewą ręką przytrzymał duży dwuręczny miecz, w prawej natomiast rękojeść sztyletu. Z podpisu pod płaskorzeźbą zrozumiała, że przedstawia jakiegoś księcia. Ów książę stał na lwie, a obok niego leżała przyłbica, czaszka i wąż. Z boku, przysłaniając miecz, znajdowała się tarcza herbowa. Z inskrypcji domyśliła się, że były to insygnia Księstwa Gryfitów.

Obok płaskorzeźby stała wielka drewniana szkatuła, do której przymocowana była złota tabliczka z wygrawerowanym napisem: Izabela Czartoryska. Narożniki skrzyni miały zdobione złote okucia. Złota głowa lwa, trzymająca w zębach uchwyt, służyła do otwierania szkatuły. Joanna próbowała ją nieudolnie przekręcić, ale ta stawiała opór. Po kilku próbach zrezygnowała. Zadarła głowę. Nad kaplicą wisiał herb przedstawiający gryfa pomorskiego, pod nim znajdowała się inskrypcja: SEPULCHRUM ILLUSTRISSIMORUM DUCUM AC PRINCIPUM POMERANIAE[43].

– Szkoda, że Młodego zostawiliśmy w wozie. – Joanna przygryzła paznokcie. – Myślę, że to wszystko ma znaczenie, to jest coś ważnego...

– Może, towarzyszeko, ale nie po to przyszliśmy. Poszukajmy wyjścia. – Basia zaczęła chodzić w kółko i macać ściany w poszukiwaniu drzwi.

– Tu! – Krauze wskazała kawał płyty w suficie, do której zamontowana była mosiężna rączka. Podeszła i ją przekręciła. Płyta lekko odbiła do góry, jakby odessała się od podłoża. Kurz opadł im na twarze. Basia musiała mocno się powstrzymać, żeby głośno nie kichnąć.

– Jesteście w domu – szeptem powiedziała Joanna i podniosła włącznik.

W kościele było całkiem jasno. Krauze zaczęła się rozglądać. W kilku miejscach ustawiono potężne reflektory, podobne do tych, jakie czasami umieszcza się na placach budowy. Wokół kręciło się sporo mężczyzn. Niektórzy mieli przewieszane przez ramię pistolety maszynowe. Wszyscy byli ubrani w czarne żeglarskie swetry albo bluzy dresowe w tym samym kolorze. Kończyli przywiązywać ładunki do pilastrów. Kilku z nich krzątało się pomiędzy drewnianymi miejscami dla wiernych. Dopiero po chwili Krauze zrozumiała, że te kostki, które przywiązują do siedzisk, to kawałki trotylu. Ławek było ze dwadzieścia. Do każdej przyczepiono po kilka ładunków.

Krauze wystawiła głowę nad ławki i ją zmroziło. Na ołtarzu, otoczona świecami, leżała nieprzytomna naga Jewgienija. Nawet stąd widziała jej sine usta. Powoli zamknęła włącznik i zrezygnowana usiadła na jednej z trumien.

– To się nie uda...

– Dlaczego? – zapytała Basia.

– Oni nie tylko chcą zniszczyć kościół, ale zamierzają wszystkich zabić. – Podniosła głowę i spojrzała na Romanowską. – Rozumiesz?! Chcą zrobić rzeź!

– Aśka, uspokój się! – Basia podeszła do niej, uklękła i położyła dłonie na jej policzkach. – Wiesz, że nie pozwolimy im na to....

– Położyli Żenię na stole, całkiem nagą... – Krauze zaczęły spływać łzy po policzkach.

– Aśka, bez ciebie nie idę. – Basia ścisnęła mocniej policzki koleżanki i uniosła jej twarz. – Jeżeli nic nie zrobimy, to oni zabiją nie tylko Żenię, ale setkę Bogu ducha winnych ludzi. Mogę na ciebie liczyć?

Krauze chwilę patrzyła w błyszczące oczy Basi. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Romanowska wstała i skierowała snop światła latarki na zegarek. Wskazówki wskazywały piątą pięćdziesiąt. Za dwie minuty wstanie słońce. Zerwała się i podeszła do włazu. Z trudem go uniosła i nie przyglądając się temu, co się dzieje wokół, wyciągnęła krótkofalówkę. Ta zatrzeszczała.

– Galant! Zaczynaj! Galant, słyszysz mnie?! Za-czy-naj!

Właz od krypty znajdował się w pobliżu konfesjonau, w którym jeden z mężczyzn montował właśnie ładunek. Na chwilę zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Krótkofalówka znowu zatrzeszczała.

– Basia? Wszystko dobrze? – odezwał się Galant.

– Galant, zaczynaj! Zaczynaj do cholery!!!

Mężczyzna siedzący dotychczas w konfesjonale wyszedł z niego i zwrócił się w kierunku, z którego dochodził dźwięk radiotelefonu. Zdjął z pleców kałasznikowa i wymierzył przed siebie. Nagle silna eksplozja rzuciła go w kierunku ławek. Wybuch, który nastąpił w okolicy kruchty, był na tyle silny, że powalił z miejsca kilku stojących przed bramą mężczyzn. To Galant rozpoczął swój „taniec”. Eksplozja granatu ręcznego, który rzucił w kierunku wejścia do kościoła, roztrzaskała w drzazgi jedne ze średniowiecznych drzwi. Następnie podniósł się i wymierzył karabin w kierunku wieży. Zobaczył, jak ciemny cień wycelował w jego kierunku. Delikatnie ściągnął język spustowy. Dragunow lekko podskoczył i wypuł z siebie pocisk. Cień chwilę się chwiał, jak tancerz kończący swój solowy numer na parkiecie, po czym po prostu zniknął w ciemności. Ugnę podniósł się i zaczął biec w kierunku płonącej bramy kościoła. Pociski wzbijały wokół tumany piachu.

W tym samym czasie Basia ruszyła w kierunku ołtarza. Mężczyzna z kałasznikowem zdołał dojść do siebie. Widząc przemykającą kobietę, ruszył za nią. Basia niemal dobiegła do ołtarza, gdy poczuła mocne uderzenie w łydki. Nie zdołała utrzymać równowagi i runęła przed siebie. Chwyciła się ołtarza i podciągnęła. Ze skroni leciała jej strużka krwi. Odwróciła się. Mężczyzna stał przed nią z wymierzoną lufą pistoletu maszynowego.

– To byłoby na tyle, śliczna. – Już miał pociągnąć za spust, gdy nagle zatrzymał się, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Padł jak długi, tuż przed jej stopami. Z pleców wystawała mu rękonoż. Basia podniosła wzrok. Nad mężczyzną stała Krauze, szeroko się uśmiechając. Podniosła się. Obie podeszły do leżącej na ołtarzu Żeni. W całym tym chaosie ta część świątyni wydawała się najspokojniejszym miejscem w kościele. Czas jakby stanął w miejscu, a obrazy przed ich oczami przesuwały się w zwolnionym tempie. Czarne postacie to chowały się za ławkami, przeładowując w panice broń, to znikwały w niszach. Pozostali barykadowali wejścia do świątyni, przesuwając szerokie ławki w kierunku sieni kościoła. Wszystko to odbywało się pośród krzyków i powtarzających się wystrzałów. Krauze otrząsnęła się, ściągnęła z siebie sweter i przykryła nim Jewgienię.

– Co robimy? – zapytała Aśka.

– Musimy ją obudzić i jak najszybciej stąd wyprowadzić. Najlepiej przez wyjście od zakrystii.

Basia zaczęła delikatnie klepać Żenię po policzkach.

– Żenia, obudź się, Żenia!

W tym samym czasie Krauze błyskawicznie przecinała pętające kobietę więzy. Gdy to zrobiła, zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu wody. Ostatecznie znalazła butelkę czerwonego wina mszalnego. Odkręciła korek i pociągnęła łyk.

– Nie ma dramatu – skomentowała pod nosem, po czym podeszła do ołtarza, lekko uniosła głowę Żeni i wlała jej odrobinę wina do gardła. Nie trzeba było długo czekać, żeby Jewgienija, krztusząc się i kaszląc, odzyskała przytomność. Kiedy już złapała oddech, zaczęła się rozglądać.

– Gdzie ja jestem? Dlaczego jestem goła? – Była zdezorientowana i cała się trzęsła.

Krauze podeszła do martwego mężczyzny.

– Basiu, pomóż mi. – Sprawnie odpięła pasek od jego spodni i pociągnęła za nogawki. W tym czasie Basia ubierała Jewgienię w sweter, tłumacząc, w jakiej się znalazły sytuacji. Krauze ukucnęła przed ciężarną

i zaczęła naciągać spodnie na jej lodowate nogi.

– Żenia, posłuchaj. – Basia stanęła przed nią. – Ugne robi wszystko, żeby zająć tych bydlaków, ale jeżeli zaraz się nie ruszymy, to możemy nigdy stąd nie wyjść, rozumiesz?

Jewgienija pokiwała głową. Romanowska złapała ją za rękę. Krauze szła pierwsza. Do zakrystii miały jakieś pięć metrów. Wyszły z części głównej kościoła i dostały się do sieni prowadzącej do portalowego wejścia pod baldachimem. Drzwi wyjściowe znajdowały się jakieś dwa metry od nich, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nimi mężczyzna, który błyskawicznie zarzucił Joannie pętlę garoty na szyję i pociągnął kobietę za sobą. Ciągnąc Krauze, obrócił się w taki sposób, że w pewnej chwili znalazł się naprzeciwko przerażonych kobiet. Dostrzegły jego twarz. Spoglądało na nie szklane oko. Żenia rozpoznała go od razu. Basię przeszedł gwałtowny dreszcz. Mężczyzna oparł się kolanem o plecy Joanny i pociągnął garotę z całej siły do siebie. Oczy kobiety zaszyły łzami. W ułamku sekundy Romanowska wyciągnęła pistolet i go przeładowała.

– Zostaw ją!

Wiedziała, że to jest koniec. Mężczyzna jeszcze mocniej przyciągnął garotę do siebie. Struna powoli werżnęła się w gardło Joanny i zaczęła przecinać mięśnie szyi. Jej błękitne źrenice spoglądały smutno na Basię, powoli matowiejąc. Krew bryzgnęła na twarz Romanowskiej. Zza opadającej na pierś głowy Krauze Basia dostrzegła grymas uśmiechu mężczyzny. W tym momencie zwierzęcy instynkt przejął nad nią kontrolę. Palec pociągnął za spust, kula trafiła w głowę mordercy, wyrzucając w powietrze kawałki czaszki i mózgu.

* * *

Ugne ukrył się w niszy, w której stała figura Świętego Franciszka z Asyżu. Dzięki ci, Boże, pomyślał, że kościół nie oszczędza na świętych. Co jakiś czas kula trafiała w rzeźbę, roztrzaskując kolejne części ciała Franciszka. Ugne zdawał sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma. Przez chwilę ostrzeliwał się z dragunowa, ale zanim skierował go w stronę wnętrza kościoła, zasypywały go pociski. Rzucił karabin i sięgnął po browninga. Trzynaście naboń. Wystarczy na kilka minut. Splunął pod nogi. Oby tylko dziewczyny zdążyły uciec z Żenią. Wyciągnął z bocznej kieszeni spodni dwa granaty dymne. To wszystko, co miał. Odbezpieczył i rzucił przed siebie, a następnie pobiegł ile sił w nogach. Dym przesłonił pół kościoła. Napastnicy strzelali teraz na oślep. Ugne wbiegł po schodach i schował się za organami. Dostał zadyszki. Przeszło mu przez myśl, że być może najwyższy czas ograniczyć fajki. Kule świstały, ale jakby już dalej. Była szansa, że go nie dostrzegli. Nagle usłyszał świst i poczuł przeszywający ból w uchu. Spojrzał w kierunku schodów, po których wbiegał ostrzyżony na krótko mężczyzna.

Ugne złapał się za skroń. Poczuł, jak ciepła i gęsta ciecz spływa mu na dłoń. No dobra, pomyślał, skoro jeszcze żyję, to nie może być śmiertelna rana. Pieczenie raczej wskazywało, że stracił kawałek ucha. Napastnik poruszał się szybko i sprawnie. Był jakieś cztery metry od niego. Ugne sięgnął po browninga, ale mężczyzna był szybszy. Wyciągnął jakiś przedmiot zza paska i rzucił nim w Galanta. Tylko dzięki błyskawicznej reakcji Ugne nóż nie przebił mu dłoni. Zdążył się uchylić. Jednak rękojeść trafiła w lufę browninga, wybijając go z ręki milicjanta. Czyli mamy nożownika, przeszło mu przez głowę. Ugne przyjął postawę obronną. Mężczyzna rzucił się na niego. Siła uderzenia była na tyle duża, że obaj wylądowali na ławce organisty, łamiąc ją w drzazgi. Przez chwilę się kotłowali. Napastnik był dużo niższy, natomiast jego silne ramiona i stalowe bicepsy świadczyły, że jest dobrze przygotowany do takich sytuacji i z pewnością bił się nie raz w życiu.

Ugne odepchnął go od siebie. Wiedział, że przy swoim wzroście ma szansę tylko w dystansie. Ten niski facet był zbyt niebezpieczny w zwarcium. Mężczyzna schylił się i podciągnął nogawkę spodni. Do paska na łydce przypięty miał kolejny nóż. Dopiero teraz Ugne zauważył na jego dłoni tatuaż – orle skrzydła na tle rozpiętej czaszy spadochronu. Grot! To on podłożył ładunki pod wagonem „szóstki”. To on zorganizował cały ten arsenał. To on będzie bezpośrednio odpowiedzialny za eksplozję, która za chwilę zniszczy kościół, a ich wszystkich pośle do piekła.

– Grot, powiedz, kiedy ci tak odjechało, że w imię tego swojego Boga zacząłeś zabijać niewinnych ludzi? – Ugne nie oczekiwał odpowiedzi, wiedział, że za chwilę stojący przed nim mężczyzna wyciągnie nóż, a wtedy nie będzie miał najmniejszej szansy. Dzielili ich bowiem od siebie jakieś trzy metry. Tym razem z pewnością nie chybi.

Grot się zawahał. W tym samym czasie jeden z reflektorów stojących na dole upadł na posadzkę, a snop światła przesunął się w kierunku chóru. Grot odwrócił się. Na taki właśnie moment czekał Galant. Zeskoczył z podwyższenia, na którym stały organy, i potężnym kopnięciem trafił mężczyznę w klatkę piersiową. Grot przeleciał przez barierkę. Ugne podszedł na skraj chóru i spojrzał w dół. Mężczyzna wisiał, trzymając się jedną ręką progu balkonu, w drugiej nadal ścisnął nóż.

Ugne wychylił się nad barierkę.

– Grot, powinienes skończyć na tej renesansowej posadzce jako mokra plama, ale z chęcią posłucham, co masz jeszcze do powiedzenia na temat swoich kumpli. Podaj rękę, a nasze socjalistyczne państwo zapewni ci celę w towarzystwie chłopaków, którzy docenią twoją wyjątkową urodę. – Galant wychylił się jeszcze bardziej za barierkę i wyciągnął ramię w kierunku mężczyzny.

Grot się uśmiechnął i puścił balustradę. Ciało uderzyło o posadzkę z donośnym plaśnięciem. Ugne usiadł, zamknął oczy i próbował złapać oddech. Przez chwilę tak siedział przy akompaniamencie huku wystrzałów i krzykach zdezorientowanych mężczyzn. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że jeszcze ma kilka spraw do załatwienia. Otworzył oczy. Sięgnął po leżącego obok browninga. Zaciśnął zęby. Bolała go każda część ciała. Dotknął ucha. Nie krwawiło, ale poczuł, że brakuje kawałka. Splunął przed siebie. Podniósł się. Wysunął głowę nad drewnianą balustradę. Zauważył, że dziewczyny idą z Żenią w kierunku wyjścia. Dzięki Bogu, pomyślał. Chociaż część planu się uda. Co z drugą częścią? Lwowiak, kurwa, gdzie jesteś?

Nagle potężna kanonada z ciężkiej broni rozbiła w strzępy barykadę z ławek, zbudowaną przez napastników. Drewniane elementy zaczęły latać jak fajerwerki po wnętrzu świątyni. Przed wejściem słychać było ryk silników, świadczących o przyjeździe ciężkiego sprzętu. Po chwili donośny głos ze szczekaczki wypełnił gmach kościoła.

– Jestem major Szydłowski, dowódca Specjalnego Batalionu Szturmowego Ludowego Wojska Polskiego z Dziwnowa. Daję wam trzydzieści sekund na wyjście z podniesionymi rękami, za dwadzieścia dziewięć sekund zmienię to miejsce w popiół razem z wami. Dwadzieścia pięć...

* * *

Do Galanta dobiegł tępy huk wystrzału. Spojrzał w kierunku zakrystii, poderwał się i zaczął zbiegać ze schodów. Minał mężczyzn wychodzących z podniesionymi rękami. Wpadł do zakrystii. To, co zobaczył na miejscu, odrzuciło go. Cofnął się. Na miejscu leżała we krwi Krauze. Obok niej klęczała Basia. Tuż za nią zobaczył faceta z dziurą w głowie. W kącie siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach Jewgienija. Ugne nie zdążył jeszcze złapać oddechu, gdy powoli otworzyły się zewnętrzne drzwi. Stał w nich lwowiak z Młodym. Prowadzili przed sobą księdza Międlaka.

– Chował się w krzakach, łązega. Na szczęście Kuba był niedaleko. – Część twarzy lwowiaka była zabandażowana. – Tu są rzeczy, które przy nim znalazłem. – Wyciągnął przed siebie jakąś kopertę. – Dopiero teraz do niego dotarło, co się tu stało. – Spojrzał na Żenię i na Joannę leżącą we krwi. Koperta wypadła mu z ręki i wylądowała w brunatnej kałuży, która z sekundy na sekundę stawała się coraz większa.

– Co tu się...?

Ugne pociągnął do siebie Międlaka i rzucił go na ziemię tuż obok ciała dziewczyny. Ten podniósł głowę i wyszeptał:

– I co, myślisz, że to nas powstrzyma? Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie siły za mną stoją. – Mężczyzna z twarzą naznaczoną bliznami po ospie zarechotał i spojrzał na ciała leżące obok niego. – To są tylko ludzkie przedmioty służące wielkiej sprawie, a ty za kilkadziesiąt godzin sam się przekonasz, że też jesteś tylko ludzkim przedmiotem, który można przestawić w inne miejsce. – Spojrzał milicjantowi w oczy. – Za mniej niż osiem godzin pokornie otworzysz drzwi celi i wypuścisz mnie na wolność.

– Po co czekać? – Galant po raz ostatni spojrzał beznamiętnym wzrokiem na ciało Joanny, wyciągnął browninga, przeładował i wystrzelił. – Idź do swojego Boga. Jesteś wolny.

Schował dymiący jeszcze pistolet do kabury i pochylił się nad kopertą. Krew, w której leżała, była jeszcze ciepła. Poczul ją na palcach. Otworzył przesyłkę, wyciągnął z niej napisane odręcznie pismo i zaczął głośno czytać:

Zobowiązuje się wszystkie organy ludowego państwa do niesienia pomocy towarzyszowi Międlakowi. Każdy, kto odmówi jej udzielenia, zostanie oskarżony o zdradę stanu, za co grozi kara śmierci. Podpisano:

Mieczysław Moczar. Minister Spraw Wewnętrznych.

Ugne dopiero teraz zdał sobie sprawę, że list żelazny, który trzymał w dłoni, mógł wystawić tylko jeden człowiek. Dlaczego, do kurwy nędzy, wcześniej o tym nie pomyślał?! To nie Mędlak był przywódcą Bractwa. Prawdziwym szefem był człowiek, którego nazywali wujem...

[43] Grobowiec najjaśniejszych książąt Pomorza.

Wuj

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, ul. Rakowiecka 2, Warszawa, 26 kwietnia 1968 roku

Galant szedł przez długi, ciemny korytarz. Palił papierosa. Po obu stronach w złotych oprawach wisiały portrety kolejnych dyrektorów departamentu trzeciego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jeszcze kilka lat temu nosił nazwę Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Sam dźwięk tych trzech słów paraliżował. Każdy obywatel tego cholernego kraju, który choć pomyślał inaczej, niż życzy sobie tego partia, mógł spodziewać się wizyty facetów w ciemnych skórach z legitymacjami безпеki. Więzienia na Rakowieckiej były pełne nieprawomyślnie myślących. Tortury podczas przesłuchań, nieformalne wyroki śmierci i masowe aresztowania były znakiem firmowym tej mrocznej instytucji. Niewiele się zmieniło po zmianie szyldu. Ci sami ludzie, którzy dziesięć lat wcześniej wyrwali paznokcie żołnierzom podziemia antykomunistycznego, teraz zasiadali na stołkach dyrektorskich. Czy tak potoczyły się losy człowieka, do którego zmierzał? Nie wiedział, nie interesowała go jego przeszłość. Chciał go skrzywdzić. To wszystko. Stań oko w oko i strzelić mu w głowę.

Na drzwiach wyścielonych ciemnobrazowym obiciem wisiała tabliczka z napisem *Franciszek Borak – Dyrektor Departamentu III MSW*. Pchnął je. Sekretarka podniosła głowę, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo Galant minął jej biurko i kopniakiem otworzył drzwi prowadzące do gabinetu obok.

– Co pan robi?! – usłyszał za sobą.

Mężczyzna, który siedział za biurkiem, nie wyglądał na zaskoczonego. Podniósł głowę i poprawił binokle. Ugne wyciągnął zakrwawioną kopertę i rzucił ją na biurko. Urzędnik spojrział na niego.

– Spodziewałem się, że mnie odwiedzisz – wycedził, a głowa podskoczyła mu w nerwowym tiku.

Ugne wyciągnął broń, odbezpieczył i skierował w stronę mężczyzny.

– Ale nie spodziewałeś się, że nie będzie sam. – Galanta dobiegł z tyłu głos mężczyzny.

Ugne odwrócił się. To był on – pan i władca bezpieczeństwa. Minister Mieczysław Moczar. Wyminął milicjanta i położył rękę na dłoni, w której trzymał pistolet. Ugne opuścił broń.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Moczar podszedł do biurka i spojrział mężczyźnie w twarz. Borak odsunął lekko fotel, by utrzymać dystans pomiędzy sobą a ministrem. Założył ręce na piersi i zaśmiał się.

– Za mały jesteś, by to wszystko zrozumieć. – Mężczyźnie rozszerzyły się źrenice. – Bractwo działa na tym świecie setki lat. A ty jesteś tylko nieświadomym niczego narzędziem w rękach tych, którzy decydują o twoim losie. Myślisz, że w tej całej grze chodziło o jakieś zmiany w partii? O jakieś koterie? O wasze nędzne bitwy o stołki? Te wasze śmieszne podziały na „natolińczyków” i „puławian”. Wiedzieliśmy od samego początku, że jak zasugerujemy, że winna katastrofie jest partia, i podrzucimy wam wyjście awaryjne w postaci Żydów, na których zwalicie całą winę, to z chęcią z tej sugestii skorzystacie. Więcej. Z pasją zaangażujecie się w tę czystkę, którą MY zaplanowaliśmy.

Moczar usiadł zaskoczony.

– Ale jak to? Przecież sam przyszedłeś i mówiłeś, że to jest zamach... Że to może uderzyć we mnie, w partię... – Moczar wyciągnął paczkę papierosów i zapalił.

Ugne stał i wpatrywał się w Boraka. Ten nawet nie zainteresował się słowami ministra, tylko kontynuował z pasją.

– Wyszliśmy z tej piekielnej ziemi, jak Mojżesz ze swoim narodem, by zbudować Kościół na nowych terenach. Gdy po nas przyszli i powiedzieli o Bractwie, nie zastanawialiśmy się ani chwili. Szczególnie że mieliśmy rachunki do wyrównania. – Spojrzął z nienawiścią w oczach w zimną twarz Galanta. – Bractwo ściągnęło mnie do Warszawy. Naszym zadaniem miało być przygotowanie gruntu na przyjscie nowych panów. Mieliśmy zadbać o to, by przeszłość tego miasta zniknęła pod jego gruzami. Wszelkie symbole dawnej świetności tego miejsca, jego historyczne korzenie, miały zamienić się w popiół. Szczecin miał być czysty rasowo, ideologicznie i religijnie. Powoli robiliśmy swoje. Pociągaliśmy za sznurki w gabinecie

niczego nieświadomego prezydenta Zaręby. Decyzja o zrównaniu z ziemią Domu Koncertowego i Teatru Miejskiego nie była przypadkowa. Robiliśmy swoje, ale dalej nas to nie satysfakcjonowało. Gdy dowiedzieliśmy się o tym, co znajduje się w kryptach kościoła Świętych Piotra i Pawła, musieliśmy to zniszczyć, zanim wpełzną tam jacyś żądni wrażeń archeolodzy. Kazali nam jednak cierpliwie czekać, aż przyjdzie właściwy moment. I stało się. Gdy Żydzi rozpalili ogień na Bliskim Wschodzie, przyszedł ten właściwy moment, by się z nimi rozliczyć. Tramwaj miał być początkiem, który zniszczy ślady rodu Gryfitów i jednocześnie rozpocznie krucjatę przeciwko starozakonnym. Tylko część planu się powiodła. – Silny tik odrzucił jego głowę na bok, która po chwili wróciła na swoje miejsce. – Później były kolejne tropy, które wam podrzucaliśmy. Przybiliśmy wam do bramy dziewczynę, byście zrozumieli, że nic prowadzi do zabójców syna posła PAX-u. Sprawa śmierci syna Piaseckiego miała was zaprowadzić na trop spisku żydowskiego, ale nie, wybraliście inną drogę. Przyznaję – właściwą. Dlatego musieliśmy zająć się zespołem Galanta. Niestety, rozczarowałeś mnie, pierdolony Litwinie. – Spojrzał w oczy Ugne, w których pojawił się jakiś błysk. – Pozostał nam ostatni akt. Wysłanie najświętszego miejsca dla mieszkańców Szczecina wraz z niewinnymi i z tą całą królewską przeszłością. Winni byliby Żydzi. Nic by nie powstrzymało krwawej łaźni. Jednak znowu się wjechał ten pies. – Mężczyzna podniósł się i wskazał palcem na Galanta. – Cóż, zadanie, które przed nami postawiono, zrealizowaliśmy. Wypleniliśmy tę żydowską zarazę. Już nigdy nie powstanie.

– Kto postawił przed wami takie zadanie? – Ugne podszedł do biurka i wymierzył pistolet w głowę Boraka.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Bractwo od wieków służyło królom i możnym tego świata. To się nie zmieniło i nie zmieni.

Ugne przeładował.

– Kto?! Mów, a śmierć przyjdzie szybko i bezboleśnie.

– I tak to z ciebie wyciągniemy! Sam wiesz, jakie mamy metody. – Moczar wstał i już miał iść w kierunku drzwi, gdy Borak go powstrzymał.

– Ty już zakończyłeś swoją misję. ONI cię już nie potrzebują. – Sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej brzytwę. Błyskawicznie przystawił ją sobie do gardła i rozciął je jednym silnym pociągnięciem. Ugne i Moczar stali jak wryci. Borak jeszcze chwilę stał, charcząc i wypluwając z siebie brunatną krew, po czym upadł na biurko. Krew wypływała z niego, tworząc ogromną plamę, która rozlewała się po białych kartkach papieru.

Ugne chwilę przyglądał się leżącemu na biurku ciału, po czym schował pistolet do kabury i wyciągnął z drugiej kieszeni kurtki piersiówkę. Odkręcił i pociągnął solidny łyk. Skrzywił się i odwrócił w stronę drzwi.

– Do zobaczenia w lepszym świecie, towarzyszu.

Wyszedł z gabinetu wprost na ciemny korytarz. Pokonał nieśpiesznie kilkadziesiąt metrów, minął dyżurkę i dotarł do wielkich dębowych drzwi wyjściowych. Pchnął je z całej siły. Było ciepło i pachniało wiosną. Przeszedł przez dziedziniec. Kiedy mijał budkę strażniczą, odwrócił się i spojrzał w oczy człowieka siedzącego w środku. Strażnik uśmiechnął się do niego. Ugne odpowiedział tym samym. Otworzył wielką metalową furtkę i wyszedł na ulicę. Na co dzień jest to jedna z bardziej ruchliwych arterii stolicy. Nie dzisiaj. Nie w tej chwili. Teraz panowała tu ogłuszająca cisza. Nie przejeżdżały samochody ani autobusy. Nie słysząc było warkotu silników ani rozmów przechodniów. Dotarło do niego, że po raz pierwszy od dawna słyszy śpiew kosa, który przysiadł na jednym ze świerków rosnących wokół budynku ministerstwa. Wyciągnął paczkę giewontów i zapalniczkę. Zippo zapaliła za pierwszym razem. Jak zwykle. Przypalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął. Zamknął oczy i zadarł głowę. Jasne promienie słońca otuliły go swoim ciepłem. Otworzył oczy. Pozwolił, by słońce go oślepiło. Tak długo na nie czekał...

Epilog

Kościół Świętych Piotra i Pawła, Szczecin, 5 maja 1968 roku

Dwóch mężczyzn, bezskutecznie psiocząc i rzucając pod nosem obelgi, siłowało się z metalowym włazem do kaplicy. Wyłamany częściowo zamek i wypukły ślad w metalowej osłonie mogły świadczyć o uderzeniu przez przypadkową kulę lub odłamek. W kościele wciąż czuło się zapach spalenizny i prochu. Do włazu podszedł pan Henryk, kościelny, od lat związany z parafią kościoła pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła w Szczecinie. Trzymał w ręku łom, młotek i dłuto. Gestem nakazał odsunąć się dwóm mężczyznom. Stali teraz i bezradnie wpatrywali się we właz.

Pan Henryk przełożył łom przez rączkę włazu i wskazał, by ją chwycili. Sam złapał dłuto i młotek i zaczął rytmicznie uderzać, podważając jedno ze skrzydeł włazu.

– Ciągnijcie! – krzyknął do nich. Ci naprężyli się, aż żyły wystąpiły im na odsłoniętych przedramionach. Pan Henryk uderzył jeszcze dwa razy, aż właz z trzaskiem się otworzył. Pomocnicy polecili do tyłu i uderzyli plecami o posadzkę. Kościelny uśmiechnął się pod nosem i otworzył szeroko wejście. Wyciągnął z podręcznej skrzynki latarkę w długiej metalowej oprawie. Położył się na posadzce i wsunął głowę do pomieszczenia. Zapach wilgoci uderzył go w nozdrza. Zaświecił latarką. Pyłki kurzu zawirowały w jasnej smudze. Odwrócił się i krzyknął do jednego z mężczyzn:

– Drabina!

Po chwili schodził już do środka, stawiając delikatnie stopy na drewnianych szczeblach. Gdy dotknął ziemi, poczuł chłód, który objął jego całe ciało. Zadarł głowę. W miejscu, z którego przed chwilą zszedł, stał mężczyzna w czarnej sutannie.

– Proszę księdza, proszę uważać. – Kościelny przytrzymał drabinę. – Będę księdza proboszcza asekurował.

Mężczyzna sprawnie zszedł po drabinie. Kościelny w tym czasie położył latarkę w taki sposób, by oświetliła całe wnętrze.

Proboszcz zrobił kilka kroków do przodu i stanął pośrodku krypty. Jego siwa grzywka opadła na oczy. Był starym człowiekiem. Głębokie bruzdy na nieogolonej twarzy oraz blizna na czole świadczyły, że z niejednego pieca chleb jadł. Musiał się pochylić, by nie uderzyć o niskie sklepienie. Sięgnął po ręczną latarkę, którą wyciągnął z tylnej kieszeni spodni. Snop światła omiół grobowce i zatrzymał się na małej kaplicy. Podszedł bliżej, podniósł latarkę i oświetlił inskrypcję SEPULCHRUM ILLUSTRISSIMORUM DUCUM AC PRINCIPUM POMERANIAE. Zrobił dwa kroki w głąb kaplicy i ukląkł. Sięgnął do niewidocznej z zewnątrz półki wyżłobionej w kamieniu i wyciągnął z niej okazałą skrzynię. Otworzył i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wiedział, co było w środku, chciał się tylko upewnić, że insygnia władzy książęcej – berło, czapka biskupia i złożona chorągiew – nadal tam są. Dotknął spoczywających obok tarczy i pieczęci książęcej. Delikatnie zamknął skrzynię. Westchnął i zwrócił się do stojącego za nim kościelnego.

– Na szczęście nic nie zostało naruszone. Panie Henryku, proszę zamówić ekipę. Do jutra wszystkie te grobowce i sarkofag książęcy muszą zostać zamurowane. Tylko proszę, aby zostało to zrobione porządnie. Nie mogą zostać żadne ślady naszej ingerencji.

Ksiądz odwrócił się i wyszeptał pod nosem:

– Ci barbarzyńcy nie mogą się dowiedzieć o miejscu pochówku władców Pomorza i ukrytych insygniach ich władzy. Daj Boże, przyjdzie dzień, że na ich grobach wybudujemy nową Polskę.

Szczecin 28 czerwca 2023 r.

Od Autora

Zaraz po wypadku „szóstki” do Szczecina przyjechała specjalna komisja z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej. Na jej czele stał ówczesny wiceminister Jerzy Majewski. Po wielomiesięcznym śledztwie ustalono, że przyczynami wypadku były: trudny profil trasy, obecność trzeciego wagonu w składzie, przeładowanie pasażerami oraz awaria hamulców, a dokładnie przepalenie się obwodów w nastawniku. Odszkodowania dla poszkodowanych oraz rodzin ofiar wypadku były wypłacane przez Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji aż do lat osiemdziesiątych.

Katastrofa pochłonęła piętnaście ofiar, głównie pracowników Stoczni Szczecińskiej, Zarządu Portu oraz Stoczni Remontowej. Czterdzieści dwie osoby zostały ciężko ranne, natomiast około stu odniosło lekkie obrażenia. Do dziś jest to katastrofa tramwajowa z największą liczbą ofiar.

Krystyna Pressejsen, która prowadziła w tym dniu feralną „szóstkę”, już nigdy nie usiadła za sterami żadnego tramwaju. Była konduktorką, a później magazynierką.

Na ulicy Wyszaka do dziś nie ma żadnego śladu upamiętniającego tę katastrofę.

Po sprawie „szóstki” wpływy w partii komunistycznej ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara zaczęły gwałtownie słabnąć. Podczas V Zjazdu PZPR ludzie z nim związani podjęli próbę wprowadzenia swojego lidera do Biura Politycznego, co miało pokazać, że jest kandydatem na następcę Gomułki. Ten jednak nie dopuścił do jego awansu. Rola Moczara dobiegła końca. Mit twardego ministra upadł. Ostatecznie 23 czerwca 1971 roku Moczar utracił funkcję sekretarza Komitetu Centralnego.

Antysemicka kampania nienawiści, która miała miejsce w 1968 roku w Polsce, uderzyła w całą społeczność żydowską i jej instytucje. W jej wyniku na opuszczenie kraju zdecydowało się około 13 tysięcy Żydów. Wyjeżdżających pozbawiono obywatelstwa polskiego. Marzec 1968 roku przyniósł kres życia żydowskiego w Polsce. W okresie od początku 1968 roku do sierpnia 1969 roku w województwie szczecińskim wnioski o wyjazd złożyło 699 osób. W całym regionie pozostało zaledwie 1500 osób wyznania mojżeszowego. W samym Szczecinie przestały działać szkoły oraz organizacje żydowskie, zamknięto sklepy. Szczecińskie wyższe uczelnie zostały pozbawione znaczącej grupy wykładowców, profesorów i naukowców. Życie tej niewielkiej grupy społecznej zanikło, a wraz z nią kultura, tradycje i koloryt, który wnosili do miasta mającego ambicje bycia tygłem narodów.

W 2009 roku w podziemiach kościoła Świętych Piotra i Pawła w Szczecinie natrafiono na miejsca pochówku najprawdopodobniej patrycjatu lub członków dynastii Gryfitów. Dokonali tego członkowie Suwerennego Zakonu Rycerzy Świętej Trójcy, który działał przy kościele od czerwca 2009 roku.

Nie istnieją żadne dokumenty potwierdzające tezę, aby miało dojść do próby wysadzenia kościoła Świętych Piotra i Pawła w Szczecinie.

Nie ma również świadectw istnienia Bractwa Sprawiedliwych.

Podziękowania

Pisanie *Szóstki* sprawiało mi wyjątkową przyjemność. Nie dlatego, że fabuła była łatwa. Bo nie była. Ale dlatego, że pisałem ją, wiedząc, że za chwilę ukaże się *Koziół*. Moja pierwsza powieść, którą pisałem trzy lata. Długo. Fakt. Siedemnastokrotnie dłużej, niż się spodziewałem. Kilka razy nawet rezygnowałem. Na szczęście nie byłem sam. Obok, jak cień, anioł stróż, liberalna wersja Annie z *Misery* Kinga, była moja dziewczyna, Agnieszka. W znacznym stopniu dzięki niej powstał *Koziół*. To ona była pierwszą recenzentką *Szóstki*. Książka nie powstałaby jednak w takim kształcie bez wsparcia kilku innych osób. Szczególnie dziękuję Jarkowi Dobrzyńskiemu, rzecznikowi Morskiego Centrum Nauki, za ważne korekty. Jackowi Kozłowskiemu za archiwalne materiały i żywe świadectwo historii Szczecina. Izie Lewandowskiej za drobiazgową analizę dat, terminów, imion i ostateczne wyjaśnienie, czym się różni sukienka od spódnicy. Doktorowi Markowi Łuczakowi, nadkomisarzowi policji, koordynatorowi wojewódzkiemu do walki z przestępstwami przeciwko zabytkom w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, dziękuję za cierpliwe i pełne pasji odkrywanie tajników pracy służb. Podziękowania niezmiennie należą się Jarkowi Molendzie, autorowi świetnych książek, który zainspirował mnie do stworzenia Ugne Galanta i pozostałych bohaterów *Kozła* i *Szóstki*. Zawsze miał na podorędziu dobre słowo. Dziękuję, Jarek. Na koniec słowa uznania należą się Sławkowi Wierzbickiemu z wydawnictwa Filia, człowiekowi, który, zdawałoby się, wykonuje po prostu swoją pracę. A jednak. Haruki Murakami napisał, że: Praca powinna być aktem miłości. A nie czymś w rodzaju małżeństwa z rozsądku. I ta subtelna różnica, mam wrażenie, świetnie oddaje stosunek Sławka do naszego dzieła. Dziękuję.

Bibliografia i materiały źródłowe

Maciej J. Nowak, *Disneyland dla naiwnych literatów*, „Plus Minus” – weekendowy dodatek do „Rzeczpospolitej” lipiec 2019

Małgorzata Fraser, *Na podsłuchu. Krótka historia narzędzi szpiegowskich*, #CyberMagazyn, <https://cyberdefence24.pl/prywatnosc/cybermagazyn-na-podsłuchu-krotka-historia-narzedzi-szpiegowskich>

Marek Jaszczyński, *Czy trafiliśmy na kryptę Gryfitów?*, Szczecin Nasze Miasto, 8.12.2009, <https://szczecin.naszemiasto.pl/czy-trafilismy-na-krypte-gryfitow-zdjecia-film/ar/c1-3045370>

Architektura średniowiecza i starożytności, <https://medievalheritage.eu/pl/strona-glowna/zabytki/polska/szczecin-kosciol-sw-piotra-i-sw-pawla/>

Janusz Kochanowski, *Jak odbywało się przesiedlenie ludności polskiej*, „Polityka”, 13.09.2016, <https://www.polityka.pl/pomocnikhistoryczny/1674782,1,jak-odbywalo-sie-przesiedlenie-ludnosci-polskiej.read>

Artur Markowski, *Pogromy Żydów na ziemiach polskich*, Wirtualny Sztetl, <https://sztetl.org.pl/pl/tradycja-i-kultura-zydowska/historia-zydow-w-polsce/pogromy-zydow-na-ziemiach-polskich>

Marta Cichocka, *Hierarchia kościoła rzymskokatolickiego wobec Ziem Odzyskanych w latach 1945–1951 – Wybrane perspektywy*, „Studia Maritima”, 2017, <https://wnus.usz.edu.pl/sm/pl/issue/703/article/14742/>

„Zezwierzęcone typy były z pasją”. *Jak zaczął się Marzec 1968*, TVN24, 8.03.2018, <https://tvn24.pl/polska/marzec-1968-pierwszy-dzien-protestu-studentow-ra820604>

Andrzej Kraśnicki jr., *Zrujnowany powojenny Szczecin. Jak wyglądają te same miejsca po ponad 70 latach? Porównanie*, „Gazeta Wyborcza”, Szczecin. WIADOMOŚCI SZCZECIN, 04.02.2022, <https://szczecin.wyborcza.pl/szczecin/56,34939,28072381,zrujnowany-powojenny-szczecin-jak-wygladaja-te-same-miejsca.html>

Paulina Kowalczyk, *Dzieci porywane na macę. Skąd się wzięła legenda o żydowskich mordach rytualnych?* Kurier Historyczny, <https://kurierhistoryczny.pl/artukul/dzieci-porywane-na-mace-skad-sie-wziela-legenda-o-zydowskich-mordach-rytualnych,363>

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin, *Profesor UW dla „Wprost”: Gorsze od kukły Judasza są antysemickie homilie*, „Wprost”, 6.05.2019

Stanisław Musiał SJ, *Żydzi żądni krwi? Legenda, która wylała się na całą Europę*, <https://deon.pl/wiara/wiara-i-spoleszenstwo/zydzi-zadni-krwi-legenda-ktora-wylala-sie-na-cala-europe,507738>

Antoni Dudek, *Nie ujawnić prawdy* w: Ślady PeeReLu, 2000, http://niniwa22.cba.pl/dudek_nie_ujawnic_prawdy.htm

Kiedys to dopiero były lokale! Legendarne miejsca zabaw szczecinian, Redakcja, 15.04.2012, <https://szczecin.naszemiasto.pl/kiedys-to-dopiero-byly-lokale-legendarne-miejsca-zabaw/ar/c4-2810308>

Jan Bodakowski, *Mord rytualny czy zabójstwo polityczne? Sprawa Bohdana Piaseckiego*, <https://medianarodowe.com/2022/01/26/mord-rytualny-czy-zabojstwo-polityczne-sprawa-bohdana-piaseckiego/>

Eryk Krasucki, „*Antysyjonistyczne*” wątki szczecińskiego Marca '68 (zarys problematyki) w: Żydzi oraz ich sąsiedzi na Pomorzu Zachodnim w XIX i XX wieku, pod red. M. Jaroszewicza i W. Stępińskiego, Warszawa 2007.

Rafał Zimniewicz, *Środki używane przez terrorystów przy zamachach bombowych*, „Kultura Bezpieczeństwa. Nauka–Praktyka–Refleksje”, nr 15, s. 305–311, 2014

Dariusz Stola, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2018

<https://www.mkm.szczecin.pl/encyklopedia/n>

Twarze szczecińskiej bezpieki Informator personalny, IPN Szczecin, Szczecin 2011

<http://www.pomeranica.pl/>

„*Miałam zły sen, nie chciałam jechać*”. *Rocznica tramwajowej katastrofy na ul. Wyszaka*, <https://szczecin.wyborcza.pl/szczecin/7,34939,22752245,mialam-zly-sen-nie-chcialam-jechac-rocznica-katastrofy-na.html>

Maciej Stasiński, *Natolińczycy, pulawianie, partyzanci. Frakcje polityczne w PZPR*, wyborcza.pl Ale historia, 26.02.2018, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,23056707,natolinczycy-pulawianie-partyzanci-frakcje-polityczne-w-pzpr.html>

Adam Zadworny, *Szczecin 1945. Z Niebuszewa do Palestyny [REPORTAŻ]*, 07.08.2015, wyborcza.pl szczecin, <https://szczecin.wyborcza.pl/szczecin/7,34939,18520527,szczecin-1945-z-niebuszewa-do-palestyny-reportaz.html>

Szczeciński Marzec '68. Inteligencki protest w robotniczym mieście [ROZMOWA] 09.03.2018
Rozmawiał Adam Zadworny z Ireneuszem Jelonkiem, wyborcza.pl szczecin, <https://szczecin.wyborcza.pl/szczecin/7,150424,23120160,szczecinski-marzec-68-inteligencki-protest-w-robotniczym-miescie.html>

Magdalena Ptaszyńska, Radosław Ptaszyński, *Skalpel '68. Kampania antysemita w środowisku szczecińskich lekarzy*, Universitas, 2021

Październik i „Mała stabilizacja”, w: Jerzy Eisler: *Zarys dziejów politycznych Polski 1944–1989*, POW „BGW”, Warszawa 1992

Serial *Czarne Historie*, odc. 9 *Szóstką do śmierci. Katastrofa tramwajowa*, 08.01.2001

Jarosław Reszka, *Cześć! Giniemy...*, wyd. PAP 2021

Jakie marki papierosów paliliśmy w PRL-u? Podróż w czasie, <https://tytonpapierosowy.pl/jakie-papierosy-palilismy-w-prlu/>

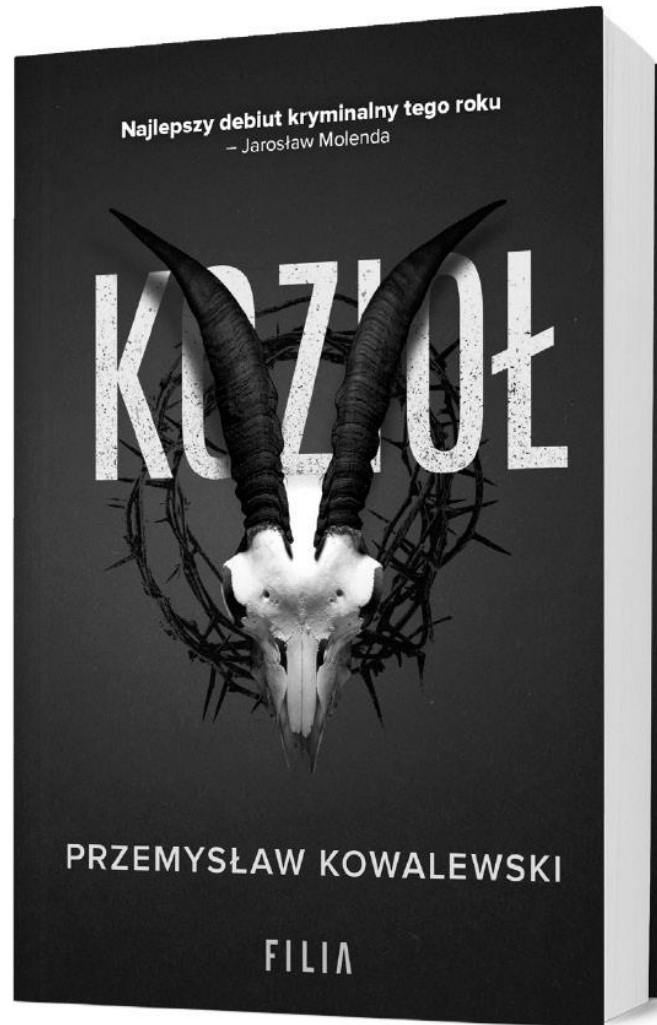
Najtragiczniejszy wypadek w historii komunikacji miejskiej w Szczecinie, opracowanie Dariusz Wołoszczuk, <http://www.swiatowy.org/bilety/1967/wyszaka.html>

Alfred Wielopolski, *Rozwój komunikacji miejskiej w Szczecinie w latach 1945–1965*, „Przegląd Zachodniopomorski”, 6, Szczecin 1964

Thomas of Monmouth, *The Life and Miracles of St. William of Norwich*, Cambridge 2011

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

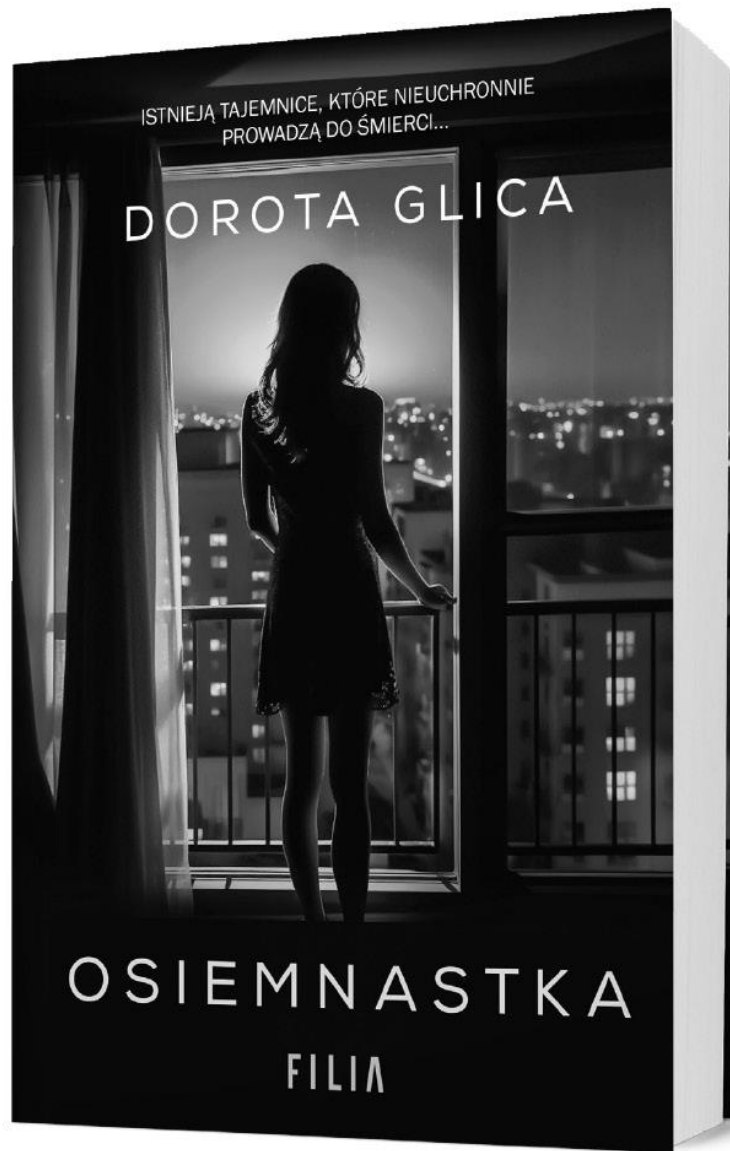
PRAWDA CIĘ PRZERAZI.



Rok 1957. W Szczecinie dochodzi do serii tajemniczych zgonów. W Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej zostaje powołany specjalny zespół do zbadania tej sprawy. Na jego czele staje porucznik Ugne Galant. Milicjanci muszą wrócić do nierozwiązanych śledztw sprzed kilku lat. W tym do tego, o którym oficjalnie się nie mówi – morderstwa, które miało miejsce we wrześniu 1952 w domu przy ulicy Wilsona 7 na Niebuszewie. Śledczy ścigają się nie tylko z czasem, ale z własnymi słabościami.

FILIA

Istnieją tajemnice, które nieuchronnie
prowadzą do śmierci...



FILIA